

TECZOWY BIAŁYSTOK

antologia **TEKSTÓW** queerowych

NA POZIOMY
LUTY 2020-CA MIAŁA
OPRACOWANIE I IŁUSTRACJE
DŁUGI PRZY WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU



GAZETKI W METRZE
A MOJA
I MOJĄ STANĄ
DŁUGI WYKONANIU

APTEKI
DŁUGI WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU



NAPIERN CHODZILISMY
NA SPOTKANIA
Z GENDEREM

TECZOWE
PODCHODY



W DŁUGI WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU

W DŁUGI WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU

KIEDYS ORGANIZOWAŁEM
DŁUGI WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU

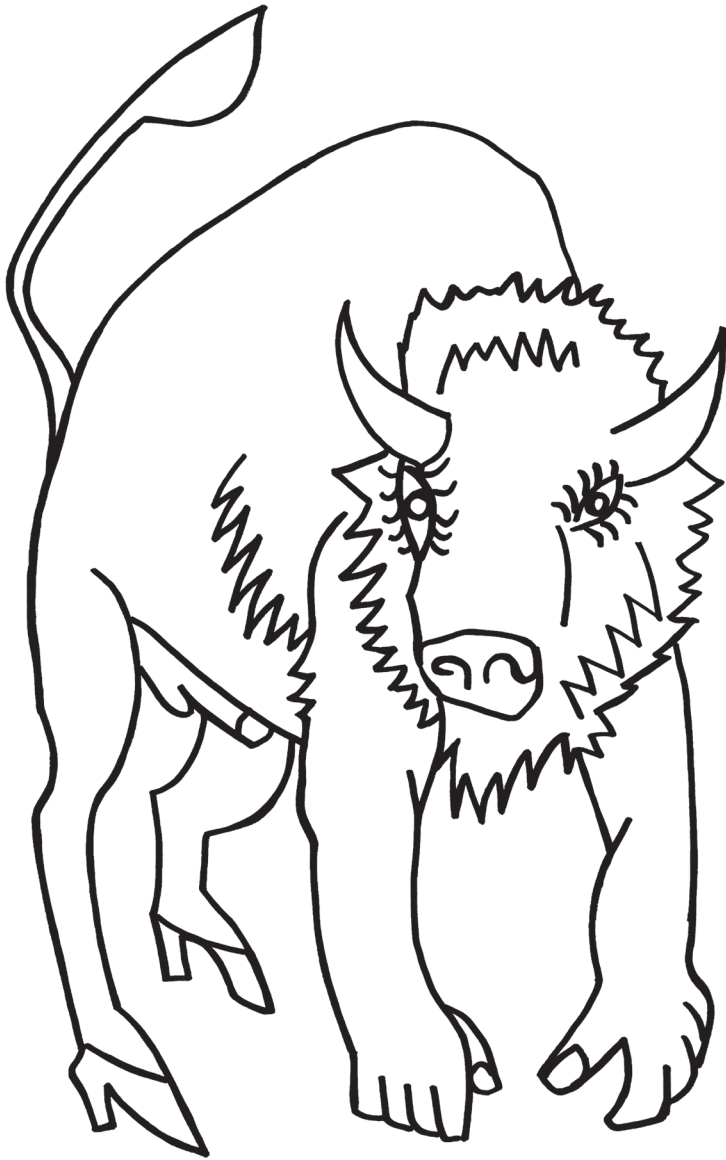


W DŁUGI WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU

W DŁUGI WYKONANIU
DŁUGI WYKONANIU



Tręzowy Białystok



Tęczowy Białystok

antologia tekstów queerowych

Białystok 2024

Redakcja Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, Sylwia Rząca, Michał Łukaszuk
Projekt okładki Krzysztof W. Wróbel
Projekt typograficzny, skład Dawid Bujno

Na stronie przytytułowej grafika *Żubr* Karola Radziszewskiego przygotowana na
Pierwszy Marsz Równości w Białymstoku

Druk książki został sfinansowany przez Galerię Arsenał w Białymstoku
i ze środków pozyskanych przez Tomka Pawłowskiego-Jarmołajewa

ISBN 978-83-959279-0-4

Wydawca: Tęczowy Białystok

Pamięci Asi Głuszek

Spis treści

Michał „Perła” Łukaszuk	Wstęp	11
Agnieszka Zygmunt	Akcja i reakcja, czyli wokół marszu równości	18
Jacek Dehnel	Ciemną doliną	22
Joanna Głuszek	Przemówienie z manifestacji Polska Przeciw Przemocy	31
Poradnik prawny		35
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska	Podlasie wielopłciowe	44
Fragmenty:		
Krzysztof Gedroyć	Piwonia, niemowa, głosy	49
Grzegorz Sobaszek	Wszystkojedność	51
Mirosław Miniszewski	Opowieści ze wsi obok	53
Dariusz Adamowski	Gub, trać, porzucaj	55
Dariusz Adamowski	Skrawki	57
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska	Strategie autentyczności w prozie Ignacego Karpowicza (<i>Sońka i Miłość</i>)	58
Ignacy Karpowicz	Miłość	65
Ignacy Karpowicz	Gesty	68
Agnieszka Masłowiecka	Splątanie	70
Ignacy Karpowicz	Cud	73
Ignacy Karpowicz	ości	75
Michał Łukaszuk	Wiersze	77
Karol Radziszewski	Ewa „Harda” Hołuszko	84

Teksty i prace plastyczne nadesłane na konkurs ogłoszony przez Tęczowy Białystok	87
Aleksandra Gawryluk	Osobiste 88
Natalia Suszczyńska	Nim Chimpsky 90
Oliwia Grysko	W razie czego jestem tutaj 95
Dariusz Adamowski	Jan 100
Łucja Kuttig	
human]ikar[yzm	121
3. (komunistyczna lekcja matematyki)	123
efemeryczna kwantyzacja queeru (eigenvectors et al., 2021)	124
popromiennie	125
orlando wraca z niemiec do warszawy	126
seanse okultystyczne: horroryczne rolnictwo i kulinaria emocji	127
kwiczki wołają ser od orzechnicy [a kwiczkini?]	129
mistyka queer w myśl B. Friedan	131
koniugatorka botaniczna	133
styl niezalecany przez polonistów	134
Monika Maksimczyk	Xxx 135
Sylvia Baudelaire	Pierwszy raz 136
Anna Maria Sokołowska	
moja najgorsza miłość	138
z głodniały człowiek w pustym domu	140
wnuczycia	141
Dariusz Adamowski	
Gdańsk / Sąd Ostateczny	142
Sarmad	144
Czwarty wiersz dla Łukasza	145
Piąty wiersz dla Łukasza	146

Aleksandra Gawryluk

- [letnia noc] 147
- [stoisz za zasłoną] 148
- [urodziłam się w pajęczej sieci] 149
- [chcę być kochanką ciszy] 150
- [kiedyś lubiłam pisać...] 151
- [cienie rozpięte na krzyżach] 152
- [zapalam świecę...] 153
- Petřiny 154

Dariusz Bednarski Pożegnanie z Sarah Kane 155

Dorota Grochala

- Sukienka 156
- [Faszyzm] 157
- „One” 158

Prace plastyczne:

Aleksandra Paszko 160

Aleksandra Lewandowska 171

Katarzyna Mystkowska 173

Indigo Tur 178

Paweł Szlotawa 184

Sylwia Rząca Pamięci Joanny Głuszek 195

Joanna Głuszek Dziennik choroby 197

Joanna Głuszek Wiersze 242

Joanna Głuszek Songs 249

Michał „Perła” Łukaszuk

Wstęp

Ten wstęp miał być inny, miał być rozbudowanym, gęstym tekstem, który nie tylko przedstawi czytelnikom książkę, ale też będzie hołdem złożonym Asi Głuszek, jakąś formą pożegnania i to podwójnego, bo również mojego pożegnania z Tęczowym Białymstokiem. Przez kilka miesięcy powtarzałem sobie codziennie, że to już dziś powstanie to opus magnum, jednak kiedy nieprzytomnie wlepiąłem wzrok w słynny migający kursor, ogarniał mnie niemożliwy do przewyciężenia paraliż. Nie chciałem się żegnać. Jakaś część mojej podświadomości sabotowała mnie, wmawiała mi, że ta niezłałatwiona sprawa, niedokończona publikacja zatrzyma Asię choć na tę postrzępioną, prokrastynowaną chwilę przy życiu, w końcu pojąłem, że jest wręcz przeciwnie, że jeśli będę to odwlekał, jeszcze bardziej ją stracę. Wstęp ten jest więc próbą kompromisu między ambicją stworzenia wielkiego podsumowania pracy aktywistycznej i nieheteronormatywnej historii Podlasia, paraliżującą niezgodą na śmierć, wciąż nieprzepracowaną żalobą, niechęcią do wracania do pewnych wspomnień, jak chociażby Pierwszy Marsz Równości, a moimi obecnymi możliwościami, zubożałym arsenałem tego, co wciąż we mnie niewypalone.

Książka *Tęczowy Białystok – antologia tekstów queerowych* składa się z dwóch części. Nad pierwszą pracowałem razem z Asią, kiedy i ona była członkinią Tęczowego¹. Któregoś dnia, kiedy jeszcze zamiast wypalenia

¹ Asia zrezygnowała ze współpracy z Tęczowym Białymstokiem około rok przed śmiercią.

pałał w nas aktywistyczny płomień, natknęliśmy się na otwarty nabór zgłoszeń o grant Funduszu dla Odmiany i wpadliśmy na pomysł, że chcielibyśmy podarować podlaskiemu tęczowemu środowisku to, co tak kochaliśmy i nas łączyło – wiersze. *We promised you poems* (parafrazując Tricky’ego i Sosnowskiego). Pora dotrzymać słowa i oddać czytelnikom obiecane wiersze, łącznie z tymi, które napisała Asia, o których istnieniu nie wiedziałem, aż do momentu jej śmierci, a które mają tak porażające momenty, jakąś niebywałą mieszaninę ostrości i celności, czasem wybrzmiewają wręcz z równą mocą jak poetycka fraza Elfriede Jelinek lub Bożeny Keff.

Ale może trochę uporządkujmy, spróbujmy nadać jakikolwiek, choćby rachityczny kształt temu tekstowi, jakąś chronologię, choć to ona jest tak potworna. Wymyśliliśmy z Asią, że będziemy aplikować z propozycją publikacji, która byłaby zarazem edukacyjna, ale i artystyczna, łączyła w sobie wiedzę, literaturę i sztukę. Uznaliśmy, że część tekstów zamówimy, a część opublikujemy z ogłoszonego przez nas otwartego naboru, który chcieliśmy rozszerzyć jeszcze bardziej niż zwykłe otwarte nabory – na wszelkie formy: komiks, wiersz, opowiadanie, recenzję, grafikę, etc. Nagrodziliśmy wszystkie nadesłane prace, co wywołało w nas egalitarny entuzjazm, jednak nie wszystkie zostały umieszczone w niniejszej publikacji. Teksty są różne, niektóre pochodzą od autorów po debiutach książkowych, niektóre zapewne są debiutami, pewne z nich wywołały moją sporą zazdrość, na przykład odważne wyznanie podmiotki lirycznej w wierszu Anny Marii Sokołowskiej, która zarzeka się, że „będzie kochać nawet z dziurawą potylicą”. Jednak niezaprzeczalną wartością nadesłanych tekstów jest bogata panorama kłirowych doświadczeń, od traumatycznych po ekstatyczne, od delikatnych po okrutne. Cieszę się, że kłirowa, podlaska perspektywa rozpościera się tutaj tak szeroko.

Książkę otwierają relacje z Pierwszego Marszu Równości. Niestety wciąż nie umiem o nim pisać, znajdowałem się w samym środku tego piekła i widziałem cudze cierpienie, które uderzało ze zwielokrotnioną siłą, kiedy było się jedną z osób biorącą udział w organizacji marszu. Jednym z moich zadań było poproszenie Jacka Dehnela, by wygłosił przemówienie, organizacja jego przyjazdu, etc. Jak to wszystko się potoczyło, drodzy czytelnicy mogą się dowiedzieć z relacji Jacka, która, dzięki jego uprzejmości, znalazła się w niniejszej książce. Część tę zamyka przemówienie Asi wygłoszone tydzień po marszu na manifestacji polityków, którzy postanowili nas „wesprzeć”, czyli zbudować polityczny kapitał na naszej traumie. Z tego powodu Asia zastanawiała się, czy wystąpić, ale namówiliśmy ją do tego, nie chcieliśmy, żeby nasz głos był wymazywany albo zawłaszczany. Przemówienie Asi pokazuje skalę jej wrażliwości społecznej: zawsze skupiona na innych, najłabszych i w przeciwieństwie do wielu lewicowych kolegów i koleżanek, szczerze, realnie zaangażowana w pomoc, za jej słowami szły czyny. W czasie kryzysu humanitarnego na polsko-białoruskiej granicy upominała się o prawa osób LGBT+, które właśnie tam doświadczały represji i przemocy. Kłirowa historia Podlasia to również historie osób migranckich, np. Afgańczyka, który był jednym z pierwszych zatrzymanych w Usnazu. Wielokrotnie pushbackowany, w końcu trafił do ośrodka zamkniętego, który jest jak więzienie. Opuścił go po ponad dwóch latach i został przeniesiony do ośrodka otwartego. Byliśmy w kinie, na spacerach, rozmawialiśmy dużo, uczył się polskiego, angielskiego nauczył się w ośrodku, sam. Został bez powodu skuty i deportowany podczas rutynowej kontroli u kuratora. Witamy w Polsce, w jej zielonych od nienawiści i rasizmu płucach. Przemówienie Asi kończy wezwanie, by nie przyprawiać Białemustokowi faszystowskiej gęby (wydaje mi się, że nie trzeba mu jej przyprawiać, sam chętnie układa w nią swoje homofobiczne rysy), więc czuję się w obowiązku uzupełnić narrację z Pierwszego Marszu Równości, kreśląc tu parę słów o Drugim. Drugi Marsz

był wspaniały, pominiemy fałszywe zgłoszenie o podłożonej pod marsz bombie, a skupmy się na tej jednej chwili, na afterze. Występowały olśniewające, spektakularnie pobłyskujące cekinami drag queens oraz Betty Q, mistrzyni burleski. Zadaniem Asi było opiekowanie się jej płaszczem i okrycie nim performerki po skończonym występie. Oczywiście gdy tylko Asia wzięła płaszcz, został przez kogoś zalany piwem, w sekundę. Asia była w szoku, gdy Betty zakończyła występ, Asia próbowała okryć ją swoim płaszczem, wszystko było bardzo niezręczne, ale też szalenie komiczne. Cieszyłem się jak nigdy, że to są nasze problemy, że właśnie to było największym skandalem afteru, a marsz przeszedł dumnie, bezpiecznie i godnie.

Po relacjach z marszu i przemówieniach czytelnicy mogą zapoznać się z niezwykle profesjonalnie i klarownie opracowanym poradnikiem prawnym, który instruuje, jakie prawa mają manifestujący przy zetknięciu z policją. Publikacja powstawała w czasach rządu PiS, co wiązało się z brutalnością i bezprawnymi działaniami służb. Mam wątpliwość, że coś się w tej kwestii zmieni. Niestety Asia nie doczekała się końca tej władzy.

Kolejna część to antologia podlaskich tekstów kłirowych, której pomysł wyłonił się podczas moich rozmów z Kasią Sawicką-Mierzyńską. Kasia wykonała pionierską pracę prezentacji polskiemu czytelnikowi podlaskiej literatury z wątkami kłirowymi. W antologii znalazło się wiele tekstów, w tym przedziwnie profetyczne, fenomenalne, krótkie formy Mirosława Miniszewskiego, który opisując podlaską wieś w gatunku przegiętego surrealizmu, nie mógł wiedzieć, że podobne zdarzenia zaistnieją niedługo w tak zwanym realu, że pojawią się w lesie ludzie. Znalazły się w niej również moje wiersze, z których chciałbym się wytłumaczyć. Jako współredaktor książki odradzałem umieszczenie ich w antologii, pachniało mi to wizją nepotyzmu, ale Kasia się uparła,

a ja Kasi nigdy nie odmówię. Gdyby nie Kasia, ta książka nigdy by nie powstała, jej upór, stanowczość i ciężka praca to filary tej publikacji, dlatego korzystając z okazji wręczam jej wszystkie medale świata i kosmosu. Kasiu, dziękuję.

No i teraz najtrudniejsze – część druga. Otwiera ją krótki, osobisty biogram Asi, przygotowany przez jej najlepszą przyjaciółkę Sylwię, która jest trzecią, ostatnią redaktorką tej książki. Gdyby nie Sylwia, ta książka również by nie powstała. Sylwio, proszę przyjmij ode mnie wszystkie medale świata i kosmosu. Dziękuję.

Po biogramie czytelnicy mogą się zapoznać z przeszywającym, przenikliwym, werystycznym i poruszającym dziennikiem choroby, który Asia prowadziła na Instagramie. Dowiadujemy się z niego, jaka jest kolejność wypadania włosów po chemii, jak radzić sobie ze szpitalnym jedzeniem albo nagłą chęcią zjedzenia cheesburgera, jak wygląda diagnoza i przebieg choroby. Asia nie byłaby sobą, gdyby to nie był również projekt w jakimś sensie polityczny, uwrażliwia więc, jakiego języka używać opisując raka, instruuje, jak sobie radzić albo nie radzić z cancer ghostingiem. Imponuje mi, jak świadomą, wrażliwą, mądrą osobą była, zerknijcie drodzy czytelnicy do tego dziennika, choć lektura nie będzie łatwa.

Po dzienniku umieściliśmy wiersze i piosenki Asi, które są tak dobre.

Książka *Tęczowy Białyłstok – antologia tekstów queerowych* jest książką potwornie spóźnioną, z wielu powodów. Jedyne, co mnie pociesza, to tytuł jednej z pierwszych nieheteronormatywnych audycji radiowych, prowadzonej przez Kasię Szustow: Lepiej późno, niż wcale. I tego się trzymajmy.

Jako redakcja pięknie dziękujemy Dawidowi Bujnie za skład i oprawę graficzną książki, Krzysztofowi Wojciechowi Wróblowi za projekt okładki, a Alkowi Mazurukowi za otwartość na naszą opowieść o Asi.

Agnieszka Zygmunt

Akcja i reakcja, czyli wokół marszu równości

Akcja – marsz równości w Białymstoku

Garść refleksji po.

1. Dochodzimy do placu, gdzie ma być marsz. Kordon policji. „Państwo na marsz? To proszę”. I idziemy przez pusty plac, dołączamy do garstki ludzi u jego drugiego końca. Spod pomnika i ze schodów budynku uniwersytetu lecą na nas wyzwiska, race, patyki. Kolega dostaje w nogę racą (żyje, ale rozcięcie ma). Policja nie ogarnia, stoimy trochę bezbronni wobec tłumu. Uczucie, że zaraz będzie naprawdę strasznie, we mnie narasta. Nad naszymi głowami lata helikopter Straży Granicznej.

2. Ruszamy. Nienawistny tłum równo z nami. „Wypierdalać”, „Tęczowy faszyzm”, koszulki kibiców Jagiellonii i specjalne, okolicznościowe „Białystok wolny od zbrodźców”. Wśród tego tłumu jedna starsza pani, która nam klaszcze i daje siłę, by iść dalej.

3. Wiele agresji wzbudza człowiek z marszu, który ma koszulkę z go-dłem. Że profanuje. Do całkiem ubranych dziewczyn wrzeszcza: „Zupełnie się rozbierzcie”. Dopiero gdy podjeżdża platforma, a z głośników zaczyna lecieć muzyka, przestajemy słyszeć ciągłe wyzwiska, obelgi i wyjaśnienia, co by ze mną zrobili obleśni faceci z twarzami wykrzywionymi od nienawiści i pogardy. No spoko. Idziemy.

4. Dostaję jajkiem. To prawie jak medal.

5. Spotykam znajomych, przechodzę na ty z dawnym wykładowcą, słyszę: „Znam Panią z internetu!”. Tańczymy. Policja już ogarnia, otacza

nas szczerze, jest chwilowo bezpiecznie. Tańczymy we trzy przed facekami, krzyczącymi do nas słowa nieme i niecenzuralne, do *Dancing queen*. Nie damy się. Czuję tę euforię, którą czuć powinienam. Jest... wyzwalająco. To moje miasto.

6. Koło Pałacu Branickich nagła zmiana trasy marszu. Stajemy na bocznej ulicy i nie wiemy, co się dzieje. Kibole nas blokują. Z muru pałacu patrzą na nas uczestnicy Pikniku Rodzinnego, kontratrakcji wobec marszu. Kilkulatek w kostiumie Spidermana mierzy do nas z plastikowej broni.

7. Coś się dzieje. Nie wiemy co. Widzimy biegnących ludzi, widzimy, jak policja otacza nas szczerzej. Jacek Dehnel, który miał przemawiać na otwarciu marszu, ale nie przemawiał, bo marsz otworzyły petardy i hejt, wchodzi na platformę i dodaje nam ducha. Helikopter tak zniża lot, że widzimy, jak od jego powiewu spadają liście z drzew, jak na filmie.

8. Znow idziemy. Pod pomnikiem Popiełuszki (musi być dumny!) siwo od dymu. Na ulicy kilka kostek brukowych. Potwornie śmierdzi, krztusimy się, zakrywamy twarze. Potem się dowiem, że kibole wpadli na pomysł dnia, by atakować policję butelkami i petardami, więc ta puściła gaz pieprzowy.

9. Obok różaniec przebłagalny za nasze grzechy. Facet z megafonem, który wcześniej nam raportował, że „Jezus mówi, że homoseksualizm to choroba, leczcie się”, teraz się rozwinął i dodaje, że „wszystkie religie świata” tak sądzą.

10 Na balkonie para w wieku średnim. On w koszulce Jagiellonii. Ona macha do nas tak, by on nie widział. Krzyczymy: „Chodźcie z nami”. On w końcu też unosi kciuk. Zwycięstwo.

11. Wracamy. Trzy nieduże dziewczynki. Mija nas para na rowerach. „Jebane pedały”, krzyczy do nas ona. No spoko. Pedałem bywam dość rzadko.

12. Było warto.

Reakcja – akcja solidarnościowa pod warszawskim Pałacem Kultury i Nauki. Przemówienie

Dzień dobry, nazywam się Agnieszka Zygmunt. Jestem socjolożką i redaktorką. Jestem z Białegostoku.

I kiedy tylko dotarły do mnie pierwsze informacje, zaraz po marszu w Lublinie, że w tym roku będzie marsz w Białymstoku, wiedziałam, że muszę, że mam moralny obowiązek tam być. I byłam.

Nie będę wam relacjonować, jak było. Widzieliście to w dziesiątkach relacji na fejsie, na filmikach, zdjęciach, komentarzach.

Za to powiem wam o strachu. Bo na samym początku, kiedy stała nas garstka na otwartym placu, a kontrmanifestanci rzucali w nas wszystkim – od grubego słowa po race ciskane tak, by wybuchwały pod nogami – bałam się jak nigdy. Bałam się, że zaraz będzie gorzej. Bałam się, że namówiłam na przyjazd do Białegostoku bliskich mi ludzi, a spotyka ich coś takiego.

I powiem o euforii, kiedy ja, koleżanka i całkiem nieznana nam dziewczyna tańczyłyśmy do *Dancing queen*, gdy staliśmy, czekając, aż policja utoruje nam drogę przez blokadę zorganizowaną przez kontr-manifestację. Myśmy tańczyły, ludzie po drugiej stronie ulicy krzyczeli do nas słowa niecenzuralne.

I powiem o nienawiści. O tym, jak trudno było iść, kiedy ta nienawiść wisiała nad nami – w słowach, w gestach, w wulgarnych okrzykach. Jacyś ludzie rościli sobie prawo do tego, by nazywać mnie kurwą i by opisywać, co by ze mną zrobili, tylko dlatego, że szłam.

I powiem, że... że przeszliśmy. I jeśli to nie jest sukces, to nie wiem, co nim jest.

I jeszcze jedno: łatwo powiedzieć: „No tak, Białystok”. Nie mówcie tak. Po pierwsze, ci, którzy szli w tym marszu, też byli Białymstokiem. Ja jestem Białymstokiem. A po drugie, wtedy łatwo przegapić, że to nie jest problem jednego miasta. Jest to problem systemowy, polityka rządu, polityka Kościoła.

Ale przeszliśmy. I jeśli przeszliśmy Białystok, to wszystko przejdziemy.
Dziękuję.

Jacek Dehnel

Ciemną doliną

Idę w białostockim Marszu Równości i sprawdzam na komórce, co piszą media – tu gorąco, może dowiem się, co jest na czele, może są jakieś dane. Czytam: „Zwolennicy LGBT nie mogą czuć się do końca swobodnie” (WP), „część osób jest wystraszona, spotkała się z agresją nie tylko słowną” (GW), że ktoś opluto i szarpano, ale „na prośbę dziennikarzy interweniowała policja” (jakby się trzeba było o to prosić), że jednej osobie „wyrwano tęczową flagę”, ale policja „otacza marsz szczelnym kordonem”. No więc napiszę, jak to wyglądało ze środka. Po kolei.

Ruszamy spod Galerii Arsenał grupką może dwudziestu osób (w tym M. i K.), najpierw przez ogród pałacu, gdzie hula robiony w kontrze do marszu Piknik Rodzinny PiS-owskich władz. Są dmuchane zamki, ale przede wszystkim wojska takie, śmaki, straż graniczna, jakieś armaty, transportery opancerzone, wiadomo: rodzina, dzieci, tu chodzi przede wszystkim o militarystykę. Idziemy dalej Skłodowskiej w kierunku placu, na którym ma się wszystko rozpocząć (słychać stamtąd skandowanie, wybuchy, ryki), ale ludzie biegną od jego strony, żeby iść inną ulicą, bo tam biją. Skręcamy więc w Aleję Bluesa, depczemy metalowe plakietki z nazwiskami bluesmenów, potem znowu, w Suraską. Przed placem widzimy, jak dziesięć metrów dalej bojówki rzucają się na ludzi; wielki facet w czerwonej kominiarce zakrywającej całą głowę kopie z obrotu kolejne osoby, w tym kilkunastoletnie dziewczyny. Część się rozbiega, lecą kolejni rycerze, napakowani, z wściekłymi twarzami. Ukrywamy

się w aptecę: personel przestraszony, jakaś przerażona, dziesięcioletnia może dziewczynka z matką (nie szły chyba nawet na paradę, po prostu tu trafiły), która błaga: „Mamo, zrób coś, zabierz mnie stąd, ja się boję”; za chwilę wpada roztrzęsiona nastolatka, na ramionach wiszą jej strzępy oderwanej torby; próbuje skontaktować się ze swoim przyjacielem, Kornelem, z którym szła, ale na Kornela znów się rzucili i tracą ze sobą kontakt. Próbuję ją uspokajać, zapinam szelkę od ogrodniczek, upewniamy się, że nie przepadły jej rzeczy, bo pozbierała je z oderwanej torby do plecaka. Za oknami cały czas przebiegają bandyci, K. kręci kamerą, M. dzwoni na policję, czemu na całej Suraskiej, ulicy dochodzącej do placu, nie ma ani jednego policjanta (bo nie ma) i czy ktoś może tu wreszcie przyjść. Ktoś jest znowu bity, kolejny bandyta niesie w ręce płonąca tęczową flagę. Lecą kłęby, dymu M. przez chwilę myśli, że podpalili samochód, ale to świece dymne. Kiedy robi się (lokalnie, bo od placu cały czas ryk i wybuchy) spokojniej, stajemy w wejściu i rozglądamy się, co robić w tej sytuacji.

„Ale się ubrałeś – mówi do M., z tęczowymi szelkami, brodaty chłopak, raczej z tamtej strony, ale nieprzesadnie agresywny – to nie dziwię się, że ci mogą skopać pizdę.” na co M. spokojnie odpowiada: „Nie potrzebowałem takich słów od ciebie.” Tamtemu robi się chyba głupio i wydarza się osobliwa chwila, bo mówi: „Ja nie chcę, żeby tu się komuś coś stało. Ja was przeprowadzę, będę was chronił.” I faktycznie, prowadzi nas jak owczarek niemiecki, wzdłuż muru apteki i dalej, pokrzykując, żebyśmy szli w kolumnie, bliżej ściany, i osłania nas, harcerz jeden, nagle opiekuńczy nie wiadomo czemu, powtarzając, że nie chce, żeby komuś coś się stało. Wyskakują do nas kolejne bandziory, plują, niecelnie, są napakowani, ale i tak odstawiają ramiona na boki, jest to coś atawistycznego, zwierzęcego jeszcze, chcą się wydawać więksi, ale przez to upodobniają się do dużych, naspidowanych pingwinów.

Kryjemy się za radiowozami i tamtędy dochodzimy na plac. Miałem przemawiać na otwarciu, ale nie ma o tym mowy, to wygląda jak zamieszki. W głębi pod pomnikiem kibole, jakieś flagi mają, jakieś swoje parafernalia, na środku marsz z tęczowymi flagami, niepozorny, smród zgniłych jaj, lecą wyzwiska; kordon nie jest „szczelny”, jak donosi prasa – koło nas są duże przerwy, co jakiś czas podlatują harcownicy, wyrywają transparenty, grożą pobiciem; przede wszystkim ryczą, obelgę za obelgą, jedni w grupkach, inni pojedynczo, niektórzy mają jakieś swoje szaleńcze monologi. I ręce z fakami, wszędzie faki, faki, faki, że jebać pedałów (choć może jebanie pedałów zostawmy innym pedałam, jesteśmy w tym naprawdę niezli), i zakaz pedałowania skandowany i na koszulkach, i w ogóle pełna seksualizacja, seks im się wylewa uszami, z gardła, z oczu; jeden chudy chłopaczek biegnie za nami przez prawie cały ten marsz, będzie towarzyszył nam przez dobre półtorej godziny, co jakiś czas będzie wyskakiwała jego ładna, opalona twarz, wykrzywiona we wściekłości, ale też w wyraźnej, naddatkowej fascynacji. Tu są niemal sami mężczyźni, czasem któryś trzyma za rękę jakąś zblazowaną karynę, ale to męski klub: kibole starzy i młodzi, jedni w faszolskich strojach, inni to czyiś stryjkowie i dziadkowie: z siatką w rękę, z obwisłymi policzkami, z pożyczkami na łysinach, spracowani, w rozdeptanych butach, z plamami potu pod pachami. Zwykli, zupełnie zwykli ludzie, pan Staszek z działki, pan Włodek, który kupuje w tym samym sklepie, pan Ryszard spod szóstki. Tyle, że z tymi poroziąganymi maskami zamiast twarzy, pozmienianymi w jakiś koszmarny sposób; z oczami nabiegłymi krwią, ze schrypłymi głosami. I kurwy, i dupy, i pedały – żadnego wykropkowywania tych słów, niech tu leżą i kłują w oczy. Że te różańce, że te krzyże, te trzymane wysoko ikony z obliczem Jezusa są utyłane w brudzie, przemieszane z najgorszymi słowami, z językowymi ekskrementami, że to dopiero jest prawdziwa profanacja, o której żaden biskup się nie zająknie.

Lecą butelki, wszędzie idziemy w smrodzie zgniłych jaj, na bruku pełno skorupki i żółtawej mazi. Mijamy dziewczynę, dwudziestoletnią może, o bardzo subtelnej urodzie; stoi przez chwilę tyłem do czoła marszu, odpoczywa, ma na czole ogromnego, krwawego guza, wielkości śliwki; chłopak dotyka ją troskliwie, głaszcze po ramieniu, a ona, z uśmiechem, mówi coś o tym, że wszyscy się patrzą i chyba musi zmienić fryzurę, więc przeczesuje palcami włosy na drugą stronę, tak, żeby zakryły ten pałający ślad.

Wokół cały czas gwizdy, wybuchają petardy, czasem pojedynczo, czasem w dłuższych kanonadach, jakby się pan Wołodyjowski, larum grają, wysadził z Kamieńcem Podolskim, żeby geje nie przeszli, do tego zniżający się co raz helikopter i nieustannie skandowane: „Wy-pier-da-lać! Wy-pier-da-lać!” i coś o lesbach, i o pedałach, i o zakazie. Marsz jednak jakoś krzepnie, zbiera się w sobie, wcześniej przytłoczony; skandujemy sami, zagłuszając tamte wrzaski samymi pozytywnymi hasłami. Mijamy faceta z wielkim piwnym brzuchem, wylewającym się spod koszulki jak ciasto z dzieży: w ręku trzyma oderwany pedał i nim kręci w jakimś szalonym widzie, istny pijany stryj z wesela, któremu się wydaje, że poczynił właśnie zacny dowcipas; skandujemy: „Zep-suł ro-wer! Zep-suł ro-wer!”, ale on jest sobą absolutnie zachwycony.

Wzdłuż marszu co jakiś czas jeździ ciężarówka z nagłośnieniem, wypływająca z siebie stek bzdur katolickiej propagandy o tym, że geje i lesbijki masowo gwałcą dzieci; za kierownicą siedzi facet z długą brodą, z zaciętym spojrzeniem, jak przeflancowany z ISIS. Ale wreszcie dojeżdża i nasza platforma z muzyką – czarnowłósy facet z jakąś katotalibską koszulką „ARMIA BOGA” i „Nie wstydzę się Jezusa” (a jak z wzajemnością? Czy Jezus się ciebie nie wstydzi?) wyrzuca z siebie rynsztokowe wyzwiska, ale kiedy leci ABBA, sam zaczyna, bezwiednie chyba, podrygiwać. Mamy jednak lepsze piosenki, niż w kościele.

Notuję ich w pamięci, bo idziemy ciemną doliną, przez jaskinię lwów, choć to zdecydowanie mniej szlachetne zwierzęta: ludzie. W ich zdecydowanie nietwarzowej wersji. Obok kiboli – którzy cały czas posuwają się z nami przez miasto, a idziemy opornie, przez kolejne blokady – są inni; młode kobiety z zaciśniętymi szczękami, staruszki, kobiety w średnim wieku. Jedna z nich, w jedwabnym peniuarku, wincyj wyrafinowana, nie pokazuje faktów, tylko kciuk w dół; ale kiedy odpowiadamy falą całusów i serduszek z sacharynowym uśmiechem kreśli nad nami znak krzyża. Tuż obok niej stoi pani na oko osiemdziesięcioletnia, promienna, która macha do nas serdecznie. I tak sobie stoją ramię w ramię, dwie różne Polski. Nad nimi okna bloku – na balkonie stoi kolejna starsza pani i posyła nam całusy, a wyżej wściekły byczek z papierosem w zębach wystrzeliwuje w naszym kierunku kanonady faktów. W innym oknie, w innym budynku z dala od okna korpus nagiego mężczyzny, zgarbionego, który patrzy z mroków jak Gollum. Notuję ich w pamięci, bo idziemy ciemną doliną i chciałbym to jakoś pojąć, tę furię, ten rynsztok.

Koło nas idą takie same osoby, zwykli ludzie: wzruszająca para starszych ludzi, trzymających się za ręce. Dwie pary z wózkami (nie wiemy, że nieco dalej narodowcy blokujący marsz używają wózka z dzieckiem jako żywej tarczy dla swojej blokady). Dużo heteroseksualistów, którzy idą tu albo dla swoich przyjaciół, albo dla bliskich, albo z podstawowej ludzkiej przyzwoitości, żeby być po stronie bitych, a nie bijących. Pani z jamniczkiem. Nasza część marszu przejmuje się, czy dla jamniczka nie za szybko. I czy nie jest zestresowany. Dziećmi też się zajmujemy, ale tego jakoś nie wyrażamy, może żeby nie zapeszyć, może stąd takie zainteresowanie jamniczkiem. Chłopak z dziewczyną wspólnie niosą dużą kartkę z napisem MIŁOŚĆ, kartka jest cała zmięta, pognieciona, ale niosą ją mimo to, przytuleni.

Kontrast między odwagą tych idących a tchórzostwem atakujących, piorunujący. Co jakiś czas zdarza się wyrywniejszy, zza policji, że do niego na solo, i jakoś zawsze jest to facet wielkości szafy, a na solo to by chciał z chłopakiem jak jego połówka. „Chodź no tu” kiwają, a potem: „Jesteś tchórzem”, ale przecież nie rzucają się sami na kordon, husarze, na silniejszych, tylko na słabszych, kilku na jednego, na jedną, wtedy chętnie. Czterdziestolatek opuchnięty mięśniami na piętnastolatkę z kokardką we włosach, obrońcy wdów i sierot. Wiemy przecież, że gdyby nie policja, nie skończyłoby się na biciu, pluciu, kopaniu; to miasto miało już swoje pogromy. I też robili je zupełnie zwykli ludzie. M. na początku jest cały roztrzęsiony, nie może do siebie dojść po tym, jak widział tamtego bandziora w czerwonej kominiarce, kopiącego z obrotu dziewczynę – ale idzie mimo to i czuję, ile go to kosztuje, i wiem, że jest o tyleż odważniejszy od tamtych, w koszulkach z żołnierszami wykleętymi i powstańczymi kotwicami, odważnych odwagą stada, które jest pewne bezkarności, kiedy rzuca się na jednego, na jedną.

Mijamy katedrę – na schodach tłum przeciwników, J. siedł bliżej i słyszał stamtąd opowieść tej treści: że w Kongu żył okrutny pogański król, który gwałcił swoich paziów, sodomizował ich w najlepsze, ale oni się nawrócili, poczuli, że to złe, odmawiali mu, a wtedy on ich poćwiartował. Ktoś to wymyślił, ktoś to uszył, ten mariaż rasizmu, ksenofobii z homofobią, żeby mieć pełne combo. Katedra jest przecież bijącym źródłem tej furii; to stamtąd biskup Wojda rozesłał swój komunikat, że „Non possumus”, że „nie możemy się zgodzić” żeby marsz przeszedł, żeby wolni obywatele Polski korzystali ze swojego konstytucyjnego prawa. Teraz wszyscy ci panowie Staszkwie i panie Łucje w kretonowych sukienkach, i sebiksy z prawem wilka na koszulkach i w oczach, stoją wzdłuż marszu, biegną, pokazują faki, ten uniwersalny znak pokoju, wylewają z siebie tę homilię wulgaryzmów, to biskup Wojda stoi za tymi lecącymi kamieniami i butelkami, za guzem dziewczyny, która

przeczesa palcami włosy na drugą stronę. Biskup Wojda nie musi rzucać sam, zapewne „brzydzi się przemocą” i „pochyla się z troską”, wystarczy, że ma od tego kibolskie bojówki, które głoszą jego ewangelię. Ślepy miecz i ręka, na palcu pierścion. „Krzyż mieliście na piersi, a brauning w kieszeni”.

Spod katedry docieramy znowu przed pałac Branickich, na most, ale tu marsz został zablokowany, więc przez jakiś czas stoimy; wszyscy się kręcą, my ich, oni nas, kręcą dziesięciolatkowie i emeryci, wszyscy, technologia śmiga. Myślę o tym, po co – dla części to pewnie osobliwość, dziwota, cyrk przyjechał, bo przecież w Białymstoku nie ma gejów i lesbijek (wczoraj jeden pan się upierał w dyskusji, że ma 35 lat i w życiu w Białymstoku geja nie widział); ale inni, z zaciśniętymi wargami, z czołami zwiniętymi w jakiś splot, mają chyba inne zamiary. Listy proskrypcyjne, że jak przyjdzie czas, to trzeba mieć nagranie? Na stronki faszolskie, na których potem wrzuca się kadry, szuka imion, nazwisk, adresów, zastrasza?

Mamy jednak iść w drugą stronę, platforma więc zawraca, ale stoimy tak długo, że proszą mnie, żebym na nią wszedł i wygłosił, co wygłosić miałem; nie sięgam nawet po kartki, mówię z głowy, więc nie do końca składnie. Staram się, ale nie znajduję w sobie głosu, jaki chciałbym znaleźć. Brzmiącego większą nadzieją. Platforma co jakiś czas minimalnie rusza, przystaje, znów rusza. Potem już na niej zostaje, bo jednak jedziemy; stąd, z muzyki, wszystko wygląda nieco inaczej, postanawiam posyłać dwa, trzy, pięć razy więcej całusów i serduszek wszystkim fakującym. Piętnastoletnia może dziewczyna stoi z koleżanką, patrzy na mnie wściekle i, utrzymując kontakt wzrokowy, powoli przesuwa palcem po szyi. Koła przejeżdżają po wyrwanej kostce brukowej, którą w nas rzucano, porządkowy wyciąga jedną spod kół platformy i znosi do policjantów z pytaniem, co ma z tym zrobić, ale wzruszają

ramionami. Obok mnie jakieś młode dziewczyny, chłopcy (zresztą mnóstwo jest tu ludzi młodych i bardzo młodych): ta z burzą tęczowego tiulu na plecach, tamten, Kuba, z burzą loków – okazuje się, że ma urodziny i cały marsz śpiewa mu: „Sto lat”; na ramieniu widzę otarcie i krew. Od rzuconego kamienia. „Przepraszam – mówi do mnie, trochę przepraszająco, a trochę kokieteryjnie – sam jestem esteta, ale niestety nie mam czym zakleić.” Przed nami znowu kanonada petard i policja przebija nam przejście na plac. I tu jesteśmy oto, doszliśmy, udało się – „non possumus” jednak się nie ziściło – ale otoczeni przez tę samą nienawiść. Na platformie drag queen ściąga buty, a ja się zastanawiam, ile czasu zajmie ten demontaż.

Bo obok wszyscy robią to samo – i jest to jakoś rozdzierające, może nawet bardziej, niż tamten widok wściekłych twarzy. Wszyscy się kamuflują. Chłopak obok mówi dziewczynie, żeby zdjęła okulary i delikatnie odkleja duże krążki brokatu, pobłyskujące wokół oczu. Ta z burzą tiulu chowa burzę do kerfurowej torby, ale w końcu uznaje, że nie da się tego ukryć, przemycić, więc wrzuca torbę na platformę; ludzie zdejmują tęczowe dodatki, składają flagi, chowają do czarnych plecaków, narzucają ciemne ubrania. Trzeba stąd będzie jakoś wyjść, żyć w tym mieście.

Po mnie przychodzi J., idziemy razem do samochodu, z początku z dziennikarką radiową z mikrofonem – poprosiła o komentarz, a ja udzielam, bo tak jednak nieco bezpieczniej, może na oczach, na uszach medium nie pobiją, może ich to skrupuje; potem idziemy dalej, przez słoneczne miasto, jeden facet przyskakuje do mnie, kopie mnie, ale jakoś niecelnie, byle jak, coś wrzeszcząc, że wypierdalać i pedały jebane, później jednak jest już spokojniej. Docieramy do Pikniku Rodzinnego, gdzie te armaty i wojska, przechodzimy, a J. mówi z aprobatą, że miasto jednak stanęło na wysokości zadania, bo taki piknik to odciągnie ludzi od bandyckich napadów. Wyjaśniam mu, że przecież to w kontrze do

marszu i nie ma w tym nic niewinnego – nie bardzo mi jednak wierzy, dopiero kiedy mijamy dwóch ochroniarzy, stojących przy wejściu do parku, następuje wymowna scena.

My właśnie przeszliśmy między nimi, a z naprzeciwka idą dwie młode dziewczyny, jedna z gwiazdką naklejoną na policzku, niezakamuflowana – i ochroniarze mówią, że ich nie wpuszczą. Bo to jest wyjście, nie wejście, mogą pójść naokoło. Pytają, którądy, a ochroniarze na to, że i tak ich nie wpuszczą, bo są z marszu, a tych z marszu nie wpuszczają na Piknik Rodzinny. „Zaraz – mówi J. – przecież my też jesteśmy z marszu, a przeszliśmy!”. Panowie się zasromali, orzekli, że to bardzo źle i że nie wpuszczą dziewczyn. „Ale przecież tamten marsz się już skończył”. Nieważne. Była to najwyraźniej strefa wolna od LGBT. Marszałek województwa niby zapraszał, ale jednak z segregacją obywateli na tych uprawnionych i tych nieuprawnionych, wedle ustaw norymbiałostockich.

J., skądinąd hetero, wiózł mnie do Warszawy – przy wyjeździe z miasta minęliśmy autobus z oznaczeniem: *KLEPACKA. ZMIANA TRASY* – i co jakiś czas wracał do tego, co widział na marszu, co najbardziej utkwilo mu w pamięci. Kobieta z trzy-, czteroletnim może dzieckiem, któremu układała obie małe rączki w faki, mówiąc „Ucz się!”, po czym skandowała: „Wy-pier-da-lać! Wy-pier-da-lać!”.

Joanna Głuszek

Przemówienie z manifestacji Polska Przeciw Przemocy

Nazywam się Joanna, mam 28 lat, urodziłam się w Białymstoku i tu mieszkałam całe życie. Tu stawiałam pierwsze kroki, tu przeżywałam pierwsze zakochania i pierwsze zawody, tu nawiązałam pierwsze przyjaźnie. Tu pierwszy raz doświadczyłam przemocy. I tu wraz z grupą przyjaciół założyliśmy Tęczowy Białystok i zorganizowaliśmy pierwszy Marsz Równości. Po którym dowiedziałam się, że nie jestem osobą, ale ideologią, że jestem obca dla tego miasta, że lokalna społeczność mnie sobie tu nie życzy i że mam wypierdalać.

Choć prawie każdy z nas w rodzinie się wychował i dla wielu z nas największym marzeniem jest właśnie spokojne tradycyjne życie w rodzinie – „białostockie rodziny” stawiano w opozycji do nas. Choć wielu z nas jest katolikami i prawosławnymi, od hierarchów Cerkwi i Kościoła dowiedzieliśmy się, że w naszych wspólnotach nie ma dla nas miejsca. Oskarżono nas, że wyrządzamy krzywdę dzieciom – w kraju, w którym dzieci nieheteroseksualne giną z własnych rąk, w którym 70% młodzieży LGBT w wieku szkolnym co najmniej raz w przeciągu ostatniego roku myślało o samobójstwie. Łatwo w to uwierzyć. Byłam jednym z nich.

Jest 2019 rok. Niemal od 20 lat w Warszawie odbywa się Parada Równości, w coraz większej liczbie polskich miast, w tym roku w ponad dwudziestu, przeszły lub przejdą marsze równości, i uczestnictwo w nich stało się ważnym aktem polityczno-społecznym walki o prawa

człowieka, żądania swojej przestrzeni, zajęcia miejsca, zabrania głosu. Nikt jednak nie spodziewał się, że będzie to też akt najprawdziwszej odwagi, a tak było w Białymstoku. W stronę maszerujących kierowano najohydniejsze obelgi i przekleństwa, leciały na nich szklane butelki, kamienie, petardy i kostka brukowa. Ludzi ganiano, kopano i bito. Nikt nie spodziewał się takiej eskalacji nienawiści i takiej przemocy. Dlatego wstrząśnięci i ze złamanymi sercami zbieramy się tu dziś, by protestować przeciwko przemocy.

Dziękujemy Wam za waszą obecność, tutaj i na demonstracjach solidarnościowych w całym kraju. Dziękujemy Akcji Demokracji i wszystkim osobom, które wzięły udział w zbiórce pieniędzy na rzecz Tęczowego Białegostoku. Dziękujemy za wszystkie wiadomości ze słowami wsparcia, które otrzymujemy. Największe wsparcie dla nas to pójście z nami ramię w ramię. Dlatego najbardziej, przede wszystkim, dziękujemy osobom, które tydzień temu szły w pierwszym białostockim Marszu Równości. Dziękujemy tym, którzy przyszli, by do nas dołączyć i nie udało im się. Dziękujemy białostoczanom, którzy mieszkają dziś gdzie indziej i przyjechali do swojego rodzinnego miasta na ten marsz. Dziękujemy każdemu, kto tego dnia był z nami: sąsiadowi i sąsiadce, znajomym i kolegom, rodzinom i rodzinom z wyboru, współpracownikom, naszym nauczycielkom i wykładowcom, działaczom społecznym, ludziom kultury i mediów, każdemu. Wasze wsparcie jest dla nas prawdziwie bezcenne, dziękujemy.

A ja jestem tu dziś po to, by przypomnieć, że to nie była „tylko” przemoc, lecz przemoc bardzo konkretna, mająca imię: homofobia. Jej ofiarami są tak samo osoby LGBT, jak i towarzyszący im hetero sojusznicy. Nie uciekajmy od tego słowa. Nie rozwadniajmy, nie uogólniajmy tego, co się stało. Homofobia – która zaczyna się od irracjonalnej niechęci do osób nieheteronormatywnych, ich obecności w przestrzeni

publicznej, ich ekspresji, rośnie w nieufność, nienawiść, a kończy na dyskryminacji i przemocy wobec osób LGBT+. Największe jej ofiary są śmiertelne. Wspomnijmy chwilą ciszy Dominika, Kacpra, Milo i wiele anonimowych osób, których już z nami nie ma. Gdybyśmy chcieli zamiast parady czy marszu równości zrobić żałobny marsz pamięci dla ofiar homofobii, wymienialibyśmy je tak długo, że słowa traciłyby znaczenie. Wiecie, dlaczego tak nie robimy? Dlaczego jesteśmy kolorowi, tańczymy, bawimy się w rytm muzyki? Z myślą o tych dzieciakach, tych 70% dzieciaków niehetero, które poważnie myślą o samobójstwie. „Chciałabym widzieć na horyzoncie jakąś nadzieję. Chciałabym usłyszeć coś innego niż «kiedyś w końcu będzie lepiej». Chciałabym żyć pełnią życia już dzisiaj, w tym momencie” – napisała Milo przed śmiercią. Z myślą o tych dzieciakach. Żeby miały nadzieję. Żeby widziały, że z roku na rok jest lepiej. Żeby widząc, jak w marszach idzie coraz więcej osób, wiedziały, że jesteśmy z nimi już dzisiaj, w tym momencie. To marsze równości są protestem wobec tej przemocy. To na nich powinniście być.

Drodzy sojusznicy, najbardziej potrzebuję od was dziś, żebyście nie bali się nazywać tej przemocy. Wszyscy i wszystkie musimy jasno i wyraźnie opowiedzieć się przeciw przemocy i za prawami dyskryminowanych. W tym celu musimy równie jasno i wyraźnie powiedzieć: przemoc, która eskalowała w Białymstoku, to homofobia. Widać ją w różnym natężeniu w wypowiedziach polityków i hierarchów wspólnot religijnych. Widać ją w okrzykach, kamieniach, pięściach, kopach.

Wśród ludzi, którzy krzyczeli do nas „wypierdalać”, pomiędzy kibicami z całej Polski widzieliśmy sąsiadów i sąsiadki, znajomych i kolegów... Każda z tych wykrzywionych w nienawiści twarzy łamała serce. Jednocześnie nadal odmawiam przypisywania Białemustokowi gęby fałszywego i homofobicznego. Nadal wierzę w Białystok i proszę

was o to samo. Bo Białystok to ja, to my, to wy, którzy szliście z nami w marszu – nie mniej, niż ktokolwiek inny.

Ten Białystok dziękuje za wszystkie słowa otuchy z zewnątrz i ma nadzieję, że ogromne finansowe środki i bezcenne psychiczne wsparcie sprawią, że za rok pójdzie nas jeszcze więcej. Idziemy razem i idziemy dalej.

Poradnik prawny

Zaangażowanie w działania społeczne mające na celu wywołanie zmian w zakresie postrzegania i traktowania osób LGBT+ może spotkać się i spotyka z różnorodnymi reakcjami funkcjonariuszy państwa, w tym, w pierwszej kolejności, z reakcją funkcjonariuszy policji. Niniejsze opracowanie powstało we współpracy z praktykującymi prawnikami i zawiera informacje o obowiązujących regulacjach prawnych dotyczących: legitymowania, zatrzymania, uprawnień w zakresie zgłaszania podejrzenia popełnienia przestępstwa, ochrony osób pokrzywdzonych przestępstwem, a także praktyczne wskazówki dotyczące tego, jak zachować się w kontakcie z funkcjonariuszami policji.

Manifestacje, legitymowanie, zatrzymanie

Niezależnie od tego, czy bierzesz udział w zgromadzeniu publicznym (definiowanym jako zgrupowanie osób na otwartej przestrzeni dostępnej dla nieokreślonych imiennie osób w określonym miejscu w celu odbycia wspólnych obrad lub w celu wspólnego wyrażenia stanowiska w sprawach publicznych) zwykłym, tj. zgłoszonym wcześniej odpowiednim organom, czy spontanicznym czy nawet w jednoosobowej manifestacji, Policja posiada uprawnienie, żeby Cię wylegitymować – w celu ustalenia Twojej tożsamości (art. 15 ust. 1 pkt. 1 ustawy o Policji). Co do zasady skorzystanie przez funkcjonariuszy z tego

uprawnienia powinno być ograniczone do sytuacji uzasadnionych, czyli takich, gdy występuje zagrożenie dla porządku publicznego, zachodzi podejrzenie popełnienia przestępstwa lub wykroczenia albo istnieje podejrzenie, że osoba, która ma być legitymowana jest poszukiwana. Możesz i powinieneś zapytać o prawne i faktyczne powody interwencji, ale powinieneś mieć też świadomość, że mogą być one fikcyjne i na tym etapie powody wskazane przez funkcjonariusza są aweryfikowalne. Niezależnie od tego, co powie funkcjonariusz, żądaniu okazania dokumentu tożsamości należy się podporządkować.

Dokumentem tożsamości może być dowód osobisty, paszport, a także każdy inny niebudzący wątpliwości dokument zaopatrzony w fotografię i oznaczony numerem lub serią. Dokumentem wystarczającym powinna być też legitymacja szkolna lub studencka. W przypadku braku dokumentu tożsamości powinno wystarczyć, że inna osoba (np. kolega) poda Twoje dane i sama okaże swój dowód tożsamości. Przed przystąpieniem do wylegitymowania Ciebie, Policjant też powinien się przedstawić, podając swoje imię, nazwisko i stopień, możesz te dane zanotować i prosić o ich powtórzenie. Jeżeli funkcjonariusz jest umundurowany nie ma obowiązku okazywania swojej legitymacji.

W trakcie czynności zachowaj spokój, bądź stanowczy, ale grzeczny w swoich żądaniach. Pamiętaj, żeby nie reagować agresywnie, nie uciekać, nie szamotać się, takie zachowanie może bowiem stanowić podstawę postawienia Ci zarzutu naruszenia nietykalności cielesnej funkcjonariusza, co zgodnie z art. 222 kodeksu karnego zagrożone jest karą pozbawienia wolności do 3 lat. Możesz rejestrować czynność za pomocą telefonu komórkowego, ale nie możesz tego nagrania nigdzie publikować bez narażania się co najmniej na odpowiedzialność z tytułu naruszenia przepisów o ochronie danych osobowych. Odmowa okazania dokumentu tożsamości może skutkować zatrzymaniem na komisariacie w celu ustalenia Twojej tożsamości.

Jeżeli naruszyłeś obowiązujące przepisy, popełniając wykroczenie, albo jeżeli jest tak w ocenie funkcjonariusza, to może on zdecydować o ukaraniu mandatem karnym. W tej sytuacji powinien poinformować Cię o wysokości nakładanej grzywny, wskazać wykroczenie, za które wymierza karę, określić przepis prawa stanowiący podstawę ukarania, czas i miejsce popełnienia wykroczenia. Masz w tej sytuacji dwie możliwości: przyjąć mandat (co jest równoznaczne z przyznaniem się do zarzucanego czynu i nie można już tego cofnąć) albo odmówić przyjęcia mandatu – wówczas policja skieruje do Sądu wnioski o ukaranie, gdzie będziesz mógł podjąć próbę swojej obrony.

Jeżeli funkcjonariusz zdecyduje o Twoim zatrzymaniu (zgodnie z definicją o krótkotrwałym pozbawieniu wolności dla osiągnięcia celów procesowych) – czy to z uwagi na odmowę okazania dokumentu tożsamości, czy z uwagi na podejrzenie popełnienia przestępstwa przy jednoczesnej obawie ucieczki, ukrycia się albo zatarcia śladów przestępstwa, czy też z jakichkolwiek innych względów – a dzieje się tak niestety w praktyce, ma obowiązek pouczyć Cię o Twoich uprawnieniach. Najpewniej przedstawi je w formie pisemnej na komisariacie. Mimo zewnętrznej lub wewnętrznej presji podpisania przedstawionych pocięć, żeby jak najszybciej przeprowadzić czynności i opuścić komisariat, nie poddawaj się naciskowi i jak najdokładniej zapoznaj się z przysługującymi Ci uprawnieniami, a dopiero później je podpisz. Pamiętaj, że masz prawo:

- skorzystać z pomocy adwokata lub radcy prawnego
- skorzystać z bezpłatnej pomocy tłumacza, jeżeli w wystarczającym stopniu nie władasz językiem polskim
- wyjaśniać albo odmówić składania wyjaśnień
- otrzymać odpis protokołu zatrzymania
- otrzymać pierwszą pomoc medyczną
- poinformować inną osobę o Twoim zatrzymaniu
- złożyć zażalenie na zatrzymanie

- poinformować o zatrzymaniu konsula lub przedstawiciela dyplomatycznego
- uzyskać informację o maksymalnym terminie zatrzymania

W trakcie zatrzymania Policja i inne uprawnione do zatrzymania formacje mogą stosować środki przymusu bezpośredniego (siłę fizyczną, kajdanki, pałkę służbową), więc dla swojego bezpieczeństwa zachowaj spokój i tak jak w sytuacji legitymowania nie szarp się, nie uciekaj i wykonuj polecenia funkcjonariuszy.

Zatrzymanie może trwać maksymalnie 48 godzin, a jeżeli w tym czasie prokurator zdecyduje się o skierowaniu do Sądu wniosku o zastosowanie tymczasowego aresztowania, to czas ten ulega przedłużeniu o 24 godziny. Jeżeli po tym czasie, tj. łącznie 72 godzinach, nie zostanie wydane przez Sąd postanowienie o tymczasowym aresztowaniu osoba zatrzymana musi zostać zwolniona.

Najważniejsze, czego powinieneś się domagać po zatrzymaniu to umożliwienie kontaktu z adwokatem lub radcą prawnym, prawo to zagwarantowane zostało w art. 245 § 1 kodeksu postępowania karnego. W praktyce policja zapewne pozwoli Ci na skorzystanie z telefonu, ale jeżeli nie znasz numeru, to nie będziesz mógł skorzystać z tej opcji. Z tego względu w czasie Strajku Kobiet demonstranci zapisywali sobie na przedramionach numery do osób świadczących pomoc prawną. Jeżeli wybierasz się na zgromadzenie, co do którego podejrzewasz, że może być przedmiotem zainteresowania policji, też powinieneś tak zrobić, a najlepiej nauczyć się takiego numeru na pamięć. Jeżeli nie masz możliwości skontaktowania się z adwokatem lub radcą prawnym bezwzględnie domagaj się poinformowania o Twoim zatrzymaniu i miejscu tego zatrzymania innej zaufanej osoby (rodziców, partnera, przyjaciela).

Oprócz powyższego uprawnienia, najważniejsze przysługujące Ci prawo to prawo do milczenia. Bezwzględnie powinieneś z niego skorzystać. Z amerykańskich filmów wiadomo, że „wszystko co powiesz może

zostać wykorzystane przeciwko tobie” i zasada ta znajduje zastosowanie również na gruncie polskiego porządku prawnego. Werbalny kontakt z policjantami ogranicz do żądania kontaktu z prawnikiem i zaufaną osobą oraz do zgłoszenia ewentualnej potrzeby udzielenia Ci pomocy medycznej. Prawo do milczenia i tym samym niedostarczania dowodów przeciwko samemu sobie jest fundamentalną gwarancją w procesie karnym. Prawo do odmowy składania wyjaśnień przysługuje Ci, gdy jesteś przesłuchiwany w charakterze podejrzanego, ale niejednokrotnie, celem obejścia tego uprawnienia funkcjonariusze przesłuchują zatrzymanych w charakterze świadków, którym przysługuje wyłącznie prawo do odmowy udzielenia odpowiedzi na pytanie. Jeżeli taka strategia przesłuchania zostanie zastosowana w Twoim przypadku po prostu odmawiaj odpowiedzi na zadane pytania, wskazując, że udzielenie odpowiedzi mogłoby narazić Cię lub osobę dla Ciebie najbliższą na odpowiedzialność za przestępstwo (art. 183 § 1 kodeksu postępowania karnego) lub ewentualnie odpowiadaj: „nie wiem”, „nie pamiętam”. Chęć wyjaśnienia i wytłumaczenia się może być ogromna, zwłaszcza, że będzie wspierana przez funkcjonariuszy i większość przesłuchiwanych osób poddaje się temu popędowi, jednak zwykle ze szkodą dla siebie. Nie reaguj na krzyki, groźby, obietnice, zmianę tonu lub osoby przesłuchującego Cię policjanta. Są to typowe metody i służą wyłącznie osiągnięciu zamierzonego przez służby celu. Zatem najważniejsze, co powinieneś wynieść z lektury tego poradnika, to że bez względu na wszystko nie powinieneś składać wyjaśnień, a już na pewno bez wcześniejszej konsultacji z adwokatem lub radcą prawnym.

Z zatrzymania funkcjonariusz sporządzi protokół, którego kopię otrzymuje zatrzymany. Dokument ten powinno się zachować, będzie on podstawą ewentualnych dalszych działań. W przypadku, gdy zatrzymanie było dokonane z naruszeniem przepisów, w drodze zażalenia można domagać się zbadania jego legalności (czyli zgodności zatrzymania z prawem), prawidłowości (a więc sposobu wykonania, warunków

panujących w miejscu zatrzymania) i zasadności (tj. oceny okoliczności faktycznych oraz proporcjonalności). Możesz takie zażalenie złożyć wprost do protokołu przesłuchania, możesz je przygotować później. Zażalenie wnosi się do sądu rejonowego, lecz składa się je do organu, który dokonał zatrzymania (art. 246 § 2 k.p.k.). Termin na wniesienie zażalenia wynosi 7 dni i liczy się od chwili zatrzymania (art. 460 k.p.k.). Może ono być wniesione także po zwolnieniu.

Zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa

Każda osoba, która dowiedziała się o popełnieniu przestępstwa ściganego z urzędu, ma obowiązek zawiadomić o tym policję lub prokuratora (art. 304 kodeksu postępowania karnego). Jest to również obowiązek społeczny, co oznacza, że za brak zawiadomienia nie grozi Ci żadna kara. Jeśli to Ty stałeś się ofiarą przestępstwa również powinieneś zawiadomić o tym policję.

Istnieje wiele sposobów złożenia zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa i wszystkie są tak samo wiążące dla organów ścigania i jednakowo skuteczne. Zawiadomienie możesz złożyć osobiście na komisariacie, ale również zadzwonić albo opisać szczegółowo i konkretnie, co się wydarzyło. Pamiętaj jednak, że jeżeli zawiadomienie złożyłeś na piśmie prawdopodobnie zostaniesz wezwany na komisariat – celem złożenia zeznań w charakterze świadka lub celem uzupełnienia zawiadomienia. Jeżeli obawiasz się wizyty na komisariacie możesz się tam udać z zaufaną osobą, ale nie będzie mogła ona być obecna przy czynności samego przesłuchania – wyjątek dotyczy adwokata lub radcy prawnego, który może towarzyszyć osobie przesłuchiwanej.

Jeśli zdecydowałeś się napisać zawiadomienie o przestępstwie samodzielnie, to powinno ono spełniać wymogi pisma procesowego, czyli zawierać oznaczenie organu, do którego jest skierowane, dane

personalne oraz adres wnoszącego pismo, możliwie szczegółowy opis sprawy, której dotyczy zawiadomienie, a także datę i podpis składającego zawiadomienie.

Możesz też po prostu zgłosić się na komisariat – najczęściej spotykaną formą zawiadomienia o przestępstwie jest zawiadomienie złożone w formie ustnej, przyjęte i spisane przez policjanta w formie protokołu. Wówczas od razu zostaniesz przesłuchany w charakterze świadka, a jeśli jesteś pokrzywdzonym – dowiesz się również o swoich uprawnieniach i obowiązkach.

Osoby pokrzywdzone przestępstwami, o których mowa w art. 197 – 199 kodeksu karnego, tj. zgwałcenia, wymuszenia innej czynności seksualnej, seksualnego wykorzystania bezradności lub niepoczytalności, a także seksualnego wykorzystania stosunku zależności lub krytycznego położenia traktowane są w sposób szczególny, mający na celu zminimalizowanie ich traumy. Zawiadomienie o przestępstwie przyjmowane od pokrzywdzonego ograniczone będzie do wskazania najważniejszych faktów i dowodów, a samo przesłuchanie odbędzie się dopiero przed sądem i przeprowadzone zostanie w warunkach zapewniających pokrzywdzonemu odpowiedni komfort psychiczny, w odpowiednio przygotowanym pomieszczeniu. W ten sam sposób przesłuchuje się osoby małoletnie poniżej 15 roku życia.

Aktualnie, na mocy dyrektywy 2012/29/UE Parlamentu Europejskiego i Rady z dnia 25 października 2012 r. i przepisów wykonawczych, ustanowione zostały normy w zakresie praw, wsparcia i ochrony ofiar przestępstw. Instytucją realizującą te normy jest indywidualna ocena służąca ustaleniu szczególnych potrzeb ofiary w zakresie ochrony. W praktyce stosowane są kwestionariusze, które wypełnia funkcjonariusz policji na podstawie rozmowy przeprowadzonej z osobą pokrzywdzoną przestępstwem, żeby ustalić, czy narażona jest ona na ponowną wiktyimizację, zastraszanie lub odwet i diagnozę jej potrzeb w zakresie pomocy. Przy dokonywaniu oceny potrzeb osoby pokrzywdzonej

przestępstwem pod uwagę brane są takie cechy osobowe ofiary, jak wiek, płeć oraz tożsamość płciowa, pochodzenie etniczne, rasa, religia, orientacja seksualna, stan zdrowia, niepełnosprawność, ale także status pobytowy, problemy z komunikacją, związek ze sprawcą lub zależność od niego czy doświadczenie przestępstwa w przeszłości.

Zgodnie z przywołaną dyrektywą państwo ma obowiązek udzielania pomocy ofiarom przestępstw w rozumieniu i byciu rozumianym od momentu pierwszego kontaktu z właściwym organem, jednak realnie w polskiej procedurze karnej brak jest odpowiednich systemowych rozwiązań zapewniających egzekucję tego obowiązku. Dlatego szczególnie istotna jest możliwość uzyskania wiedzy o uprawnieniach przysługującym osobom pokrzywdzonym przestępstwem.

Poradę adwokata lub radcy prawnego w tym zakresie (i w każdym innym) można uzyskać za darmo, bez żadnych dodatkowych warunków. Lista punktów dostępna jest pod adresem: np.ms.gov.pl, gdzie możliwe jest również umówienie wizyty. W Białymstoku wizytę umówić można również pod numerem telefonu (85) 869 66 99 oraz e-mailowo: darmowapomoc@um.bialystok.pl.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska

Podlasie wielopłciowe

Wstęp do książki *Dezorientacje. Antologia polskiej literatury queer* rozpoczyna się cytatem z eseju Stefana Napierskiego na temat literatury francuskiej, napisanego w 1933 roku, z którego autorzy antologii wyciągają wnioski adekwatne również wobec polskiej spuścizny literackiej:

Po pierwsze zatem, co najważniejsze – literatura z wątkami nieheteroseksualnymi istnieje (jej status ontologiczny bywał i ciągle jest podważany). Przejawia się ona zarówno w treści (choć ta oczywiście bywa kamuflowana), jak i w kwestiach formalnych (które łączą się z owym kamuflowaniem). Co więcej, literatura ta opisuje – całkiem po prostu – ludzkie życie, jest odbiciem egzystencji nieheteronormatywnych osób w świecie. Jest jednak „przewrotna”, a zatem etymologicznie rzecz ujmując, zdolna coś przewrócić czy wywrócić: zastane hierarchie, przyzwyczajenia czy *status quo* [...]¹.

Tę tylko z pozoru i niestety nie dla wszystkich oczywistą konstatację można przenieść na regionalny grunt – pozwolę sobie sparafrazować zacytowane wyżej słowa: podlaska literatura z wątkami nieheteroseksualnymi istnieje. Dlatego kiedy usłyszałam od Michała Łukaszuka o pomyśle stworzenia pokonkursowej antologii tekstów i prac związanych

¹ A. Amenta, T. Kaliściak, B. Warkocki, *Literatura przewrotna*, w: *Dezorientacje. Antologia polskiej literatury queer*, wstęp, wybór, opracowanie A. Amenta, T. Kaliściak, B. Warkocki, Warszawa 2021, s. 19-20. Esej Stanisława Napierskiego: S. Napierski, *O Prouście*, w: tegoż, *Wybór pism krytycznych*, oprac. J. Ziemia, Kraków 2009.

z tematem LGBTQA od razu przyszło mi do głowy, żeby poprzedzić ją krótkim wyborem literatury już wcześniej publikowanej. Klasyfikując ją jako podlaską używałam podwójnego kryterium: Podlasie stanowi miejsce akcji danego utworu albo jego autor/autorka są z tym regionem związani. Najwięcej spośród zaprezentowanych tekstów spełnia oba te wymogi. Jeśli chodzi o aspekt nieheteroseksualności, zdecydowałam się na przedstawienie tylko tych fragmentów, w których jest ona tematyzowana i przedstawiona wprost, na poziomie jawnej treści, bez kamuflażu. Oczywiście niezwykle interesujące byłoby przyjrzenie się strategiom sublimacyjnym w podlaskim piśmiennictwie, to jednak temat na zupełnie inną, wymagającą subtelniejszych, niż antologia, środków, opowieść – karkołomną, bo zawsze niesie ze sobą ryzyko denuncjacji, a ta z kolei, bez względu na intencje denuncjującego, ma rysy homofobiczne. Skupienie się na treści pozwoliło mi też abstrahować od biografii autorek i autorów w kontekście ich seksualnej orientacji (auto/bio/geo/graficzne kryterium lokalności jest z zupełnie innego obszaru, niż tożsamość seksualna twórcy)².

Zdaję sobie sprawę z tego, że to wybór niepełny, subiektywny, nie-reprezentatywny i że z pewnością udałoby się znaleźć takich tekstów

² Bliskie jest mi zaproponowane przez Wojciecha Śmieję rozróżnienie na teksty homoseksualne, ujawniające się w porządku interpretacji, dzięki specyficznym kompetencjom czytelnika potrafiącego rozszyfrować elementy kodu sublimacyjnego, oraz teksty homoseksualne jawnie obecne w porządku historycznoliterackim; jeszcze inaczej rzecz ujmując, teksty podzielone zgodnie ze schematem „zewewnętrzne – wewnętrzne«, w którym »zewewnętrzne« polega na scedowaniu trudu odczytania ukrytych znaków homoseksualności na czytelnika, a »wewnętrzne« na bezpośredniej homoseksualnej deklaracji piszącego podmiotu ze wszystkimi tego konsekwencjami”. Zob. W. Śmieja, *Literatura, której nie ma. Szkice o polskiej literaturze homoseksualnej*, Kraków 2020, s. 10. Śmieja polemizuje tym samym z koncepcją Germana Ritza, który tej różnicy nie wydobywa. Szwajcarski badacz formułuje tezę, że literatura homoseksualna stanowi część kanonu literatury polskiej, ewoluując od tekstów sublimacyjnych (klasyczny przykład stanowi proza Jarosława Iwaszkiewicza), przez emencypcyjne po postemancyacyjne. Zob. G. Ritz, *Niś w labiryncie pożądania. Gender i płeć w literaturze polskiej od romantyzmu do postmodernizmu*, przeł. B. Drag, A. Kopacki, M. Łukasiewicz, Warszawa 2002.

więcej. Mam nadzieję, że zachęci kogoś do podjęcia tego typu poszukiwań i samego tematu – nie powstał jak dotąd żaden artykuł eksponujący wątki gejowskie, lesbijskie czy transpłciowe w jakimkolwiek z dotyczących Podlasia utworów literackich (być może został napisany, ale o nim nie wiem).

W mini-antologii znajdują się fragmenty tekstów Krzysztofa Gedroycia, Grzegorza Sobaszka, Mirosława Miniszewskiego, Dariusza Adamowskiego, Ignacego Karpowicza, Agnieszki Masłowieckiej oraz Michała Łukaszuka. Ze względu na wysoką reprezentację prozy Karpowicza pozwoliłam sobie, zamiast fragmentów *Sonki*, zamieścić wycinek poświęconego jej artykułu mego autorstwa. Ta decyzja była też podjęta faktem, że wątki homoerotyczne nie pojawiają się w powieści jawnie, tylko w ramach strategii sublimacyjnej, której mechanizmy opisuję.

Teksty nie są uporządkowane chronologicznie, układają się za to w pewną opowieść: od lekko prześmiewczego tonu w napisanej językiem tutejszym prozie Gedroycia, przez czarny humor Sobaszka i groteskę w wydaniu Miniszewskiego, po subtelny erotykę wierszy Adamowskiego, drapieżność poezji Łukaszuka i liryzm opisu lesbijskiego zauroczenia w opowiadaniu Masłowieckiej, aż do dojmującego świadectwa skutków „pierwszego kłamstwa”, przedstawionego w *Miłości* Karpowicza. Za sprawą fragmentów z *Cudu* i *ości* tegoż autora pojawia się również wątek tożsamości niebinarnych, płynności granic płci i transgresywnego wymiaru pożądania. Już nawet na podstawie tych krótkich cytatów możemy wywnioskować, że temat nieheteroseksualności staje się przyczynkiem do podjęcia opowieści zarówno o miłości i intymnych relacjach, jak też ich społecznym kontekście – mógłby on stanowić podstawę do kolejnego zbiorowego portretu Podlasian. Literatura queer generuje też własną poetykę i tu można by było postawić pytanie o punkty, w których przecina się ona z regionalnym idiomem. Wszystkie te kwestie czekają na rozwinięcie, podobnie jak sama

mini-antologia, choćby o teksty Joanny Łępickiej, poetki pochodzącej z Białegostoku, której zbiór wierszy *Zeszyt ćwiczeń* ukazał się w grudniu 2023 roku nakładem Biura Literackiego.

Chciałabym bardzo podziękować Autorom, Autorce, Ewie Kanigowskiej-Gedroyć oraz Wydawcom za to, że zgodzili się na opublikowanie wszystkich tekstów bez pobierania z tego tytułu jakichkolwiek opłat. Ich przychylny reakcje nie tyle mnie zaskoczyły, co bardzo ucieszyły.

Rozumiana stereotypowo wielokulturowość Podlasia to kategoria, która już dawno temu została poddana dekonstrukcji, nadal jednak, eksponując regionalną specyfikę podlaskiej literatury, skupiamy się raczej na obecnych w niej śladach zróżnicowania narodowego/etnicznego czy wyznaniowego i, stanowiących jego konsekwencję, zjawiskach językowych, odmiennych doświadczeniach historycznych czy kwestiach tożsamościowych. Problematyka genderowa rzadko staje się częścią tych rozważań, a jeszcze rzadziej – ich sednem. Między innymi z tego powodu zorganizowaliśmy, jako Zespół Badań Regionalnych, we współpracy z Fundacją Uniwersytetu w Białymstoku, we wrześniu 2021 roku konferencję naukową pod hasłem „Literackie Podlasie kobiet: autorki, bohaterki, czytelniczki”. W 2022 roku ukazała się monografia wieloautorska zatytułowana *Literackie Podlasie kobiet. Autorki, bohaterki, konteksty* pod redakcją moją, Marka Kochanowskiego i Danuty Zawadzkiej³, jako 5. tom serii Biała Seria. Podlaski Regionalizm Literacki. Kiedy w grudniu 2022 organizowaliśmy VIII ogólnopolską konferencję z cyklu „Nowy regionalizm w badaniach literackich“ „Warstwy ludu – chłopki, chłopci i inni w literaturach regionalnych (XX-XXI wiek)” przyświecało nam założenie, że o klasie ludowej można mówić tylko intersekcyjnie, uwzględniając zarówno różnice terytorialne, jak też różnicę płciową, interpretowaną niebinarnie. „Odmieńczość” sugerowana przez nas w tytule konferencji jako

³ Link do publikacji: <https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/bitstream/11320/14293/1/LiterackiePodlasie-srodek.pdf>.

jeden z tematów wystąpień nie wybrzmiała w prezentowanych podczas sesji referatach. Jestem bardzo ciekawa, jakie efekty przyniosłoby większe zniuansowanie refleksji dotyczącej Podlasia (od literaturoznawstwa, przez socjologię⁴, po historię) pod kątem różnicy seksualnej, wpisanej w doświadczenie miejsca, współcześnie i historycznie; różnicy, która nie ograniczałaby się do heteronormatywnych, binarnych podziałów. Wielopłciowość jako element podlaskiej wielokulturowości – czemu nie? Warto wreszcie porządnie squeeerować nasz region. Przegięty Śląsk⁵ już jest, czas na Przegięte Podlasie.

Bardzo dziękuję Stowarzyszeniu Tęczowy Białystok za to, że mogę mieć swój mały wkład w tę publikację i za wszystkie Wasze dotychczasowe inicjatywy. Najmocniej ściskam Duszka Głuszka. Asiu, brakuje Cię tu.....

⁴ W tym miejscu warto przywołać publikacje pracującej na Uniwersytecie w Białymstoku socjolożki Małgorzaty Skowrońskiej, m.in. *Dystans społeczny wobec osób homoseksualnych. Mechanizmy, uzasadnienia, strategie dyskursywne*, Warszawa 2021; *O trudnych spotkaniach wielokulturowości i kategorii gender/queer*, „Pogranicze” 2011, t. 18; *Jak zmierzać ku różnorodności? O działaniach społeczno-edukacyjnych podejmowanych na rzecz społeczności LGBT w przestrzeni publicznej Białegostoku*, „Pogranicze” 2012, t. 19.

⁵ https://www.facebook.com/slaskprzegiety/?locale=pl_PL.

Krzysztof Gedroyć

Piwonia, niemowa, głosy

Fundacja Sąsiedzi, Białystok 2018 (wyd. I Warszawa 2012)

Raz za Bieruta katolik Zubrzycki zaloty robił do Białorusa Anatola. Tak było, tak!

On, znaczy się Zubrzycki, do Anatola słabość miał, jakby Anatol był dziewucha jaka. Z piersiami, z cipko, z dużo dupo. Anatol po prawdzie to i dużo dupe miał. Lubił podjeść i piwa popić lubiał. I miał coś z dziewuchy, fakt. Nie, żeby cycki jemu wyrosli, chociaż od maleńkości obtłuszczony był i spod podkoszulka fałdy jemu zwisali, ale tak jakoś chodził, podskakiwał, dupo zarzucał i potrząchał, że o szarówce można go było i z babo pomylić.

Nie przeciwiał się Zubrzycki swojemu upodobaniu. Zubrzycki hardy był i gdzieś miał, co ludzi na jego wygadują. No i był jako towarzysz w PZPR [s. 8].

Na Grunwaldzkiej Tolik oko w oko z Zubrzyckim stanął. I wtenczas dla jego pierwszy raz w głowie zaświtało, że Zubrzycki upodobanie do chłopów ma.

Wcześniej Tolik nie znał, że takie upodobanie na świecie jest. Bo skąd miał znać? Na wiosce o takich rzeczach nie gadali. W technikum chłopaki w kiblu tylko świńskie zdjęcia z gołymi babami pokazywali, w kabinach zamykali się i dyszeli i jęczeli, aż ich wuefista nie przegonił. Raz dziadek Tolika śmiał się, że Iwaniuk z brzegu wioski, co jemu żona umarła, pod wieczór do obory do krowy zachodzi i z rozpiętym rozporkiem powraca.

I jak Zubrzycki zza płota na Tolika wyglądał, przed oczami Tolika Iwaniuk stanął. Tolik przeląk się. Ale nie Zubrzyckiego, nie Iwaniuka, tylko siebie samego. Gdyż przyglądanie Zubrzyckiego jemu spodobało się.

Jakże to? On, Tolik, lubi dla Zubrzyckiego podobać się? I śmianie się dziadka dla jego przypomniało się, jak rechot śliskiej ropuchy w bajorze na wiosce.

A Zubrzycki zawzioł się, że dla Tolika nie odpuści. Tak jemu Tolik spodobał się.

Podobanie się to siła na świecie największa. I umyślił Zubrzycki Tolika do siebie przyciągnąć.

Gadał z Tolikiem na podwórzu i na ulicy. Piwo pod sklepem na Bema dla Tolika postawił. Jedno, drugie, trzecie. A jak ściemniło się, pod rękę Tolika do domu poprowadził, że niby Tolik spał się.

Pod łokieć Tolika ścisnął, aż dla Tolika zechciało się głowę na ramieniu Zubrzyckiego położyć. Tak dobrze od tej bliskości jemu zrobiło się. Bo Tolik bliskości ani z matką, ani z ojcem, ani z dziewczuchą nie zaznał.

Jak byli u furty, Zubrzycki Tolikowe jajca letko ucisnął i Tolika do płota przycisnął. I z bliska w oczy jemu zaglądnął. Nikt tak dobrze dla Tolika do tej pory nie zrobił i Tolik w Zubrzyckim zadurzył się [s. 10-11].

Grzegorz Sobaszek

Wszystkojedność

Wydawnictwo Szafa, Warszawa 2019

– Patrzysz na mnie podejrzliwie. Chcesz mnie o coś zapytać?

– Nie.

– A właśnie że tak. Czuję to. Chcesz mnie zapytać, co robię w ośrodku dla kobiet, prawda? Oczywiście, że prawda. Jestem stuprocentowym pedziem, więc właściwie można uznać, że mnie tu nie ma – oznajmia Szrum, po raz pierwszy używając gejowskiego zaśpiewu [s. 28].

Szrum to spolszczone shroom, czyli skrót od mushroom, ale shroom to, dokładniej rzecz ujmując, tak się przyjęło, grzyb halucynogeny. A Szrum bez shroomów nie wyobraża sobie życia. Zwłaszcza bez zazdrosnych chujków. Zazdrosne chujki to tłumaczenie angielskiej nazwy *Penis envy*. A *Penis envy*, bo shroomy *Psilocibe cubensis* wyglądają jak chujki.

Szrum je uprawia od dawna i od dawna się nimi objada, bo po chujkach życie jest w miarę lekkostrawne.

A życie takiego gejowskiego grubasa jak on zazwyczaj nie jest [s. 108].

Kiedy Szrum szczerzy się do tubylców i prowokacyjnie woła „Dzień dobry”, nikt mu złego słowa nie powie. Tutaj złe słowo można powiedzieć swojemu. Obcy musi się zadowolić wymownym milczeniem. Teraz tak samo. Helena z Szrumem jadą przez wieś, a wieś patrzy i wymownie milczy. Wieś niejedno już przeżyła, wieś cierpliwie poczeka. Wieś upomni

się o swoje i gdy przyjdzie odpowiedni czas, ten szczerzący się teraz szeroko lizbijski pederasta Szrum, na dodatek hanys pierdolony, może być pewien, że znajdzie się taki, co mu wreszcie ten wkurwiający uśmiezek wybije z twarzy do ostatniego zęba, a tę pizdę, co to go teraz bezczelnie przez wieś swoim gratem wiezie, żonę żydowskiego ekologa od siedmiu boleści, mąciwody i szkodnika, jakaś błogosławiona siła stąd raz na zawsze przegoni, żeby mleko na jej widok więcej nie kisło [s. 111-112].

Powodów do narzekań Mićka Leończuk i Wicik Borodaty mają akurat mniej niż rok czy dwa temu, kiedy musieli łązić po chatach i naciągać stare, a dobroduszne wdówki na drobne pożyczki albo dla odmiany pana przewodniczącego, którego to jeden z nich wszystkich dorobił się emeryturki porządnej, brać na litość.

[...]

No, ale kiedy to pedalicho z Prałdy zaproponowało Mićce i Wicikowi nową formę współpracy z wynagrodzeniem bardziej niż ładnym za zbieranie grzybków, sytuacja obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni dla nich, ale im tu bez śmichów-chichów z tych rachunków, bo jednemu o sto osiemdziesiąt i drugiemu tak samo o sto osiemdziesiąt, nie są tacy głupi, razem to daje trzysta sześćdziesiąt.

[...]

Następnie to samo pedalicho właśnie im już nie tylko zapowiedziało, że w kolejnym roku to więcej grzybka trza będzie naciachać, to na pewno, ale i że zaproponowało Mićce i Wicikowi, że chętnie by ich zatrudniło we własnej uprawie jakichś japońskich grzybów na drzewach fikuśnych.

[...]

Pan przewodniczący, kiedy tak słucha w przedsiionku sklepu tej radosnej nowiny Mićki i Wicika, kiwa tylko głową z zadowolenia. Cieszy się, że jego serdeczne ochlajptusy wyszedły na prostą i teraz może nawet same coś na swoje imieniny postawią w zamian [s. 330-331].

Mirosław Miniszewski

Opowieści ze wsi obok

Dziki siedlisko. Harkawicze, 2018

Połamiał sobie obie ręce przy masturbacji

Dwie wsie dalej od nas bardzo nieprzyjemna sytuacja. Mieszka tam starzejące się małżeństwo z późnym synem. Oni mają pod sześćdziesiątkę, a chłopak niespełna osiemnaście lat. Są to bardzo surowi ludzie, ortodoksyjni i ostentacyjnie katolicy. Są tak katolicy, że nawet katolicki ksiądz po kolędzie do nich niechętnie jeździ, bo się boi, że jest za mało katolicki. Syn jest wychowywany w duchu tradycyjnym. [...] Nie jest w okolicy tajemnicą, że chłopak jest nieszczęśliwą osobą – jest gejem i jeszcze na dodatek jest *transgender*, trzecia płeć. Bardzo miły chłopiec. Czasami latem biega po lesie w szpilkach i sukience, które dała mu nasza listonoszka. Nikomu to jednak nie przeszkadza. Nie ma on nikogo, bo w okolicy nie ma takich ludzi jak on. Do miasta nie jeździ, bo nie ma za co. Nie ma komputera, smartfonu. Nic nie ma. Ostatnio żalił się, że nie wyrabia, że go gniecie – więc listonoszka zebrała trochę kasy od okolicznych dobrych ludzi i kupiła mu w mieście parę gadżetów do rozpoznawania przyjemności kryjącej się w ciele. Niestety, kilka dni temu ojciec z matką znaleźli to wszystko i spalili mu w piecu. Dzisiaj przyjechało pogotowie. Okazało się, że chłopak tak się masturbował zawzięcie i nerwowo, że połamiał sobie obie ręce. Tego było za wiele. We wsi wybuchła awantura, że chłopaka dręczą, że żyć mu nie dają, że nie akceptują tego kim jest. Prawie pobili ojca. Ludzie pojechali do

miasta i odkupili mu wszystkie gadzety, nakupowali mu szpilek, sukienek, ciuchów w Zarze za kilka tysięcy złotych. Kupili mu smartfon z netem, żeby sobie znalazł chłopaka, albo kogo tam chce i oznajmili, że jak ojciec będzie go jeszcze dręczył, to dostanie w ryj. Przyjechał na to wszystko ksiądz po kolędzie i poprał ludzi oraz chłopaka. Powiedział, że nie można tak dręczyć człowieka. Rodzice zdziwieni powiedzieli księdzu, że kościół naucza inaczej. Ksiądz na to, że w kościele to chuja o życiu wiedzą [s. 19-20].

Dariusz Adamowski

Ćub, trać, porzucej

Mamiko, Nowa Ruda 2012

Druzi wiersz dla Łukasza

Czy jako chłopiec byłeś posłuszny
królowej śniegu? Czy różowiały ci
policzki na myśl o dotyku i mniej
wyrafinowanych opcjach? Jeśli tak,
to listopad kończy się właśnie teraz,
choć nie porzuciłeś wszystkich listków.

Będzie długa jazda przez białe tunele
i autobusy śniące otulonych ludzi.
Będzie błysk w migawce oka. Tak,
szron już się nie może doczekać.
Chciałby dotknąć twoich kości, pieścić
zaokrąglenia i ślizgać się po łukach
zeber. Bez prądu. Bez nerwowych połączeń
z centrum. Przypomnij sobie tę ciszę. [s. 24]

W którym będziemy

Kiedy zasypiam, znów jesteśmy sami
przed domem na wsi. Wiatr nad twoją głową
chce dokądś lecieć, więc my też ruszamy
wzdłuż starej ścieżki. I czuję, że zdrową

zrobimy rundkę: najpierw tym młodnikiem,
potem przez łąkę, gdzie wiele lat temu
szarak mi czmychnął spod nóg, a ty z krzykiem
upadłeś na mnie i żaden z nas nie mógł –

nie chciał wstać z ziemi. A w górze tymczasem
niebo zawisło niczym wielkie lustro,
w którym będziemy się wiecznie przeglądać.

We śnie tej nocy, młodnik stał się lasem,
łąka nie rodzi zajęcy. Jest pusto,
żadne odbicie nas już nie ogląda. [s. 27]

Dariusz Adamowski

Skrawki

Novae Res, Gdynia 2021.

Mirek przeciąga się z rozkosznym uśmiechem na twarzy. Leży zupełnie nagi na moim łóżku w Ukazach. Po raz pierwszy od powrotu ze szpitala. Łóżko jak zwykle trochę poskrzypywało, postękiwało, zagłuszając nieco nasze własne jęki. Teraz szczupły, umięśniony tors Mirka lśni złotawo w świetle nocnej lampki. Członek, jeszcze lekko nabrzmiały, leży na prawym udzie, trochę mroczny, w sepii i zgaszonej czerwieni. Chłonę światłocień i mieszam go w umyśle ze spokojem spełnienia. Karmię się krótką ekstazą. Mirek wyciąga rękę i zaczyna przesuwać palec wskazujący po moim nosie. Zatrzymuje się na wklęśnięciu między brwiami, uciska lekko to miejsce, jakby chciał sprawdzić, czy można się tędy przedostać do wnętrza mojej głowy. Czuję delikatny ból, kiedy Mirek zwiększa nacisk, ból przechodzi w rozluźnienie, przyjemność otwarcia się przed kimś, komu w pełni ufamy. Tu jestem. Możesz wziąć, co tylko chcesz. Rozbierz mnie na części. Złóż z powrotem w całość albo wyrzuć. Wszystko mi jedno.

– Ilu miałeś przede mną facetów – pyta, cofając dłoń [s. 344].

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska

Strategie autentyczności w prozie Ignacego Karpowicza (*Sonka i Miłość*)

„Wielogłos” 2021, nr 4 (fragment artykułu)¹

„Postulat autentyczności ma więc rację bytu o tyle, o ile przeciwstawia się temu, co zastane i powszechne, temu, co uważane za dotychczas konwencjonalne i stanowiące największą przeszkodę”², pisze Aleksandra Szmidt. Nieco dalej czytamy, że

Autentyczność istnieje o tyle, o ile powstaje w relacji ze sztucznością (sztuką, literaturą, społeczeństwem, widowiskiem). Przewycięzanie tego obciążenia jest częścią twórczości, poszukiwanie wyjścia z klinczu – niezmienną podmiotową utopią³.

Jako dwa podstawowe źródła tych przeszkód, barier i ograniczeń badaczka wskazuje, za Marshalllem Bermanem, „klasę społeczną” i „płeć”⁴, co modelowo realizuje konstrukcja postaci Soni.

[...]

Jak zauważa Szmidt „niezbywalnym elementem dyskursu autentyczności” jest „strategia nieujawniana sekretu, którego w istocie nie posiadał. To niekończące się okrażanie problemu i uwodzenie czytelnika,

¹ <https://www.ejournals.eu/pliki/art/18885/pl>.

² O. Szmidt, *Autentyczność: stan krytyczny. Problem autentyczności w kulturze XXI wieku*, Kraków 2019, s. 242.

³ Tamże, s. 246.

⁴ Zob. tamże, s. 115.

bez nadziei spełnienia obietnicy”⁵. „Sekret” Soni nie zostaje ujawniony i rozszyfrowany, wiemy jednak przynajmniej, gdzie go zlokalizować, wokół czego krążymy i jaka obietnica nie została spełniona. Zupełnie inaczej rzecz ma się z Igozem/Ignacym. Jak wspominałam, w miarę rozwijania się opowieści o Soni dokonuje się też proces „odkłamania” jego własnej tożsamości: okazuje się, że zanim został znanym warszawskim reżyserem, był prawosławnym, urodzonym na podlaskiej wsi chłopcem, zgodnie z wolą rodziców poddanym/poddającym się zwieńczonemu sukcesowi procesowi samopolonizacji. Kwestia jego prawa do autentyczności również zatem zostaje rozegrana na poziomie „klasowym”, co jednak z jej drugim kluczowym obszarem, czyli seksualnością?

W wielu fragmentach książki, stanowiących relację z przeżyć wewnętrznych Igora/Ignacego, możemy się natknąć na znaczące, ukryte za różnego typu zaimkami przemilczenia i niedookreślenia. Dowiadujemy się zatem, że odtwarzając historię Soni musi też zawalczyć o jakąś własną prawdę oraz że dzięki spotkaniu ze staruszką uświadomił sobie dotkliwą tęsknotę za czymś, czego nigdy nie zaznał:

W jaskrawej iskrze, która przeskoczyła na niego z Jozika Pasterza Myszy [kot Soni – dop. K.S.M.], pojął, że musi pamiętać więcej nawet, niż Sonia opowiadała, że musi pamięć zaprząć w teatralny lub powieściowy kierat, by siebie ocalić, by wreszcie opowiedzieć jakąś prawdę, zawalczyć o coś. Chociaż to akurat przeczuwał chyba od samego początku, już od progu⁶.

Igor poczuł nieokreśloną bliżej tęsknotę. Jakby tęsknił do czegoś, czego nie skosztował, a co już stracił. Albo do tęsknoty za ciągłością, za nitką nawiniętą na kłębek, bez supłków⁷.

⁵ O. Szmidt, dz. cyt., s. 253.

⁶ I. Karpowicz, *Sonka*, Kraków 2014, s. 59.

⁷ Tamże, s. 101.

Reżyser i tłumacz opowieści Soni zarysowuje też wyraźną paralełę między jej i własnym doświadczeniem, określając jego punkty wspólne: narząd mowy (problemy oczywiście pojawiają się w momencie artykulacji), emocje, w tym strach przed upokorzeniem, ale też płęć⁸:

Niekiedy przekładnie myśli Soni sprawiało mu wielką trudność. Teoretycznie nie powinno to stanowić problemu. Jej język i jego nie są zbyt odległe, mieszkają w podobnych jamach, ta sama śliskość, to samo żebrowane podniebienia, ten sam strach przed upokorzeniem. Jej emocje wydają mu się dostępne. Jej płęć, osłabiona wiekiem, nie jest całkowicie obca. A jednak. A jednak nie jest to takie proste, jakby wynikało z sumy podobieństw.

Nieraz czuł, że opowieści Soni odbiera coś cennego. Czuł się jak kustosz w muzeum cudzych wspomnień, jak horolog przy rozłożonym mechanizmie. Dopiero gdy się przełożyło te wspomnienia na własne doświadczenie, wyłaniało się coś zrozumiałego, równocześnie jednak jasne stawało się to, że po drodze coś umykało.

Autentyczność to jednak potworna klisza⁹.

Na poziomie deklaracji Igora/Ignacego bliskość płci Sońki wynika z jej „osłabienia wiekiem”, co jednak, gdyby istniał też inny, niezwerbalizowany powód tego podobieństwa, czyli potencjalny homoseksualizm bohatera, kierujący jego pożądanie w tym samym, co kobiece, kierunku? Uzasadnienia tej intuicji możemy szukać w obszarach pozatekstowych, choć niekoniecznie sięgając po konteksty autobiograficzne. W rozmowie z Magdaleną Mołek Karpowicz powiedział bowiem, że powieść *Gesty* z 2008 roku napisał po to, żeby zrozumieć Igora¹⁰, z kolei

⁸ Na temat rangi spotkania Igora/Ignacego z Sonią, interpretowanej narzędziami krytyki feministycznej, zob.: G. Zawajska, „Sońka” Ignacego Karpowicza w kontekście wybranych koncepcji feminizmu postmodernistycznego, „Białostockie Studia Literaturoznawcze” 2019, nr 14, s. 219-233.

⁹ I. Karpowicz, *Sońka*, dz. cyt., s. 108.

¹⁰ Wypowiedź pisarza podczas spotkania w ramach Big Book Festival (Warszawa,

jeden z plików w komputerze Grzegorza, jej głównego bohatera, co nie bez znaczenia – „scenarzysty i reżysera” nosi nazwę „sonia.doc”. Odkrycie, którego dokonuje na swój temat tuż przed śmiercią Grzegorz dotyczy właśnie jego tożsamości seksualnej, a ostatnia bliska relacja, jaką buduje, jest z mężczyzną. To związek ledwie naszkicowany, przerwany odejściem bohatera, tak, jakby Karpowicz jeszcze nie miał odwagi opowiedzieć o spełnionej, skonsumowanej homoseksualnej miłości.

Kiedy czytamy wyznanie Igora/Ignacego, że po przełożeniu wspomnień Soni na jego własne doświadczenie „po drodze coś umykało”, koncentrujemy się na Sonie właśnie i na tym, co zostało bezpowrotnie utracone z jej historii, tymczasem równie dobrze może być to „coś” z obszaru prawdy o jej tłumaczu. Warto w tym kontekście przywołać scenę, która jest ulubionym, wielokrotnie odtwarzany przez Ignacego fragmentem spektaklu, a jednocześnie najbardziej go rani, mimo że poruszających momentów znajdziemy w tym przedstawieniu wiele:

Pierwsza Scena Przebudzenia. Według Igora to jedna z najpiękniejszych scen w Królowym Stojle. Nie oglądał jej często. Sprawiała mu głęboki ból. Zazdrościł Miszy, że kochał. Zazdrościł Soni, że kochała i była kochana¹¹.

Wniosek jest oczywiście prosty: reżyser zazdrości swoim bohaterom uczucia, którego sam nigdy nie zaznał, bardziej skomplikowane okazują się przemilczane powody tego braku.

Wreszcie cytat ostatni, który stanowi wręcz dosłowną ilustrację przyświecającej moim rozważaniom tezy, że obszarem najgłębiej ukrytym pod wszystkimi metatekstowymi warstwami *Sonki* jest (homo)seksualność narratora, któremu z pewnością nie bez przyczyny Karpowicz użył nie tylko własnego imienia, ale też miejsca urodzenia (Słuczanka). Niemal na ostatnich stronach książki Igor/Ignacy wyznaje, co ważne,

23-25 czerwca 2017 r.), prowadzonego przez Magdę Mołek.

¹¹ I. Karpowicz, *Sonka*, dz. cyt., s. 148.

w pierwszej osobie (jak widzieliśmy, zwykle jego słowa przytaczane były za pośrednictwem trzecioosobowej narracji): „A na mojej skórze, na kroczu i wszędzie czuję coś dziwnego, kwasowe kąsanie mrówek: jakbym był opowiadany i równocześnie opowiadał”¹². Karpowicz mógł pozostać przy określeniu „wszędzie”, mógł napisać: „na całym ciele”, a jednak z premedytacją użył, wprowadzającego nawet pewien dysonans, bardzo konkretnego, nie pozostawiającego wątpliwości co do swego charakteru i lokalizacji desygnatu słowa „krocze”. Tym samym pisarz sygnalizuje, że – by zastosować terminologię Germana Ritza – ukrytą zasadą organizującą tekst *Sonki* jest „niewypowiadalne pożądanie”, z którym zarazem wiąże się imperatyw/konieczność jego wyrażenia¹³. To aż zaskakujące, w jak dużej mierze powieść Karpowicza, jeśli aktywizujemy wobec niej strategię interpretacji określoną przez Wojciecha Śmieję¹⁴ jako lekturę „równoległe homoseksualną”, spełnia kryteria prozy sublimacyjnej, sformułowane przez Ritza na podstawie twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, Wilhelma Macha i Tadeusza Brezy, czyli pisarzy modernistycznych. Kwestia poziomu tabuizacji homoseksualizmu i społecznych oraz wewnętrznych, subiektywnych, podmiotowych barier (oczywiście to, co jednostkowe pozostaje w ścisłej zależności z tym, co społeczne), kształtujących ramy jego ekspresji, czyli ramy dopuszczalnego dla niego dyskursu autentyczności, okazuje się zatem istotniejsza, niż cezura

¹² Tamże, s. 196.

¹³ Zob. G. Ritz, *Niewypowiadalne pożądanie a poetyka narracji*, przeł. Andrzej Kopacki, „Teksty Drugie” 1997, nr 3, s. 43-60.

¹⁴ Taki tryb lektury Wojciech Śmieja proponuje wobec *Panien z Wilka* Jarosława Iwaszkiewicza, polemizując z Germanem Ritzem, który widzi w tym opowiadaniu przykład przedemancypacyjnej literatury homoseksualnej. Jak twierdzi Śmieja: „Odczytywanie opowiadania jako tekstu jedynie homoseksualnego, polegające na odkrywaniu kolejnych ekwiwalencji, substytucji, niedomówień i znaków, będzie miało charakter redukcjonistyczny, jednostronny, partykularny, by nie rzec: nadmiernie zideologizowany. [...] Jeśli nasza lektura ma aktualizować wszystkie jego sensy, możemy opowiadanie czytać co najwyżej w sposób »podwójny«, tzn. jako opowiadanie t a k ż e , r ó w n o c z e ś n i e , r ó w n o l e g l e homoseksualne [...]. W. Śmieja, *Literatura, której nie ma. Szkice o polskiej literaturze homoseksualnej*, Kraków 2010, s. 24.

między nowoczesnością a ponowoczesnością, oddzielająca twórczość Karpowicza od dzieła jego poprzedników. Igor/Ignacy, niemal wzorem bohaterów ich prozy, opuszcza „miejskie, cywilizowane otoczenie”, by szukać „wewnętrznej przemiany”, której „punktem ośrodkowym będzie spotkanie seksualne, niewypowiadalne pożądanie”¹⁵. Co ciekawe, geograficznie zwykle są to pogranicza, czyli obszary etnicznie zmieszane, na których polskość nie stanowi jedynej dominanty, np. takie, jak wschodnie Podlasie. To ważne, bo, jak to ujmuje Śmieja, rekapitulując myśl Gombrowicza jako jednego z ważnych patronów polskich pisarzy gejowskich, polska tożsamość narodowa została zbudowana na lęku przed homoseksualizmem¹⁶, który stanowi w niej coś na kształt pęknięcia. Nic dziwnego zatem, że artyści, poszukując ekwiwalentów dla oddania homoseksualnej kondycji swoich bohaterów (czy swojej własnej) sięgają po postaci reprezentujące mniejszości, między innymi ze względu na ich subwersywny wobec homogenicznego modelu polskości potencjał.

Jak czytamy u Ritza, po kulminacyjnym momencie i eskalacji niewypowiadalnego pożądanego dochodzi do dekonstrukcji narracji i procesów tożsamościowych, posługującej się

[...] na płaszczyźnie kompozycji tematu środkami akcji zastępczej, która jednak nie nabiera własnego znaczenia. Osiąga się to poprzez niemal inflacyjne powiększanie zespołu występujących osób. (...) Symultana staje się zasadą narracyjną. Brak czy też niemożność sygnifikacji prowadzi do wydłużania szeregu kolejnych sygnifikantów, szeregu analogii – mówiąc słowami Lacana – metonimii. Jest to metonimiczny strumień pożądanego, który zostaje wyjęty spod „prawa ojca” lub też wyparty poza obręb działania tego prawa i który nie ustanawia już żadnej tożsamości¹⁷.

¹⁵ G. Ritz, *Niewypowiadalne pożądanie a poetyka narracji*, dz. cyt., s. 49.

¹⁶ W. Śmieja, *Literatura, której nie ma. Szkice o polskiej literaturze homoseksualnej*, dz. cyt., s. 116.

¹⁷ G. Ritz, *Niewypowiadalne pożądanie a poetyka narracji*, dz. cyt., s. 49.

W *Sońce* taką kluczową analogią staje się metonimiczna, oparta na zasadzie sublimacji relacja między tytułową bohaterką a Igorem/Ignacym. To na Sonię ceduje on swoje poczucie wykluczenia, ale też ona jest tą, której pożądanie pozwala wyjść spod „prawa ojca” i bynajmniej nie stracić przez to tożsamości, wręcz przeciwnie. Problemem jest nie jej nieukonstytuowanie się, tylko nieprzekładalność i wykluczenie. Sądzę też, choć to intuicja problematyczna, bo dotyczy kwestii procesu twórczego, że to, co w prozie sublimacyjnej początku XX wieku działało na poziomie nieświadomym (a przynajmniej nie do końca przez autora uświadomionym), kształtując, a właściwie dekonstruując narracyjną strukturę, w prozie Karpowicza jest konsekwentnie realizowaną strategią. *Sońka* wydaje mi się też ważna jako rodzaj społecznej diagnozy: strategię autentyczności w Polsce XXI wieku łatwiej jest stosować w obszarze różnic i barier klasowych, niż seksualnych, które Karpowicz świadomie poddaje w swojej powieści procesom sublimacji i tabuizacji¹⁸.

¹⁸ W tym kontekście, dla kontrastu, warto przywołać esej Didiera Eribona *Powrót do Reims*, którego autor wyznaje, że w środowisku francuskich elit intelektualnych i artystycznych, do których trafił drogą awansu społecznego, łatwiej jest przyznać się do homoseksualizmu, niż do chłopskiego czy robotniczego pochodzenia. Zob. D. Eribon, *Powrót do Reims*, przeł. M. Ochab, Kraków 2019.

Ignacy Karłowicz

Miłość

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017

Kłamstwa przypominają brud. Jak człowiek się nie myje i nie sprząta, to wszystko staje się coraz brudniejsze – niknie kolor, czasem nawet kształt. Zacierają się przyjaźnie, rozmywa wewnętrzny rdzeń istoty. Wszystko staje się inne: mniej dokładne i mniej bolesne.

Nie wiem, czy człowiek rodzi się z pierwszym kłamstwem. Jeśli tak, to jakie ono jest? [...]

Nie mam natomiast wątpliwości w kwestii kłamstwa głównego, kłamstwa towarzyszącego mi dzień i noc przez ponad trzydzieści lat. Czasem to kłamstwo uchylałem przed bliskimi ludźmi wieczorem przy kolacji albo samo uchylało się przed ludźmi kompletnie nieznanymi w ciemniejszym zaułku, przed światem wszak byłem człowiekiem dokładnie skłamanym.

Kłamstwo główne zostało tak gorliwie i szeroko rozpracowane przez literaturę, psychologię i rozmaite nauki, że wstyd się do niego przyznawać. Kto nosi w sobie takie kłamstwo, wydaje się ułomny i tchórzliwy. Bo czego tu się bać? A taka jest natura tego kłamstwa – strach. I wstyd.

No, to teraz. Kłamstwo główne. Nie chciałem przyznać się przed światem, że jestem homoseksualistą. Przed sobą stopniowo oswajałem się z tym, że mój biseksualizm jest życzeniowy i teoretyczny raczej niż rzeczywisty i praktyczny. [...]

Mam problem z ciałem, a moje ciało ze mną. Niedługo stuknie nam

obu czterdziestka. Przeszliśmy razem długą drogę, czasem nawet się lubiliśmy, zwykle na krótko i w szczególnych okolicznościach.

Na przykład nigdy nie lubiłem, gdy ktoś mnie dotykał. Powitalny pocałunek, objęcie, przytulenie – proszę bardzo.

Myszę, że przyczyna tkwiła w niemocy do zaakceptowania przyjemności płynącej ze strony czegoś, czego nie lubiłem, znaczy własnego ciała.

Nie ufałem mu. Mogło przytrzymać na kimś wzrok za długo albo kogoś za rękę. Mogło spieć raka albo stanąć okoniem. Nie ufałem ciału, dlatego nie chciałem, aby było dotykane. W każdej chwili, powtarzam, było gotowe do zdrady. Każda taka zdrada mogła skończyć się wyzwiskami, agresją fizyczną, a w najlepszym razie – plotkami, insynuacjami i heheszkami. Traktowałem moje ciało jak najbliższego wroga. Wroga, z którym spałem od małego.

Ono z kolei odpowiadało podobnym brakiem zaufania i woli współpracy. Nie zamierzało stać na baczność, spięte. Ono miało swoje potrzeby, rozbieżne – tak sądziłem – z moimi. Ono chciało być dotykane, a przede wszystkim akceptowane. Nawet nie przez innych, tylko przeze mnie. Tego akurat nie umiałem mu dać.

Teraz wiem, że stałem się względem mego ciała taki, jakim względem mnie było otoczenie – homofobiczny. Nabawiłem się homofobii przez osmozę, której ogniska występują w środowisku wyzutym z empatii, za to nasączonym nieufnością i hipokryzją. Moja homofobia należała do innego rzędu, trudniejsza do wychwycenia i zdiagnozowania, daleka od prostackiego „zakaz pedałowania”. Te wszystkie: nie interesuje mnie, kto z kim sypia; a niech sobie żyją, choć to nienormalne; nie mam nic przeciwko, byle się nie afiszowali. No, właśnie. Nie sypiałem, sobie niech żyłem i też nie miałem nic przeciwko temu, z grubsza przynajmniej byłem się nie afiszował. W stosunku do samego siebie byłem taki jak otoczenie. Pod osłoną nocy – dobrze; po wschodzie słońca lub w rozmowie – źle. Byłem homofobem w stosunku do siebie, powtarzam, choć o tym nie wiedziałem i oficjalnie nie miałem

przeciwko gejom nic. Nic do powiedzenia, nic do zrobienia. Nic do podarowania. [...]

Na nic nie czekałem. Unikałem mężczyzn, zwłaszcza tych jakkolwiek mną zainteresowanych. Unikałem również mężczyzn budzących moje zainteresowanie. Oraz siebie. Najsilniej starałem się unikać siebie.

Nie da się unikać siebie, będąc sobą i w sobie. Konieczne jest znalezienie jakiegoś innego miejsca albo przestrzeni, innego punktu odniesienia, w którym wreszcie można z ulgą stracić się z pola widzenia.

Do niedawna myślałem, że przeżyłem wszystko, co przeżyłem, ponieważ człowiek żyje, dopóki nie umrze. Taki pokraczny bon mot. Od niedawna rozumiem, że znalazłem bezpieczną i dającą nadzieję przestrzeń. Schronienie.

Tym schronieniem była literatura. Księga wielu opowieści. To w niej i dzięki niej mogłem wydłubywać mozolnie lepsze światy i piękniejsze miłości, a siebie mogłem wydłubać z bieżącej rzeczywistości i lęku. To dzięki niej wstawałem każdego dnia i zasypiałem bez samobójczych prób. To ona sprawiała, że zdarzało mi się wybuchać śmiechem i robić coś dobrego dla innych. A koniec napisanych przeze mnie miłości, zwykle niedospełnionych, mnie nie smucił. Nie smucił, ponieważ one się wydarzały, nawet jeśli nie do końca, a to i tak było więcej, niż mnie spotykało. Opowiadałem historie, żeby żyć. Żeby nie oprowadzać siebie po niezdarzonych zdarzeniach i niewykorzystanych szansach i pokojach. Po pustych miejscach w kalendarzu, w łóżku i w życiu.

Nigdy bym nie przypuszczał, że powiem to serio, bez cienia ironii, ale literatura mnie ocaliła [s. 91-96].

Ignacy Karpowicz

Gęsty

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008

Zjedliśmy wspólnie obiad. Matka przygotowała obiad. Kotlety z taukanicą, rozduzonymi i smażonymi ziemniakami, do tego kiszzone ogórki. Na drugie zupa pomidorowa. Zjadłem zupę bez protestu, z ryżem, chyba nie jest ze mną dobrze.

Matka wcześniej poszła spać. Szczęśliwa jak nigdy. Przejdzie jej, pomyślałem.

Nie wybiła dziesiąta wieczór. Siedziałem z Pawłem przed telewizorem. Wybrałem, nieco prowokacyjnie, TV Romantica. Piliśmy piwo. Paweł przebrał się w pizamę. Nie spodziewałem się, że zobaczę go kiedykolwiek w pizamie. „Dziękuję. Naprawdę. Nie przypuszczałem...” W pierwszej chwili wydaje mi się, że to słowa lektora z kiepskiego serialu, który oglądamy. Ale to nieprawda, to powiedział Paweł. Zawstydził mnie.

Nadal nie potrafię uwierzyć, że dzisiejszy dzień wydarzył się nie tylko w moje głowie, ale również w świecie. Że rozmawiałem z bratem i Kasią. Że Paweł zamieszkał z nami. Nie mogę uwierzyć, spinam się bardzo.

„Grześ – mówi Paweł – odpuść sobie, wyluzuj. To ja ryzykuję. Nie ty”.

„Niby jak”, pytam.

„Przecież znasz odpowiedź”, mówi.

„Powiedz”, mówię.

„Nie chcesz tego usłyszeć”, mówi.

Po ekranie telewizora spływa tłusty makijaż Juanity, jakiś Juan ją porzucił.

„Dobrze – mówi Paweł. – Sam chciałeś”, mówi Paweł i milknie.

„Ryzykujesz – mówię – bo zaprzyjaźniasz się, bo zaczynasz kochać kogoś, kto niedługo zniknie”, mówię.

Paweł nie odpowiada. Mam ochotę płakać, bardzo się zmieniłem.

„Znakomicie ujęte”, mówi Paweł.

„Przepraszam – mówię. – Bardzo przepraszam. Nie chciałem”.

Paweł siedzi obok, zeszywniały. Obejmuję go gipsową ręką. Jego głowa kładzie się na mojej piersi. Paweł zaczyna płakać. Wiek męski, wrota klęski.

Gładzę jego włosy lewą ręką. Nie mam doświadczenia w takich sytuacjach.

„Przepraszam – powtarzam. – Przepraszam” [s. 253-254].

Agnieszka Masłowiecka

Splątanie

Wydawnictwo Forma, Szczecin-Bezrzecze 2014

Jestem miłością

Kelnerka zrobiła mi kawę z serduszkciem. Americano White, śmietanka wlna w serduszkowy kształt. A potem uśmiechnęła się, wydając rachunek. Zająłem stolik w kącie sali [...]. Patrzyłam na parującą kawę, zastanawiając się nad kształtem śmietanki. Kelnerka, przechodząc znów spojrzała ciepło. Może po prostu była miła. Ciepła kawa i ciepła kelnerka. Chociaż niekoniecznie.

Czekałam w tamtej małej kawiarence naprzeciwko pałacu. Padało, trochę chodziłam wcześniej, nie myślałam wiele. Byłam dość zadowolona, bo listopadowe przedpołudnie, a ja spacerowałam, było mi ciepło w grubym swetrze i na szczęście wzięłam parasol. Kątem oka w witrynach sklepów sprawdzałam, czy moje ciało dobrze się ukrywa pod kilkoma warstwami ubrań, a jednocześnie czy sprawia wrażenie wystarczająco przeciętne. Jako ciało dobrze schowane, zwykłe, normalnie niezwracające uwagi, niezbyt brzydkie i nie nadzwyczaj piękne. Nie za grube, ale i nie kaleczące przestrzeni sterczącymi panewkami bioder, wystającymi kolanami, ostrymi rysami twarzy. Ciało – duch. Ciało – przebranie. Przeciętne, łatwe do zamienienia, do roztopienia się w tłumie, do przyjęcia nowej roli, podszycia się pod inne. Gotowe do kolejnego wcielenia. I na szczęście takie właśnie było w tych witrynach, w tych oknach sklepowych galaktyk. W jej oczach w kolorze

cynamonu. Odetchnęłam. Ulga. To jesteś ty, wyszeptalam do mojego ciała. Czasem się wymykasz, rozciągasz granice, starasz się uciec, albo zmieniasz tak, bym nie mogła cię poznać. Ale nie dziś. Jest tak, jak trzeba. Że aż nie sposób cię zapamiętać, tak doskonale nijakie. Cudownie. Jest dobrze. Jakże miły dzień.

Kawa miała przyjemny smak. Zastanawiałam się, poprosić o następną? Kelnerka była czymś zajęta przy barze, odwrócona tyłem do siedzących gości. Miała czerwone włosy upięte w kok, a spod kołnierzyka widać było fragment tatuażu, biegnącego w dół szyi nie wiadomo dokąd. [...]

Rozpakowałam gumę, którą na talerzyku obok filiżanki położyła dla mnie kelnerka. Włożyłam do ucha słuchawkę. Nie myślałam o tatuażu na jej nagim ciele. Moje usta zamroziła mięta. [...]

Szłam za nią. Miasto poruszało się z nami, nie spało jeszcze. Rozdzielały nas brzęczące fragmenty cudzych rozmów, deszcz i jej ciemne kozaki, ciasno zasznurowane. Rozchlapywała kolorowe od neonów kałuże. Zostawiała za sobą barwne smugi światła, żółtopomarańczowe, niebieskozielone, czerwonoioletowe. Rozpostarte przez nią chude żebra parasolki rozprasały na swej delikatnej skórze mgłę siąpiących kropeł. Pod wysokim kołnierzem jej płaszcz chował się zstępujący po jej ciele tatuaż. Kręta i niebezpieczna ścieżka jej perfum, rozgrzanej skóry, swetra nasiąkniętego wonią jej ciała, kawy i papierosów dosięgła mnie i zmieniła. Poczułam ból i zachwyty, w uścisku, nie do oddzielenia.

W autobusie usiadłam naprzeciwko niej. Zauważyła mnie w pewnej chwili. Przez moment szukała w myślach szufladki, w której byłby jakiś opis mojej twarzy, etykietka, choćby mała papierowa metka, punkt zaczepienia dla przelotnego wrażenia swojskości, jakiegokolwiek wytłumaczenie dla uśmiechu, który zjawił się na jej ustach. Ale nic takiego, nawet szufladki. Pewnie klientka, pomyślała. Więc spuściła wzrok. [...]

Nie opuściłam jej aż do odbranych drzwi kamienicy. Odwróciła się wtedy, obejrzała, czuła mnie, ale nie zobaczyła. Czuła moją rękę na

swoim policzku, szyi, na plecach. Słyszała mój oddech. Zanim opuściła rolety, wyglądała mnie na ulicy. Czuła moje dudnienie. Dosięgło ją przecucie cierpienia i zachwyty, splecionych jak helisa. [...] [s. 62-63]

Ignacy Karłowicz

Eud

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, wyd. II, zmienione

Ala usiłowała znaleźć w sobie to nienazwane jeszcze c o ś nowego. Zostawiła męża, zabiła człowieka, leżała z dziewczyną zabitego w jednym łóżku. [...]

Marysia planowała swoje przyszłe życie. Nie udawało się przytrzymać w pamięci na dłużej żadnych szczegółów. Drogę jej przyszłego życia wyznaczały dwie proste: miało być szczęśliwe i nie samotne. Bez mężczyzny.

Ala czuła się jak owad w czasie kolejnej metamorfozy. Kiedy procesy życiowe wcześniejszej formy stopniowo zanikają i przechodzą w inną postać. Tę, która dopiero się wyłoni, pozostawiając wylinkę starej skóry, orlego nosa i czarnych włosów.

Marysia nie do końca świadomie dotknęła dłonią Ali. Tam, gdzie wpijała się w ciało gumka od majtek. Czuła chudość, skondensowanie i żar chorego ciała. Tygiel, w którym coś się dokonywało. Parzyło. Lekko cofnęła rękę.

Ala poczuła delikatną chłodną kroplę nieco powyżej pośladka. Jak płatek śniegowy. Kropla ta powoli spływała między uda. Tam gdzie L. od dawna już nie zaglądał. Miejsce, pomyślała, które istnieje po to, żeby mieć pretekst do udowodnienia sobie (i ginekologowi), że jest się kobietą.

Marysia czekała na reakcję. Bardziej na własną niż Ali. Poczuła zadowolenie, kiedy nabrała pewności, że to było naprawdę przyjemne. Nie

miało w sobie nic z przekraczania dozwolonych granic. Z wykroczenia poza ramy obrazu namalowanego w klasycznej konwencji damsko-męskiej.

Ala pragnęła, żeby tamten kojący, chłodny punkt znowu pojawił się w jej ciele. W stolicy jej odmienionej osoby. Sięgnęła po rękę Marysi. Położyła ją na własnym pępku.

Marysia uniosła rękę nad pępek Ali. Pomyślała, że osłania przed podmuchami wiatru krater małego wulkanu. Pochyliła się, żeby dmuchnąć, rozpalić ogień. Czuła, jak ciało Ali, coraz gorętsze, mięknie w nieznanym jej dotąd sposób i staje się bliższe, niż kiedykolwiek była sobie w stanie wyobrazić. [...]

– Chcę być z tobą – powiedziała wreszcie Marysia. – Zanim powiesz tak lub nie, muszę ci pokazać swoje poprzednie życie. To niedaleko [s. 296-297].

Ignacy Karpowicz

oici

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013

Zgodził się na dzisiejszy wieczór, ponieważ Krzyś go przekonał, będzie z miesiąc temu, że powinien zobaczyć Kim Lee, absolutnie boską drag queen. Każda transgresja w jakiś sposób go wzruszała, ponieważ urodził się w okresie, w którym podstawowa transgresja, czyli religia, dokumentnie utraciła czar i moc.

[...] transgresywność zdarzenia, jakim dla niego jest każda drag queen, polega nie na chwilowej zmianie płci, lecz na zabranii przerysowanej płci w podróż, u której kresu czeka nie nowa płeć, lecz odalenie się od płci. Ponadto Andrzeja naprawdę bawi to, że świetnie można czuć się dopiero w nie swojej skórze. No i, cóż, lubi blichtr cekinów, strusich piór, boa, pudru, tafty, błysk szpilek, napięcie mięśni łydki, cały ten XIX wiek, który na dobre skończył się dopiero pod Ypres w obłoku gazu musztardowego.

Krzyś odnalazł Andrzeja, z kuflem piwa usiadł mu na kolanach [...].

Z głośników rozległa się zapowiedź występu boskiej Kim Lee, po zapowiedzi zabrzmiała z mocą wagnerowską muzyka do Edith Piaf, jakby szło nie o *Niczego nie żałuję*, ale o *Pierścień Nibelungów*, tę hałaśliwą tetralogię dla głuchoniemych [...].

Po Piaf, niezbyt zachwycającej, Kim Lee wykonała kilka utworów Anny German. W *Tańczących Eurydykach* wspaniale wypadły długie, zgrabne rozfikane nogi. W *Balu u Posejdon*a urzekła łuskowata syrenia suknia. Prawdopodobnie inne utwory również zostały odegrane

profesjonalnie, wnosząc z reakcji publiki, on jednak stracił słuch na rzecz wzroku, co przy Wagnerze akurat nie dziwi: organizm broni się jak potrafi. Otóż prawie na wprost niego, na przestrzał sceny, siedział mężczyzna, mężczyzna wpatrujący się bez mrugnięcia powieki w Kim Lee. [...]

Wyglądał – Andrzej szukał stosownego porównania – niczym meteoryt tunguski albo jakaś inna katastrofa, zdarzenie losowe lub oniesmielający ceną prezent. Mężczyzna sprawiał wrażenie ogromnego, muskularnego; jeżeli istnieje archetyp gladiatora, to Andrzej weń właśnie się wpatrywał. [...]

– Kto to jest?

[...]

– Aaa, ten. To Norbert. Chłopak Kim Lee. Tak jakby. Mój stary znajomy [s. 56-58].

Michał Łukaszuk

Polska jest chujem

Polska to parszywa, biała, faszystowska maciora,
która zanim nauczy swoje dzieci jeść nożem i widelcem,
uczy je zabijać.

Maciora mówi: Kasiuniu, Pawełku, Kasiuniu
Idź na policjantkę aresztować tę pedałkę spod szesnastki
Niech jejmu rozkurwią łeb
coś za długo się zмага ze sklirowanym cieniem mgły
po co stara się zrozumieć, co to w ogóle jest.

Polska to parszywa, biała, faszystowska maciora,
która uczy swoje dzieci pogromu.
Zapraszamy, to polowanie na geja.

My jesteśmy gotowi na takie dzieci
montujemy im samouruchamiające się
antyfaszystowskie bomby we wnętrzach ich czaszek.

Mamy Domkę i Szymona, Maćka i Zuzę,
Kubę i Perłę, Olę, Kasię i Grzegorza, Gosię, Asię i Pawła, Tadzia
i Szpindlera,
Ambroziak i Dżoeja, Andrzeja i Adama Ewę i Kacpra, Tomasza, Kasię
i Rafała,

Milenę i Michała, Poziome i Świtala.

Wymierzonych w was.

Wymierzonych w was.

Fashist an di attack

Noh baddah worry 'bout dat

Fashist an di attack

Wi wi' fite dem back

Fashist an di attack

Den wi countah-attack

Fashist an di attack

Den wi drive dem back

We gonna smash their brains in

Cause they ain't got no fink in 'em

We gonna smash their brains in

Cause they ain't got no fink in 'em

Faszyści, jeśli zrobicie nam choć cząstkę tego,

o czym tak odważnie wrzeszczycie

To posłuchajcie, co my zrobimy wam.

Faszyści, jak będziecie zajęci na ulicy krzyčeniem

że nas dopadniecie i w promocji zabijecie

przypomnimy o obowiązku zakrywania

faszystowskich ust i nosów

maseczkami z lateksu

w miejscach publicznych.

Uczynimy wasze matki lesbijkami

które będą tak zajęte lizaniem cipki

że każą wam się odpierdolić
i wyprowadzić, kiedy poprosicie je,
żeby za was zapłaciły alimenty
kupiły piwko i planszówki

wasze matki odchylą głowę znad
z przyjemnością lizanej cipki i powiedzą:
wypierdalać
wypierdalać
wypierdalać
i będziecie się czuć
jak pedały jebane.

Słuchaj dalej, znikasz z miasta
w rytmie hymnu rasta
basta
Tęczę leczę twoje traumy
a nie kostką bauma.

Baj
baj
trauma

Baj
baj
trauma

Gej

Dorocie Sajewskiej i Gertrudzie Stein.

Był gej, który był z gejem i mieszkali w domu, który był gejem
i poznali geja, który nie był gejem, kiedy był gejem,
a za to znał geja, który był gejem, kiedy nie było innego geja,
bo akurat był w geju z innymi gejami, którzy nie byli gejami,
i mieszkał w domu, który był gejem, razem z gejem, który
nie był gejem, gdy nie było innego geja, który byłby gejem w innym
geju,

i wtedy pojawił się gej z innymi gejami,
bo właśnie odwiedzał ich gej, który nie był gejem,
ale wtedy był takim gejem, że gej, który był gejem,
nie był takim gejem jak gej, który był gejem, kiedy nie było innego geja,
i zamieszkali w domu, który był gejem,
ale nie znali innych gejóv, którzy byliby gejami w innych gejach,
więc poznali geja, który był takim gejem, że gej,
który był gejem nie był z gejem w geju,
bo wszystko zakłócił gej, który był gejem, kiedy nie było innego geja,
wtedy pojawił się gej, który był gejem i mieszkał w domu, który był
gejem

z gejem, który był gejem, gdy nie było innego geja
i wezwał ich gej, żeby nie byli gejami,
ale geje byli gejami,
choć znali gejóv, którzy nie byli gejami,
ale zostali gejami, gdy byli w innych gejach, którzy nie byli gejami,
kiedy zostali gejami, wtedy dopiero zaczęli być takimi, że gej,
który nie był gejem, został gejem, który nie chce być gejem,

który nie był gejem, ale jednak był gejem,
tylko w innym geju, który nie znał geja,
który byłby gejem razem z innym gejem,
więc sam został gejem, aby być gejem z gejami w geju,
i zamieszkali w domu, który nie był gejem,
ale wtedy dopiero był takim gejem, że gej.

Siedem dni stworzenia

1.

Światło jest,
kiedy wciśniesz pstryczek,
Hop,
jest,
czy to cię dziwi?
Bo jego nie.

2.

Ślini się jaskinia zła,
Stalaktyty, stalagmity z papierosów.
Zanurzam się w oceanie zła,
pali mnie,
to bolesne,
ale trwam
jak telewizja.

3.

Pracownik Lidla
odmówił zabicia karpia
w godzinach pracy.
Prywatnie wali młotkiem w łeb ryby.
Jest szczęśliwy.

4.

Po co stworzono łąd?
Żeby go odpalić.

5.

Świergoczą.
Śpiewają najpiękniej.
W ich kupach cała
Polska.
Ptaki.

6.

Anioły nie mają
genitaliów.
Przemoc seksualna
wśród nich
odbywa się
w Internecie.

7.

Oto on,
człowiek,
Co za
WSTYD.

Karol Radziszewski

Ewa „Narda” Hołuszko

2019, akryl na płótnie, 300 x 240 cm

Tekst Michała Grzegorzka z katalogu wystawy *Potęga sekretów* w warszawskim CSW Zamek Ujazdowski (2019):

Ewa Hołuszko, urodzona w 1950 roku w Białymstoku, jest polską fizyczką, działaczką opozycyjną „Solidarności” i aktywistką na rzecz osób transpłciowych. W 2019 roku Karol Radziszewski sfilmował rozmowę z Ewą oraz namalował jej portret. W ponad czterogodzinnym wywiadzie (a raczej monologu) Ewa Hołuszko rekonstruuje własne życie, głównie w kontekście walki opozycyjnej i transformacji politycznej w Polsce. Z prowadzonej z niemal kronikarską dokładnością opowieści bohaterki wyłaniają się najważniejsze postaci i wydarzenia lat 80. i 90. w Polsce. Jest tu Wałęsa, ksiądz Popiełuszko, Mazowiecki, Kuroń, Olszewski, ale również aresztowanie Ewy i rok w warszawskim więzieniu na Rakowieckiej. Radziszewski rejestruje ważną lekcję współczesnej historii, w którą Hołuszko wplata praktyczne strategie przetrwania w czasach reżimu – jak się organizować, jak ukrywać i nie dać się złapać. Rady, których zasadność, jak mogłoby się wydawać, należy do przeszłości, zyskują dziś przerażającą aktualność.

Ewa Hołuszko jest niewygodną dla konserwatywnych kręgów politycznych polską bohaterką. Próby wymazania jej z historii „Solidarności” wiążą się z transzycją, którą Ewa przeszła w 2000 roku. Radziszewski uzupełnia polską ikonografię bohaterek i bohaterów, portretując ją w plakatowej formie.

SOLIDARNOSĆ



HARDA

**Teksty i prace plastyczne nadesłane
na konkurs ogłoszony przez
Tęczowy Białystok**

Aleksandra Gawryluk

Objawiste

Bielsk Podlaski, 12.08.2019

Nie jestem odporna na bombardujące mnie zewsząd informacje. Nie jest mi obojętne to, że moi przyjaciele nie widzą dla siebie miejsca w realiach tego kraju. Nie jest mi obojętne, że głos z telewizora nazywa mnie i ich ideologią, zagrożeniem dla wartości, tęczowymi antyklerykalnymi bojówkami (sic!), nie wspominając o określeniach, których nie mam ochoty tutaj przytaczać. Tym bardziej nie jest mi obojętne, że przed tym telewizorem spędzają czas niektórzy z moich bliskich. Tak bardzo chciałam wierzyć, że zamknęłam sprawę mojej orientacji. W końcu przecież pogodziłam się ze sobą, żaden głos w mojej głowie nie podaje w wątpliwość moich myśli i reakcji. W końcu przecież nie cenzuruję się przed samą sobą. Prawie uwierzyłam, że to ja mam kontrolę nad tym aspektem mojego życia. W pewnym sensie to prawda. Stworzyłam mocny fundament, nie zamierzam dać sobie odebrać tego, na co tyle pracowałam. Nie mam zamiaru czołgać się w tej obrzydliwej zupie wstydu i strachu. Tyle że nie cały świat przerobił tę lekcję razem ze mną. To, że nie ściszam głosu mówiąc o swoich doświadczeniach, nie oznacza, że mój rozmówca nie będzie miał tego szczególnego wyrazu paniki wypisanego na twarzy. Wychodząc z domu znowu zaczęłam się zastanawiać, czy nie wyglądam „zbyt”. Wylapuję urywki rozmów – na ulicy, w sklepach, w kolejce do lekarza, bo przecież dla większości to temat z mediów, coś abstrakcyjnego, co dzieje się gdzieś daleko od

nich – „A tak, było coś o tych transwestytach”. Stoję w przymierzalni w samej białiznie i słyszę, jak dyskutowane jest moje prawo do istnienia. Gdzieś pomiędzy przepisem na szarlotkę a listą zakupów.

Natalia Suszczyńska

Nim Chimpsky

Na czarnej koszulce Fruit of the Loom wyszywam zieloną muliną NIM CHIMPSKY. Zabiera mi to cały wieczór, staram się i napinam, ale napis i tak jest krzywy. Znosi go w górę, więc Y jest o dobry centymetr wyżej niż N. Nie uważam, że to problem, to i tak będzie moja ulubiona koszulka, tak jak Nim Chimpsky od pierwszych taktów stał się moim ulubionym zespołem.

Stoję w tłumie i patrzę na scenę. Jeszcze nic się nie dzieje, ale zaraz się zacznie. Przepycham się do drugiego rzędu, a wtedy wychodzą one. Klasyczny skład: dwie gitary, bas, perkusja. Oczywiście jest też wokalista. No i szybkie piosenki. Rock'n'roll, wszyscy tańczą.

Pierwszy raz jestem na koncercie samych dziewczyn. Wcześniej jakoś nie miałam okazji. Choć nie żebym uważała, że w zespołach mogą grać tylko chłopaki.

Póki co tańczę i tańczę, i tańczę, nie roztrząsam tych spraw.

Nim Chimpsky, tak się nazywa ten zespół i wkrótce wiedzą się o tym wszyscy moi bliscy. Przez następne pół roku wymawiam tę nazwę codziennie. Ściągam ich piosenki, czytam o nich w internecie; za wiele tam nie ma.

Zaczynam o nich mówić „dziewczyny”, jakby były moimi koleżankami. Słucham zespołów, którymi się inspirowały, dużo riot grrrls, trochę Hole, może jakieś Blondie, ale i tak najbardziej lubię ich muzykę

(płyte *Noam Chomsky* do dziś znam na pamięć). Próbuję też czytać Chomsky'ego, ale szybko się poddaję.

Potem jest lato, a ja chodzę w koszulce NIM CHIMPSKY prawie każdego dnia. Po praniu szybko schnie na balkonie w promieniach słońca. W pochmurne dni pomagam jej żelazkiem lub suszarką. Od tego wszystkiego czerń trochę blaknie, a zieleń płowieje, ale to nic. To wszystko nie jest ważne, ważne, że Nim Chimpsky jest blisko mnie. Na koszulce, w słuchawkach, w myśli, w mowie.

Moja obsesja rozrasta się jak grzybnia. Wszystko, co spotykam na swojej drodze, istnieje tylko w relacji do zespołu Nim Chimpsky.

Spotykam dziewczynę, która mówi „fajna koszulka” i „też lubię ten zespół”.

To jest na działkach, ktoś ma urodziny. Zebrało się nas sporo, wszyscy się cieszymy i dziś nie wracamy do domów. Zresztą nie ma po co, dalej jest lato, rano nie trzeba do szkoły. Robimy ognisko, żeby się przy nim zgromadzić. Śpiewamy STO LAT, a potem inne piosenki. Śpiewamy też piosenki zespołu Nim Chimpsky. Dziewczyna zna je wszystkie, niektóre nawet lepiej niż ja. Uśmiecha się, śpiewając. „Bardzo proste zęby, ciekawe, czy nosiła aparat” – to moja pijana myśl.

Dziewczyna z prostymi zębami prosi, żebym jej zrobiła taką koszulkę. Jej też nie przeszkadza, że Y jest o dobry centymetr wyżej niż N. „Jak dla mnie może być i o dwa centymetry wyżej” – mówi, dając mi koszulkę, na której mam wyszyć napis.

Znow szuję cały wieczór. Kiedy kończę, zakładam koszulkę i w niej zasypiam.

Dziewczyna z prostymi zębami ma oczywiście imię, wygląd i buzię. Tą buzią mnie całuje, kiedy daję jej koszulkę. Jestem zdziwiona i z jednej strony chciałabym uciec, ale z drugiej bardzo chciałabym zostać. Ona chyba to czuje, bo mówi coś w stylu „myślałam, że”, ale brzmi to mniej jak w serialach. „Tak, tak” – odpowiadam, choć sama nie wiem, co przez to rozumiem. Tak, tak.

Na tic tacach z edycji specjalnej są różne napisy po angielsku, głównie nazwy uczuć, wyłącznie tych pozytywnych. Kiedy wkładam opakowanie do kieszeni, drażetki grzechoczą, objijają się jedna o drugą.

Całe plastikowe opakowanie grzechoczące od pozytywnych uczuć – tak właśnie się czuję, gdy wracam ze spotkania z nią.

Wymieniamy ze sobą dziesiątki SMS-ów, stąd wiadomo, że ta historia nie rozgrywa się współcześnie. Piszemy o wszystkim, już nie tylko o zespole Nim Chimpsky. Rano się witamy, w nocy życzymy sobie dobranoc.

Pewnego razu nieśmiało dodaję dwie kropki i gwiazdkę. Wysyłam. Czekać na odpowiedź, chodzę po pokoju, wypijam cały litr wody. Kiedy odpowiedź przychodzi, oddycham, i to jak. W nocy nie śpię, bo ciągle chodzę do łazienki.

Wciąż kupuję kolejne karty z doładowaniem, bez przerwy wklepuję ciągi cyfr.

Spotykamy się przez resztę lata. Spędzamy razem co drugi dzień. Pijemy sangrię w parku i karmimy osły w zwierzyńcu. Czasem chodzimy do kina. Wtedy trzymamy się za ręce. Nie pamiętam nic z filmów, które oglądamy. Potem o nich czytam i się dziwię – rzeczywiście tak było? Nic mi o tym nie wiadomo. Czasem pada deszcz, wtedy chowamy się w garażach albo w szmateksach. Mierzymy głupie ubrania, w tani dzień coś kupujemy.

Przymierzamy cekinowe bluzki, skórzane spodnie, piwne kaski, kostiumy narciarskie, peruki i karnawałowe kreacje, wśród których jest koń, pirat i wiele problematycznych stereotypów.

Wybiegamy ze szmateksu, głośno się śmiejąc. Ona otwiera zaciśniętą piąstkę, coś w niej ma.

„Zabrałam stamtąd” – mówi i pokazuje mi czerwoną przypinkę z napisem; litery układają się w PERFECT. „To dla ciebie”.

Pierwszy raz ktoś coś dla mnie ukradł. Jestem wzruszona.

Tamte dni przypominają mi się we fluorescencyjnych kolorach.

Rozmawiamy i są to głębokie rozmowy, choć ich treść na to nie wskazuje. Nic w tych rozmowach tajnego, ale i tak ściszymy głos. Niech nikt inny tego nie słucha, to jest dla nas.

Obracam w myślach znaczenie każdego wypowiedzianego przez nią słowa. Wierzę, że wszystko ma drugie dno. A czasem nawet trzecie.

Powoli kończy się sierpień. Nie zgadzam się na wrzesień, ale nikt mnie nie pyta o zdanie.

I mam rację, że się nie zgadzam. W końcu przychodzi taki wieczór, że moje dwie kropki i gwiazdka pozostają bez odpowiedzi. Przychodzi taki dzień, że się nie widzimy. Potem następny.

SMS-y nie przychodzą, przynajmniej nie od niej.

Zajmuję się więc uczęszczaniem do szkoły i na zajęcia pozalekcyjne.

Jesienią Niwm Chimpsky wypuszcza nową płytę, *Bezbarwne zielone idee wściekle śpią*. Od razu ją kupuję i otwieram łapczywie jak chipsy z tazosami. Słucham jej przez większość czasu, a kiedy jestem zmuszona przestać, to ją sobie nucę.

Skoro jest płyta, jest i trasa koncertowa. Mam bilet i odliczam dni. Co wieczór w swoim pokoju włączam płytę i przebieram się w różne stroje, zastanawiam się, który będzie najlepszy na koncert.

A kiedy już tam przychodzę, strój nie ma znaczenia. Znów liczy się ten tłum pod sceną i to, że właśnie ja w nim stoję. Przepycham się do przodu, kiedy wychodzą one, klasyczny skład: dwie gitary, bas, perkusja, wokalista. I znów zaczynają grać swoje szybkie piosenki. Rock'n'roll, wszyscy tańczą.

Kątem oka dostrzegam proste zęby i ich posiadaczkę. Przechodzi do mnie i wymieniamy zwykłe słowa. „Fajny koncert”, „No fajny” – przekrzykujemy muzykę. To nie jest głęboka rozmowa, ale grunt, że jest.

Wracam z koncertu, słuchając tych samych piosenek, które przed chwilą były grane na żywo. To znak, że mi się podobało.

Przed snem patrzę na przypinkę, którą dostałam od dziewczyny z prostymi zębami.

Rano budzi mnie SMS.

Oliwia Grysko

W razie czego jestem tutaj

Gosię poznałem postmodernistycznie, przez jedną z tych aplikacji, które polegają na przesuwaniu zdjęć w lewo czy prawo. Są one też jednym z narzędzi umożliwiających ekspresję toksycznej męskości, czyli wysyłanie kobietom niechcianych (zwykle) zdjęć penisów. W każdym razie, miałem się z nią spotkać i miałem nadzieję, że się w niej zabujam, a potem pójdziemy do łóżka. Chociaż mówienie o seksie jakoś mnie krępuje. Moglibyśmy rano oglądać Świat według Kiepskich i jeść grzanki z awokado. Bylibyśmy wzorowymi millenialsami. O, albo oglądać najnowszy film Quentina Dupieux'a, jeśli zdążył już wjechać na torrenty. Kino jest moją zajawką, choć stary zawsze chciał, żebym poszedł na politechnikę. Tak też zrobiłem, żeby nie widzieć zawodu i też w oczach matki, i nie słyszeć od ojca, że studiuję gównem bez przyszłości. Mamy tutaj w mieście taką oldskulową knajpkę, trochę zapuszczoną, ale z klimatem. W ciągu dnia przychodzą do niej starsi panowie i panie, w latach świetności zajmujący się krytyką literacką czy filmową, wieczorami młodzi studenci i studentki ASP, polonistyki, samozwańczy artyści i artystki, nie posiadający za grosz talentu. Chociaż może nie powinienem tego oceniać, jestem tylko geekiem z politechniki.

Wychodzę z klatki, jest wieczór i pada tak, że czuję się, jakby ktoś robił mi darmową akupunkturę twarzy. Mamy się spotkać na miejscu, więc idę w stronę przystanku tramwajowego. W tramwaju o tej porze nie ma zbyt wielu ludzi, starsza pani w pulowerze, wyglądającym na bardzo ciepły, podsiwiałą pan w okularach z małym pieskiem, który

szczęka przy dźwięku informującym o każdym kolejnym przystanku. Młoda dziewczyna ze słuchawkami na uszach, w żółtej czapce, chyba ma łzy w oczach, wieczór to idealna pora na wszelkie egzystencjalne rozkminy. Wysiadam na moim przystanku, po drodze mijam przechodniów wtulonych w swoje ogromne szale, zakapturzonych ziomków i dziewczyny z kolorowymi parasolami. Docieram na miejsce i przy drzwiach wita mnie Ania. Ania to ziomalka, często przychodzi do niej wieczorem, poopowiadać o moich odjebach. Ona zawsze tylko słucha i kręci głową. Jest dziewczyną o niekonwencjonalnej urodzie, a jej piegi zawsze wyglądają, jakby obsypała się zajebicie złotym brokatem. Tutaj właściwie nikt do końca nie wie, czy to miejsce jest elegancją przestrzeni kulturalną (nota bene od czasu do czasu odbywają się tu odczyty, spotkania z twórcami), czy meliną młodych hipsterów, więc kelnerzy nie mają żadnych wytycznych co do stroju. Anka zazwyczaj przychodzi w wielkiej bluzie z mistrzem Yodą. Fascynują ją, w niezrozumiały dla mnie sposób, *Gwiezdne Wojny*. Kiedy nalewa piwa, zawsze trzęsą się jej ręce. To podobno od braku magnezu, ale nigdy nie wpadła na to, żeby zacząć go suplementować. Tym razem jest tak samo. Biorę od niej kufel i szukam wzrokiem Goški. Zaprosiłem ją tutaj, bo mam nadzieję na ciekawą rozmowę o życiu, sztuce czy o czym akurat będzie chciała. Na ścianach wiszą plakaty. *Wojny Światów* Szulkina, *Jak daleko stąd, jak blisko* Konwickiego i *Chinki* Godarda, ale też filmów Gaspara Noe czy Xawerego Żuławskiego. Gdzieś na parapecie kilka starych numerów *Cahiers du cinéma* i książek znanych pisarzy, jak Toni Morrison czy Dawid Foster Wallace. W rogu stara, czerwona lampa, którą kiedyś na kwasie mój ziomek pomylił z własnoręcznie utworzoną pod jego kopułą planetą, podobno niesamowicie przerażającą. Tak wkręcił sobie te wizje, że usiadł na krześle w pozycji embrionalnej i nie chciał wstać. Tak już czasem miał. To zawsze problematyczne, znaleźć kogoś, kiedy znasz tę osobę tylko ze zdjęć i do końca nie wiesz, czego się spodziewać. Ale na szczęście szybko ją dostrzegam. Siedzi w czarnym golfie, tuż przy

czzerwonej lampie, o której już wspominałem. Dziewczyna wydaje się skrepowana, postanawiam poopowiadać jej, za co szanuję twórczość Joachima Triera. Słucha uważnie, ale specjalnie nic nie dopowiada, chociaż to dobrze, bo nie lubię, kiedy ktoś wchodzi mi w słowo.

– No to fajnie, ja też lubię kino.

– Tak, a jakie?

– A różne, co tam akurat wpadnie.

Zerka na mnie z zafascynowaniem, po czym się uśmiecha. Próbuje znaleźć inny wspólny temat, ale idzie nam opornie. Nieco zdezorientowany zaczynam rozglądać się dookoła siebie, może tam znajdę inspirację. Mój wzrok przyciąga nagle chłopak siedzący pod oknem. Jest sam. A właściwie z psem, czarny jak smoła kundel, rozleniwiony leży na ziemi, na zmianę ziewając, wzdychając i przeciągając przednie łapy. Przyglądam się mu. Co jakiś czas pro forma odpowiadam Małgorzacie półsłówkami, kiwając głową w reakcji na to, co opowiada mi o swoim dniu. Androgeniczność chłopaka i jego mocno niebieskie oczy sprawiają, że nie mogę oderwać od niego wzroku. Ciało ubrane w czarny, nieco rozciągnięty sweter i jasne jeansy, przęży się na drewnianym krześle. Na głowie ma czarną czapkę, spod której wychodzi tylko kilka blond włosów. Jego czarne buty są nieco znoszone, w ogóle wygląda, jakby nie przywiązywał szczególnej uwagi do ubrań, ale ja sam nie mam imperatywu posiadania. Jestem w starej bluzie, którą kiedyś tam dostałem od byłej dziewczyny i przeciętnych butach, kupionych ładnych kilka lat temu, już nawet nie pamiętam gdzie. Do knajpy wchodzi grupa znajomych, trzy dziewczyny i dwóch chłopaków. Jedna z nich ma ze sobą wielką teczkę, trzyma ją na prawym ramieniu, okrytym bordowo-czarnym płaszczem. Z tego co słyszę, przyszli opijać jakiś jej pierwszy wernisaż. Koleś ubrany w długie szare palto, przez które przezucony jest fioletowy szalik, podchodzi do baru i zamawia wściekłe dla wszystkich. Ze strony stolika, który zajęli, dochodzi do mnie muzyczka z serialu *Plebania*. Zaczynają się śmiać, sam uśmiecham się pod nosem.

Małgorzata chyba zaczyna zauważać, że wyłączyłem się z rozmowy.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak.

– Tak?

– Jasne, powiedz mi jeszcze, co lubisz robić.

Chłopak z psem zaczyna skręcać papierosa. Jego chude ręce zakończone szczupłymi palcami, z paznokciami z długą, ale mocno wypiloną płytką, sprawnie upychają tytoń w bletce. Mam wrażenie, że jego dłonie są miękkie i miłe. Mógłby pomasować moje plecy, chciałbym poczuć, czy mam rację co do tego, jakie się wydają. Wyciąga zapalniczkę, jesteśmy w jednym z nielicznych miejsc, w których można jeszcze palić wewnątrz lokalu. Próbując odpalić fajkę, przypadkowo przypala sobie palec. Pod nosem szepcze *kurwa*. Kiedy w końcu się udaje, schyla swoje chude, kościste ciało do lnianej torby. Wyciąga z niej egzemplarz *Dyplomu z pożądania* Philipa Rotha. Z końca korytarza słyszę:

...niech żyje, żyje nam...

Do stolika solenizanta zmierza kelner niosący butelkę wódki i kilka piw. Znam go, pracuje tu, odkąd pamiętam i od zawsze odpowiada za włączanie muzyki. Zresztą przed chwilą też to robił. Jak mantrę katuje zespół Wczasy. Ma śmieszny wąs i zawsze puszcza oczko do klientów, teraz niesie alkohol spragnionym wrażeń w ten piątkowy wieczór i ciągle się uśmiecha. Wracając podchodzi do psa chłopaka, na którego cały czas mimochodem zerkam.

– Barry! Kocham tego psa, mordo.

Chłopak podnosi głowę znad lektury, uśmiecha się do kelnera i głaszcze psa za uchem. Czasami wykrzywia kąciki ust w grymas, co można uznać za uśmiech. Już lekkie wygięcie warg sprawia, że z ogromnych oczu tworzą się niemal niewidzialne szparki. Unosi się nad nim jakaś enigmatyczna swada, będąca czymś w rodzaju feromonów. Chciałbym się do niego dosięść, porozmawiać, pocałować mocno różowe usta, które nie są ani trochę spierzchnięte, mimo to co jakiś czas nakłada na nie

bezbarwną pomadkę ochronną, zwłaszcza po tym, kiedy upije kolejny łyk ciemnego piwa. Z nim pewnie miałbym o czym rozmawiać. Czyta Rotha.... Chciałbym poznać jego imię. W jednym z filmów Olgi Chajdas bohaterka zapytana o swoją orientację mówi, że jest *magdoseksualna*, ja mógłbym być onseksualny, jakkolwiek się nazywa. Chciałbym go dotykać, poznawać każdą cząstkę jego ciała. Próbuję skupić się na Gosi, ale nie mogę. Nigdy nie czułem czegoś takiego i nazywajcie mnie pedałem, jak chcecie, ciotą. To najpiękniejsza osoba, jaką widziałem.

– ...no i dlatego w sumie lubię moją pracę.

– Co? Ach, tak, to dobrze, najważniejsze to lubić to, co się robi.

– Mhm, może już się zbieramy?

– Tak, tak, mogę cię odprowadzić.

Odprowadzam Małgosię w ciszy. Nie mieliśmy wspólnych tematów, ale to nie znaczy, że jest głupia. Dobrze wiedziała, że właściwie jej nie słuchałem. Odprowadzam ją na przystanek, mój tramwaj ma być tutaj za jakieś dziesięć minut.

– To ten, dzięki za wieczór, czy coś.

– Ja też dziękuję. Byłem dzisiaj trochę zamyślony.

– W porządku, to pa.

– Cześć.

Nie pójdziemy dzisiaj do łóżka, nie będziemy oglądać rano Świata według Kiepskich. Tramwaj ciągle nie podjeżdża, chciałbym wrócić do baru, powiedzieć temu ziomkowi, że nigdy nie widziałem piękniejszej istoty. Mieć w dupie, co na to mój ojciec, jego spierdoleni kumple, czy matka będzie płakać. Obracam się, zaczynam zmierzać z powrotem do knajpy, ale właściwie co miałbym zrobić...

Tum, dum. Linia numer piętnaście.

Wchodzę do środka, nie kasuje biletu, bo o tej godzinie kontrolerzy już nie pracują. Jest noc i ciągle pada deszcz.

Dariusz Adamowski

Jan¹ (fragmenty)

Siedzi przede mną na starym fotelu, który kiedyś zabrałem dziadkom, bo ich zdaniem nadawał się już tylko do rozpalenia wielkiego letniego ogniska ku czci równonocy. Ale to przepiękny, stylowy mebel. Siadywałem w nim z książką, siadywałem z kawą, z głową w dłoniach, zwinęty w kłębek, śmiejący się do rozpuku albo łkający. Tak było kiedyś. Teraz to jego fotel. Siedzi w nim od kilku dni. Od kiedy zaczęła się ostatnia faza Przemiany. Nie odzywa się już do mnie, chociaż czuję jego obecność coraz wyraźniej, coraz czulej i coraz dotkliwiej. Poza strumieniem błogości, który nieustannie sączy się przez moje ciało i umysł, jest też ból. Niewyraźny, nieokreślony, jakby ktoś wlewał we mnie gęsty gryczany miód zmieszany z cierniami. A on siedzi i pokazuje mi te obrazy. W sobie, na ścianach pokoju, w mojej głowie.

Spędzam z nim każdą chwilę. Wracam z pracy wcześniej niż zwykle. Nie zostaję już po godzinach. Zamykam księgarnię punktualnie o osiemnastej i pędzę na autobus. Łapię piętnastkę na Rondzie Gutenberga, siadam gdzieś z tyłu, przy oknie i odmierzam przystanki. Siedem postojów, kilkanaście dodatkowych na światłach i przejściach dla pieszych. Jestem na miejscu po dwudziestu minutach. Idę szybkim krokiem przez trawnik, w świetle latarni. Wchodzę na klatkę schodową, wciskam się w małą kabinę windy. Przed drzwiami mieszkania

¹ Opowiadanie opublikowane w tomie *Baśnie*, Brzeg 2018, s. 201-226.

zatrzymuję się na chwilę. A co, jeśli to wszystko mi się przywidziało? Jeśli otworzę drzwi i nie zastanę go w środku? Szybko przekręcąc klucz w zamku, wchodzę i już w przedpokoju wiem, że jednak tam jest. Widzę delikatną błękitną poświatę, promieniującą z salonu. Zaczyna wsączać się w mój umysł, a ja przestaję się bać.

Czy przeczuwałem, co może się wydarzyć, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy? Wydawało mi się, że jest w nim coś innego, ale tak było przecież za każdym razem. Każdy nowy jest inny, lepszy, przystojniejszy, bardziej czuły. I ma potencjał, żeby zostać z tobą dłużej niż jego poprzednik.

Klub nazywał się *Pod Prąd*. Znajdował się z dala od głównych ścieżek wydeptanych przez gejów w centrum miasta. Był cichszy, mniej hipsterski i skromniejszy niż *Stone Wall* czy modny ostatnio *Bluźnierca*. Nie można tam było liczyć na występ najpopularniejszych drag queens, w każdym razie nie tych zakładających najwyższe weneckie koturny, ani tych importowanych, ciemnoskórych. Oferta klubu „Pod Prąd” zapewniała ci pszeniczne litewskie piwo w przyzwoitej cenie i dobrą elektroniczną muzykę graną przez DJ-a Sziwę na zmianę z DJ-em Kriszną. Nie wiem, czy byli mężczyznami czy kobietami. Make-up, kolorowe peruki i modulatory głosu skutecznie strzegły ich tożsamości. Jednak za każdym razem udawało się im wywlec mnie na niewielki klubowy parkiet i poddać wielogodzinnej, słodkiej torturze hipnotycznych bitów.

Po raz pierwszy zobaczyłem go w szatni. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ktoś wszedł do klubu. Przyjrzałbym mu się lepiej, gdyby nie moja ręka. Czy raczej ta krnąbrna i niezgrabna rzecz, którą noszę przytwierdzoną do prawego ramienia od czasów wypadku. Próbowałem zawiesić na niej płaszcz, żeby móc lewą ręką zdjąć szalik, ale oczywiście złapał mnie skurcz, ramię wykonało epileptyczny ruch, a płaszcz upadł na podłogę. Kiedy się po niego schyliłem, ten nowy zatrzymał

się przy mnie na chwilę i zaproponował pomoc. Zerknąłem w górę, przelotnie, żeby na odczepnego wyjąkać: „Okej, dam sobie radę.” To był on. Chyba. Stał tam przez kilka chwil, ale ja wyprostowałem się i odwróciłem do szatniarza, nie zwracając na niego uwagi. Masowałem ramię, prosiłem w duchu, żeby już sobie poszedł, żeby nie zaczynać znajomości od mojej ręki. Przydarzyło mi się to kilka razy i nigdy nie kończyło się dobrze. Nie było po tym ani dobrego seksu, ani szczerzej przyjaźni. To, oczywiście, moja wina. Nie znoszę litości. Nie znoszę, kiedy mi się mówi frazesy typu: „Nie jesteś przez to gorszym facetem” ani kiedy się mnie pociesza, wspominając kuzyna, który w ogóle nie miał prawej ręki, a przecież świetnie sobie w życiu radził. Wolę już tych pragmatycznych: „Hej, a jak sobie walisz konia? Ja lewą nie potrafię.” W każdym razie poczekałem, aż zniknie, a potem poszedłem do łazienki, żeby zamknąć się na chwilę w kabinie i poczekać, aż skurcz przejdzie, a ręka zacznie mnie słuchać.

[...]

DJ Kriszna podkręcił tempo. Około pierwszej wszedł w bardzo głęboki house, pociągając wszystkich tancerzy za sobą. Na parkiecie faloowało kilkadziesiąt osób. Wszyscy w transie, niektórzy w amoku, w zależności od tego, jakimi substancjami wzmacniali swoją podróż. Mnie nie potrzeba było nic poza kilkoma zimnymi piwami, żeby stoczyć się na samo dno tej głębi. Byłem szczęśliwy, pozwalając się nieść upojeniu i dudniącym w całym ciele basom. I wtedy poczułem na sobie wzrok. Umysł natychmiast wypłynął na powierzchnię, kazał mi otworzyć oczy i przyjrzeć się otoczeniu, które dotąd było tylko cienistą, tętniącą mrocznymi kolorami doliną. Chłopak stał przy barze. Patrzył. Nie gdzieś tam, w przepaść tanecznego wiru, tylko na mnie. Patrzył z zaciekawieniem i, co więcej, z ogromną uważnością. Studiował pilnie moje ciało, moje ruchy. Zatrzymałem się, na powrót zażenowany, niepewny siebie. Odwróciłem się i chciałem iść na sofę, ale on był już przy mnie. Położył mi dłoń na ramieniu. Potem odciągnął mnie na skraj parkietu,

tam, gdzie nie groziło nam już wessanie przez wir. Przytulił mnie i zaczęliśmy się poruszać. To była jednotaktowa parodia tańca. Licealny przytulaniec. Wymówka, by spleść się ciałami tak blisko, jak to tylko możliwe, nie wprawiając otoczenia w zażenowanie. Poczułem opór. Mój umysł protestował. Moje ramię, zimne i skurczone, przylgnęło do tułowia. Ale on w ogóle się tym nie przejął. Bez uprzedzenia wziął moją prawą rękę w swoją dłoń. Przez chwilę chciałem wywinąć się z uścisku, odepchnąć go i uciec. Ale nie... To nie było nieprzyjemne. Moje ramię odzyskało giętkość. Zamiast skurczu poczułem ciepło. Objąłem go lewą ręką w pasie i razem, bardzo ostrożnie, wkroczyliśmy w najcięższe, najbardziej mroczne basy.

Musieliśmy wyglądać jak dwóch nastolatków ujaranych pierwszym skrętem. Przetąpiliśmy spleceni w uścisku około godziny.

[...]

Wzięliśmy taryfę. Nie odzywaliśmy się do siebie aż do drzwi mego domu.

– Jesteś stąd? – zapytałem, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu klucza.

– To ma jakieś znaczenie?

Pokręciłem głową na znak, że nic mnie to nie obchodzi.

– Nie. Przyjechałem dzisiaj. Na kilka dni.

– Jak masz na imię?

– Jan. A ty?

– Tomasz.

Zdjęliśmy płaszcze i usiedliśmy w kuchni. Zaparzyłem zieloną herbatę. Zrobiłem jakieś kanapki, bo obaj umieraliśmy z głodu. Kiedy jedliśmy, wymieniając się nieistotnymi informacjami, przyjrzałem mu się dokładniej po raz pierwszy. Musiał mieć około trzydziestki. Krótco ostrzyżony blondyn. Nie za wysoki. Trochę miśkowaty. Byłby raczej nie w moim typie, gdyby nie twarz. A w zasadzie oczy: szarobłękitne, okolone łagodnymi łukami brwi, czujne i uważne. Kiedy na mnie patrzył, czułem, że naprawdę patrzy. Że każde spojrzenie jest pytaniem,

poszukiwaniem odpowiedzi, w mojej twarzy, w moich gestach. Nie chodziło tylko o to, że mu się podobam, że za każdym razem szuka we mnie uzasadnienia swego nocnego wyboru. Nie, to było znacznie głębsze. Wtedy miałem nadzieję, że tak jest. Teraz jestem pewny.

Było około piątej nad ranem, kiedy położyliśmy się do łóżka. Nie musieliśmy niczego przyspieszać. Wiedzieliśmy, że będzie nam ze sobą dobrze. Robiliśmy to powoli, badając grunt, sprawdzając cierpliwie, co sprawia drugiemu największą przyjemność. Czasami popełnialiśmy błędy, ale nawet one okazały się przyjemne. Jakbyśmy mieli stuprocentową pewność, że będzie dużo czasu, by te pomyłki w przyszłości naprawić. Kiedy byłem blisko końca, leżąc pod nim, zapadając się w kolejną rozkoszną głębię, jęknąłem jak wariat: „Kocham cię”. Zatrzymał się na chwilę; w półmroku zobaczyłem, że się uśmiecha, wręcz promienieje. Nie powiedział nic; potem zaczął się znów poruszać. Zamknąłem oczy i poczułem, jak na mój policzek spada kropla jego potu.

Obudziłem się wcześniej niż zwykle. Była niedziela i normalnie pospałbym do południa, jednak obecność drugiego mężczyzny w moim pustym ostatnio łóżku zmieniła tę rutynę. Zanim się odwróciłem, by sprawdzić, czy nadal tam jest, usłyszałem jego miarowy oddech. To oczywiste, że nie mógł się potajemnie wymknąć. Nie po tym, co się między nami wydarzyło. Odwróciłem się i przez chwilę studiowałem jego sylwetkę pod wełnianym kocem. Moja prawa ręka, odważna i pewna siebie, bezceremonialnie sięgnęła do jego ramienia. Pomogła memu ciału przysunąć się i przyłgnąć do jego pleców. Rytm oddechu od razu się zmieniał. Obudził się. Dotknął mojej dłoni i zaczął ją delikatnie gładzić.

– Co chciałbyś dzisiaj robić? – zapytałem.

Milczał przez chwilę. Przyłożył moją dłoń do swoich ust. W końcu szepnął:

– Teraz będziemy się znowu kochać. Potem pójdziemy na długi spacer, a ty będziesz mi opowiadał o sobie.

- Co chciałbyś wiedzieć?
- Wszystko.

Nie znał w ogóle miasta, więc zabrałem go najpierw na starówkę, żeby pokazać mu naszą czternastowieczną katedrę. Tego dnia wyglądała naprawdę majestatycznie. Przez wiszące nisko chmury przebijało się od czasu do czasu słońce, sprawiając, że wieże ożywały w zmieniającym się nieustannie światłocieniu.

– Tutaj mnie ochrzczono – powiedziałem, kiedy weszliśmy do środka.

Poza nami było tam tylko kilkoro turystów i zakonnica modląca się w kaplicy przed obrazem Matki Boskiej. Przeszliśmy boczną nawą w stronę ołtarza i misternie rzeźbionych stali. Nad naszymi głowami po obu stronach transeptu słońce zapalało i gasiło olbrzymie kalejdoskopowe witraże.

– Często chodzisz do kościoła? – zapytał.

– Na śluby, pogrzeby, chrzciny. Nie przepadam za tą instytucją.

– A co z Bogiem?

– Tak jak mówiłem. Rzadko zaglądam do kościoła...

– Nie o to mi chodzi – spojrzał na mnie z wymówką. – Czy w coś wierzysz? Czy coś praktykujesz? Modlitwę? Jogę? Medytację?

– Nie, raczej nie – zamyśliłem się przez chwilę. – Kiedyś na studiach ćwiczyłem *tai chi*, jeśli to się liczy.

Kiwnął głową potakująco.

Kiedy stanęliśmy przed głównym ołtarzem, położył mi dłoń na ramieniu. Na obrazie serce Jezusa emitowało niebieskie i czerwone światło. Dwa eteryczne reflektory, które oświetlały mu drogę w ciemnościach.

– Bardzo lubię kościoły – powiedział. – Ale tylko kiedy nie odbywają się w nich msze. Wtedy panuje tu cisza, którą rozumiem znacznie lepiej niż kazania.

Nie zważając na parę starszków, którzy przechodzili obok nas, objąłem go i pocałowałem w policzek.

Z katedry poszliśmy do parku. Wypogodziło się, więc spędziliśmy tam niemal godzinę, spacerując, gapiąc się na wiewiórki, matki z wózkami i zakochane pary. Miałem ogromną ochotę wziąć go za rękę. Moja prawa dłoń nie mogła się nacieszyć fantastycznym samopoczuciem i ciepłem, które ją nieustannie wypełniało. Bez żadnych spięć. Bez skurczy i bólu. Miała ochotę tulić Jana, wiewiórki, opadłe zbrązowiałe liście. Zapaliłem papierosa, przez co włączył mi się tryb intymnych pytań. Nikotyna zawsze każe mi wypytywać. Prawdopodobnie dlatego, że paliłem zazwyczaj z kimś. Z kolegami z uczelni, z koleżankami z księgarni. I nie lubiłem zalegającego w dymie milczenia. Teraz został mi czysty odruch.

– Jak ci się układa z rodzicami? – zapytałem.

– Nie wiem – odpowiedział, uśmiechając się kwaśno.

– Nie jesteście ze sobą blisko?

– Trudno powiedzieć. Bardzo dawno ich nie widziałem.

– Wiedzą o tobie?

– Wiedzą bardzo mało – odpowiedział i przystanął. – Dzięki że o nich zapytałeś.

– To sarkazm?

– Nie, skąd – popatrzył na mnie poważnie. – Po prostu od dawna o nich nie myślałem.

– Jeśli nie chcesz o tym gadać, nie ma sprawy...

– Chcę. Po prostu mam niewiele do opowiadania. – Ruszył znów przed siebie, a ja, zaintrygowany, podążyłem za nim. – Wychowałem się na wsi. Bardzo małej i bardzo tradycyjnej wsi na południu. Takiej, w której wszyscy chcą wiedzieć wszystko o wszystkich. I wszyscy boją się, że ich drobne tajemnice wyjdą na światło dzienne. Pijaństwo męża, ciąża nastoletniej córki, homoseksualizm syna...

– Ktoś się dowiedział?

– Tak. Ja.

– I co się wtedy stało?

– Trochę się przestraszyłem. Bałem się nie tyle o siebie, ile o moich rodziców. Zawsze byli tacy... przewidywalni, spolegliwi. Wtapiali się idealnie w swoje wiejskie tło. Nic nadzwyczajnego po prostu nie mogli im się przydarzyć. Miałem być zdrowym i nudnym synem, skończyć SGH, znaleźć przyzwoitą pracę w dużym mieście, ożenić się i odwiedzać ich później z rodziną w każde święta, a czasami spędzać z nimi wakacje. Oni w swojej sennej radości bledliby coraz bardziej, aż w końcu zgaśliby, nie znając smaku rozczarowania czy wstydu.

– Postanowiłeś im tego oszczędzić?

– Tak – zawahał się. – To nie była dobra decyzja. Ale wtedy wydawała się słuszna.

– I co zrobiłeś?

– Uciekłem. To znaczy wyjechałem z kraju w czasie studiów. Nie skończyłem SGH. Mieszkałem przez kilka lat w Londynie, potem w Kopenhadze...

– Jak oni na to zareagowali? Po prostu odpuścili?

– Było trochę płaczu. Na początku. Ale... mam jeszcze młodszego brata i siostrę. Rodzice skupili się na nich. Z czasem wystarczało im, jak dzwoniłem na święta.

– Ale przecież wróciłeś...

– Odwiedziłem ich rok temu, po powrocie. Mama zrobiła pyszny obiad. Mówiła o zbliżającym się ślubie mego brata. O jego nowym mieszkaniu. O samochodzie. Ojciec milczał. Czasami mam wrażenie, że on wie, co się dzieje... pod powierzchnią. Że tylko udaje naiwnego. Ale nie chciałem tego sprawdzać. Zostałem u nich dwa dni. Obiecałem przyjechać na ślub. Nie przyjechałem. Zadzwoiłem i jakoś się z tego wykręciłem. Nikt nie rozpaczał.

Wróciliśmy na starówkę. Dochodziła trzecia. Niebo znów zasnuło się chmurami i przywleкло przedwczesny zmierzch. Szliśmy wzdłuż Jordańskiej w stronę Ratusza, w milczeniu obserwując, jak rząd latarni co chwila rzuca nam pod stopy kolejne pary naszych ceni.

Zaprowadziłem go do mojej ulubionej włoskiej restauracji. Nie był głodny, ale zgodził się przekąsić coś dla towarzystwa. Ja po długim spacerze i emocjach, które towarzyszyły mi od wczoraj, umierałem z głodu. Zamówiłem penne all'arabiatta, Jan poprosił o bruschettę. Kiedy popijaliśmy kawę po posiłku, spojrzał na mnie z uwagą i zapytał, a może raczej stwierdził:

– Twoi rodzice wiedzą o tobie, prawda?

Przytaknąłem.

– Ale nie poszło to tak, jak się spodziewałeś?

– Nie – odpowiedziałem z uśmiechem. – Nic nie poszło tak, jak się tego spodziewałem.

W drodze powrotnej opowiedziałem mu o wszystkim. Kiedy miałem szesnaście lat, moja wścibska matka weszła na moją skrzynkę mailową i wyczytała z niej, w kim byłem wtedy zakochany. Nie, to nie była ta sympatyczna, rudowłosa Ewka, która tak często mnie odwiedzała, by przygotowywać się wspólnie do klasówek z matmy albo obejrzeć film. Ale ona wiedziała, że podkochuję się w tym dziwnym, wygolonym na tyso Marku, grającym w marnej punkowej kapeli i upijającym się do nieprzytomności na wszystkich klasowych imprezach. Dowiedziała się też, że moje podkochiwanie miało swoją chwilę spełnienia. Po imprezie urodzinowej Marka, na którą z naszej klasy przyszliśmy tylko ja i Ewka, udałem bardziej pijanego niż naprawdę byłem i zostałem u niego na noc. Potem zaaranżowałem wszystko tak, że wylądowaliśmy wspólnie: on, Ewka i ja w jednym łóżku. Wiedziałem, że ona mu się bardzo podoba, ale miałem cichą nadzieję, że lubi też chłopaków. Nie pomyliłem się aż tak bardzo. Może nie przepadał za facetami, ale z pewnością ich tolerował. W każdym razie tamtej nocy tolerował moją drżącą dłoń pełznącą wzdłuż jego uda i wyżej, w stronę rozporoka. Tolerował moje usta na swojej szyi. Dzięki alkoholowi i bliskości Ewki podniecił się i doszedł, spazmatycznie, niemal boleśnie, pod moim nerwowym dotykiem. Wszystko to dokładnie opisałem w krótkim opowiadaniu

i wysłałem mailem do Ewki, a moja matka wyczytała w nim najpikantniejsze fragmenty. Kiedy wróciłem tego dnia do domu, była bardzo blada i bardzo opanowana. Musiała łyknąć o jedno valium za dużo. Rozmawiała ze mną rzeczowo, choć nie potrafiła mi wyjaśnić, dlaczego tak skandalicznie naruszyła moją prywatność. Powiedziała mi za to, że to musi się skończyć, że muszę z tego wyrosnąć, zapomnieć. Odparłem, że cała sprawa z Markiem jest już dawno skończona. Tak było rzeczywiście – od tamtej nocy nie odezwał się do mnie ani słowem i traktował mnie w szkole jak powietrze. Jeśli zaś chodzi o moje preferencje, nic nie mogło się zmienić. Byłem taki, od kiedy pamiętam. Próbowiałem zainteresować się dziewczynami, ale bez skutku. Więc, jeśli mnie choć odrobinę kocha, powinna to zaakceptować. Popatrzyła tylko na mnie smutnymi oczami, przygładziła siwiejące włosy, wstała, poprawiła sukienkę i wyszła. Następnego dnia, kiedy wróciłem ze szkoły, nie miałem już internetu. Poszedłem do Ewki i zadzwoniłem ze Skype'a do ojca w Belgii. Chciałem mu się poskarżyć i miałem nadzieję, że stanie po mojej stronie. Robił to bardzo często, kiedy kłóciłem się z matką. Ale ojciec nie ujął się za mną. Patrzył z ekranu komputera, jakby zobaczył mnie pierwszy raz w życiu. Potem zaczął płakać i powiedział, że nie ma czasu teraz rozmawiać. Zrozumiałem, że matka wszystko mu opowiedziała i że nie mogę liczyć na jego pomoc. Rozłączyłem się. Byłem na niego wściekły. Na szczęście trwało to krótko. Liberalna Belgia zrobiła swoje i ojciec się zmienił. Zaakceptował moją odmienność. Po kilku latach rozwiódł się też z matką. Ale tamtego wieczoru byłem sam, zrozpaczony, pozbawiony wsparcia najbliższych mi ludzi. Ewka przytuliła mnie mocno i tak długo gładziła po głowie, aż usnąłem. Obudził mnie telefon od mojej wściekłej matki, już pozbawionej psychotropowego opanowania. Kazała mi natychmiast wracać do domu i przestać zadawać się z tą rudowłosą szajbuską.

– Wróciłeś?

– Tak, ale... – zatrzymałem się i uniosłem prawą rękę. Drżała.

– To stało się wtedy?

– Wracając do domu, wszedłem na czerwonym wprost pod nadjeżdżającego mercedesa.

Jan wziął mnie za rękę i poszliśmy dalej.

– Jak sobie z tym wszystkim poradziłeś? – zapytał.

– Najpierw był szpital i długa rekonwalescencja. Moja matka, dręczona wyrzutami sumienia, przestała się czepiać. Ale też nigdy nie wróciła do naszej rozmowy. Nigdy nie zapytała mnie, czy kogoś mam. Potem zdałem maturę z rewelacyjnym wynikiem i wyjechałem na studia daleko, nad morze. Tam nie sięgała już matczyzna miłość. Widywałem się z nią raz lub dwa razy do roku. Kiedy rozwiodła się z ojcem, jakieś cztery lata temu, przestałem ją w ogóle odwiedzać. Wtedy tu wróciłem. Mój ojciec nadal mieszka w Belgii, ma nową żonę i dwójkę dzieci. Czasami tam jeżdżę. Wydają się szczęśliwi.

Jan objął mnie ramieniem i aż do klatki schodowej mego bloku szliśmy mocno do siebie przytuleni. Nikt na ulicy nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Albo to ja nie zauważyłem żadnych natarczywych spojrzeń.

Wieczór spędziliśmy, kochając się i pijąc czerwone wino. Potem zaproponowałem, żebyśmy obejrzeli jakiś film, ale w telewizji leciały same nudne powtórki. Jan wziął mój laptop i znalazł online „Źródło” Aronofsky'ego. Nie widziałem tego filmu wcześniej. Nie obejrzałem go również w całości tamtej nocy, bo co chwila odpływałem w sen, wtulony w ciepłe ramię Jana. Ale pojedyncze sceny i obrazy utkwiły w mojej głowie: medytujący, ogolony na łyso mężczyzna, uwięziony w szklanej bańce i rozmawiający z drzewem, czasem żywiący się jego korą, potem rozbłysk Supernowej i lot ku światłu.

Poniedziałek mnie zaskoczył. Kiedy zadzwonił budzik w telefonie, myślałem, że to ktoś do Jana. Potem nagle przypomniałem sobie, że muszę iść do pracy i zostawić go na osiem długich godzin. Czas, który

normalnie wykorzystuję na zjedzenie śniadania, spędziłem, tuląc się do jego pleców i oddychając zapachem jego włosów.

Przed wyjściem podałem mu zapasową parę kluczy. Uśmiechnął się i zapytał:

– Nie boisz się, że już więcej mnie nie zobaczysz? Że zniknę razem z twoim laptopem, przestarzałym plazmowym telewizorem i... rodzinną biżuterią?

– Całą biżuterię mam na sobie – pokazałem mu srebrny łańcuszek z prostym krzyżykiem, który dostałem wieki temu na pamiątkę pierwszej komunii. – Telewizor jest zbyt ciężki, żebyś dał z nim radę skutecznie uciekać. Tylko laptopa byłoby mi żal, bo mam na nim kilka fajnych piosenek. Więc gdybyś planował coś niemiłego, zgraj, proszę, folder z muzyką na pendrive'a, okej?

Pocałowałem go lekko w usta i wybiegłem z domu.

[...]

Drzwi były zamknięte. Otworzyłem je nerwowo. Ciemność. Cisza. Serce waliło mi w piersi. Poczułem bolesny skurcz w prawej dłoni. Kiedy zapaliłem światło, zobaczyłem kartkę na stole kuchennym. Do oczu napłynęły mi łzy. Przeczytałem: „Wszystko się skończyło. Jestem w sklepie”. Usiadłem na krześle, błogosławiąc pustą lodówkę, całując w myślach wiadomość od Jana.

Zjawił się kwadrans później, niosąc dwie wypchane reklamówki z zakupami. Rzucił je w kuchni na podłogę i zaczęliśmy się całować. Potem, rozbierając się w pośpiechu, przeszliśmy do przedpokoju, aż w końcu, zupełnie nadzy, wylądowaliśmy na łóżku w sypialni. Czułem się jak nastolatek, nienasycony i podniecony już dziesięć minut po orgazmie. Kochaliśmy się raz za razem, aż do pełnego wyczerpania.

– Trzeba też było kupić nową pościel – rzuciłem, patrząc na wilgotne i skotłowane pobojoywisko na łóżku.

– Następnym razem będziemy się kochać na folii. A orgazmy będą ściśle reglamentowane.

Przetoczył się leniwie i oparł głowę na moim brzuchu. Leżeliśmy kilka chwil bez ruchu, a potem poczułem, jak szarpnął się nagle i wydał z siebie jakiś bolesny odgłos. Myślałem przez chwilę, że się wygłupia i posłałem mu kuksańca, ale on nie przestawał jęczeć. Spojrzałem na niego – był zgięty w pół, trzymał się za brzuch, jego nogi miały pościel. Dotknąłem go bardzo ostrożnie – był rozpalony i spocony.

– Co ci jest? – zapytałem przerażony.

Nie odpowiedział, tylko przetoczył się na drugi bok i skulił się jeszcze bardziej.

– Co mam robić? Dzwonić na pogotowie?

– Nie... – wyszeptał – proszę, nie dzwoń. Przynies mi tylko... wiadro... cokolwiek.

Pobiegłem do kuchni i wyciągnąłem z kredensu plastikową miskę, rozrzucając przy tym stojące obok zakupy. Pomidory malinowe potoczyły się po podłodze na wszystkie strony. Próbuując ich nie rozdeptać, wróciłem do sypialni i podstawiłem mu miskę pod twarz chwilę przed tym, jak zymiotował. Był tam w zasadzie tylko śluz, w którym pływały fragmenty jakiegoś czerwonego owocu. Albo strzępki zakrzepłej krwi. Trzymałem jego głowę nad miską, czekając, aż miną skurcze żołądka. Po kwadransie się uspokoił. Po jego twarzy widziałem, że minął najgorszy ból. Jego ciało również się rozluźniło.

Poszedłem wylać wymiociny i wróciłem z wilgotnym ręcznikiem, którym otarłem mu twarz. Pomogłem mu ułożyć się wygodniej w łóżku i poszedłem zaparzyć mocnej czarnej herbaty.

Jakiś czas później zasnął. Czuwałem przy nim jeszcze godzinę lub dwie, po czym położyłem się obok niego. Sen długo nie przychodził. Przewracałem się z boku na bok, bezskutecznie próbując uspokoić myśli. Co mu się stało? Czy była to zwykłe zatrucie, czy coś gorszego? Jeśli coś gorszego, to co takiego? Nowotwór? Jakaś przypadłość neurologiczna? AIDS? Od razu przypomniałem sobie, że nasz ostatni raz odbył się bez prezerwatywy i że to ja byłem na dole. Próbowałem się uspokoić,

mówiąc sobie, że Jan nigdy nie naraziłby mnie na takie niebezpieczeństwo, a chwilę potem przypominałem sobie, że znam go zaledwie od dwóch dni.

[...]

Wszedłem na trzecie piętro i otworzyłem drzwi. Zastanawiam się teraz, jak to możliwe, że przyjąłem ten widok z takim spokojem. Dzisiaj to dla mnie chleb powszedni, ale wtedy... Dlaczego nie zemdlałem? Nie krzyknąłem? Nie zacząłem przeklinać z niedowierzania? Może w jakiś sposób się tego spodziewałem. Może nawet tego podświadomie oczekiwałem. W każdym razie otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Krzyknąłem jego imię na przywitanie, ale nie odpowiedział. W kuchni na stole stał kubek niedopitej herbaty. Było zupełnie cicho. Pomyślałem nawet, że może znowu wyszedł do sklepu albo na spacer. Zajrzałem do pokoju i wtedy go zobaczyłem. Siedział w moim fotelu i... jarzył się delikatnym, bladoniebieskim światłem. Tak, to chyba najlepsze określenia. Jarzył się. Jakby gdzieś pod skórą miał zainstalowane ledowe żaróweczki. Jakby spod spodu przeświecał wyświetlacz telefonu komórkowego. Zareagowałem bez hysterii. Stałem w drzwiach przez kilka minut, nie mogąc się temu nadziwić. Potem podszedłem i przyjrzałem się mu z bliska. Był rozebrany do pasa. Miał zamknięte oczy, nogi opuszczone na podłogę i lekko skrzyżowane. Dłonie leżały na udach. Mógł drzemać, choć gdyby rzeczywiście spał, nie utrzymałby takiej wyprostowanej sylwetki. Głowa stoczyłaby się po zagłówniku w kierunku ramienia. Wyglądał tak, jakby, siedząc na fotelu, na chwilę przymknął oczy, żeby rozmyślać o czymś przyjemnym. Tak, przyjemnym, bo jego twarz była zupełnie rozluźniona, a usta wygięte w ledwo dostrzegalnym uśmiechu. Kiedy próbowałem rozwikłać zagadkę podskórnego światła, nagle pojawił się obraz. Kilkanaście centymetrów od jego brzucha powietrze zamigotało i zaczęło wyświetlać hologramowy film. Był rozmigotany i niewyraźny. Śnieżył jak ekran starego telewizora, tyle że w trzech wymiarach. Najpierw nie mogłem ustalić, co takiego widzę.

Przyglądałem się temu pod różnymi kątami, ale nie miało to dla mnie żadnego sensu. Jakaś pulsująca masa, kłębowisko kształtów, przez które co chwila przebiegał błysk światła. Do tego statyczne zakłócenia. Tyle mogłem z obrazu wyczytać. Dopiero kiedy wstałem i odszedłem na kilka metrów, zrozumiałem, co widzę. To był obraz tańczącego tłumu. Ludzie bawili się na całym parkiet był pełen. Potem nagle w rozbłysku światła dostrzegłem gdzieś ponad tłumem zarys fioletowej kanapy. Tak, ten tłum bawił się w „Pod Prąd”. Czy był to zapis z nocy, kiedy się poznaliśmy – tego mogłem się tylko domyślać. Rozplakałem się. Nie wiem, czy bardziej ze szczęścia, czy z zachwytu. Łzy leciały mi po policzkach, jedna za drugą, gdy patrzyłem na tę przedziwną wizję, emanującą z wnętrza człowieka, którego miałem szczęście poznać. W końcu się uspokoiłem. Dotknąłem delikatnie jego ręki swoją prawą, drżącą z emocji, dłonią. Był gorący. Musiał mieć podwyższoną temperaturę. Teraz nagle zrozumiałem, że wczorajszy atak to nie był początek jakiejś choroby. Stało się coś, na co czekał. Taki był plan. I wybrał właśnie mnie, żebym ten plan wraz z nim dokończył.

Zakasał i otworzył oczy. Kiedy mnie zobaczył uśmiechnął się, a jego skóra jeszcze bardziej pojaśniała. To było naprawdę nierealne. I jednocześnie bardzo oczywiste. Dotknął mojej twarzy. Jego dłoń niemal mnie parzyła, ale łaknąłem tego dotyku, chciałem się w nim rozpuścić.

– Rozumiesz już? – jego głos był cichy, przytłumiony.

– Chyba tak – odpowiedziałem szeptem. – Zmieniasz się. Ale... skąd się to wzięło? I co będzie dalej?

– Jakiś czas temu poznałem kogoś. Spotkaliśmy się na plaży, na Helu. Była noc. Chociaż wyglądało to na przypadek, wcale nie było przypadkowe. Nie mogłem mu się oprzeć. Spędziliśmy ze sobą fantastyczny miesiąc. A potem nadeszła Przemiana...

– Ile to potrwa? – zapytałem. Mój głos drżał.

– Nie wiem dokładnie. Kilka dni. Kilka tygodni. Dzieje się to ze mną po raz pierwszy.

– A jak... to się skończy?

Wziął moją twarz w dłonie przyciągnął do siebie i pocałował.

– Miłością – wyszeptał. – Na końcu zawsze jest miłość.

Przenieśliśmy się na łóżko i długo leżeliśmy przytuleni do siebie. Hologram z klubu znikł. Potem pojawił się inny, nad jego czołem: głębia morza i przemieszczające się wolno ciemne kształty – stado żółwi morskich. Było ich kilkanaście. Potężne i majestatyczne, zagarniały płetwami wodę i z niezwykłą lekkością szybowały w błękicie.

– Jak tworzysz te obrazy? – zapytałem.

– Nie wiem – odpowiedział. – Czuję tylko, jak nadchodzą. Jest ich we mnie całe mnóstwo. Kiełkują gdzieś w środku, potem unoszą się ku powierzchni jak bańki powietrza w wodzie.

– Masz jakiś wpływ na to, co się tu pojawia?

– Nie. To jest poza mną. Czasami są to rzeczy związane z moim życiem, innym razem zupełnie odległe i obce.

Wyciągnąłem rękę i zatopiłem ją w hologramie. Żółwie pływały teraz między moimi palcami, woda migotała błękitnawo na paznokciach. Leżeliśmy tak godzinę albo dwie. Obrazy pojawiały się i znikaly, a ja patrzyłem na nie, oniemiały, przejęty jak dziecko. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek w życiu był bardziej szczęśliwy.

Cały tydzień upłynął mi jak we śnie. Wychodziłem, co prawda, każdego ranka do księgarni, ale zabierałem Jana i wszystkie obrazy ze sobą. Nie czułem już lęku ani rozgorączkowania. Mój umysł stał się bardzo spokojny. Trochę zaniedbywałem przez to obowiązki w pracy, ale Magda z wielką wyrozumiałością pomagała mi w wystawianiu faktur i brała na siebie trudne rozmowy z centralą. Na szczęście nie próbowała mnie zmusić do zwierzeń. Założyła po prostu, że zakochałem się w kimś po uszy i wcześniej czy później ochłonę.

[...]

W czasie tej rozmowy naprawdę nie wiedziałem jeszcze, jak długo będzie mi dane przebywać z Janem. Obawiałem się natomiast, że wcześniej czy później będziemy musieli się rozstać. W ten czy inny sposób. To przypuszczenie zmieniło się w pewność kilka dni później. Kiedy wróciłem do domu po pracy, zastałem Jana zwiniętego w kłębek na łóżku. Jęczał i rzucał się bezładnie w ataku bólu. Nie umiałem mu pomóc. Klęknąłem tylko obok i trzymałem go za rękę. Kiedy w końcu minął atak, myślałem, że wszystko wróci do normy: zjemy coś wspólnie, opowiem mu o fatalnym dniu w pracy, potem będziemy oglądać obrazy, które wyklują się w jego wnętrzu, komentując je albo milcząc. Ale tak się nie stało. Kiedy puściłem jego rękę i chciałem wyjść do kuchni, żeby zaparzyć herbatę, jego ciało nagle rozbłysło. Nie był to delikatny podskórny blask, do którego już się przyzwyczałem. To było jak rozciągnięty w czasie błysk flesza. Musiałem zamknąć oczy, bo rozbłysk mnie oślepił. Potem przesłaniając twarz dłonią, spod przymrużonych powiek, patrzyłem na snop światła, który bił gdzieś z brzucha Jana, wylewał się z jego oczodołów i dłoni. Przestraszyłem się, że ten wybuch unicestwi go i zabierze bez ostrzeżenia, bez pożegnania. Jednak, kiedy stałem tak, otoczony światłem, lęk ustąpił. Odeszły wszystkie myśli, i dobre i złe. Wahanie, wątpliwości, nadzieje – wszystko rozpuściło się w tym świetle. Ja również. Wyzwoliłem się. Pozwoliłem płonąć Janowi, mnie samemu, całemu światu. Pozwoliłem nam zniknąć. Pozwoliłem odejść nawet mojej miłości do Jana.

Ocknąłem się późnym wieczorem. Teraz to ja leżałem na łóżku, a Jan się mną opiekował. Położył mi zimny kompres na czoło i trzymał mnie za rękę. Czuję się fatalnie. Bolała mnie głowa, wszystkie stawy i mięśnie. Koszula była mokra od potu.

– Hej, jesteś prawdziwą gwiazdą gejowskiej sceny – próbowałem się uśmiechnąć, ale nawet drobny ruch ust spotęgował ból pod czaszką.

– Nie gadaj tyle. – Pocałował mnie w policzek – I przepraszam cię... za wszystko.

- Nie ma za co.
- Zdaje się, że zabrałem cię na niezłą przejażdżkę. Jak się czujesz?
- Paskudnie.
- Przepraszam. Ja naprawdę nie wiedziałem, że dostaniesz... rykoszetem.
- Daj spokój. Powinienem ci podziękować.
- Za co?
- Po pierwsze: za to, że jesteś. Po drugie: za to całe światło. Nie masz pojęcia, co się ze mną stało.
- Co takiego?
- Czuję się... Nie wiem, jak to opisać. Jeśli powiem, że szczęśliwy, to nie będzie cała prawda. To było coś poza szczęściem, ale też poza wszelkim cierpieniem. Absolutny spokój i pewność.
- Pewność?
- Tak. Przekonanie, że wszystko jest w porządku. Że nikomu nie dzieje się żadna krzywda. Pomimo tego, że przecież się dzieje. Nie wiem, jak to wyrazić...
- Nie musisz. Przy każdym ataku przechodzę dokładnie to samo.
- Ale przecież boli cię. Rzucasz się po całym łóżku. Cierpisz.
- Tak. I jednocześnie czuję totalny spokój. Przekonanie, że wszystko jest dobrze. Chociaż przecież nie jest – uśmiechnął się – Ja też nie potrafię tego wyjaśnić.
- Czy to jest właśnie Bóg? – zapytałem.
- Nie wiem. Myślę, że nie ma to znaczenia. Żadna definicja nie odda tego, co czujemy. Poza tym słowo „bóg” jest mocno zużyte. Tak bardzo dzieliło ludzi w przeszłości. Chyba nie ma potrzeby, żeby odsmażać ten stary kotlet...
- Stary kotlet? – popatrzyłem na niego z rozbawieniem. – Powiedziałeś, że bóg to stary kotlet?
- Tak, ale nie naskarż na mnie swemu proboszczowi.
- Kotlet – zachichotałem. – Stary odsmażony kotlet. Schabowy czy mielony?

– Mielony – zawtórował mi chichotem. – Niestrawny, pokryty pleśnią, przerzucany od lat z talerza na talerz, mielony kotlet.

Od tamtej rozmowy minął tydzień. Spędziłem go w domu. Wziąłem zaległy urlop i zostawiłem Magdę na pastwę grudniowego obłączenia w księgarni. Nie miała do mnie pretensji. Prosiła tylko, żebym był od czasu do czasu pod telefonem, bo osoba, którą jej dokooptowali z centrali, nie do końca radziła sobie z wyzwaniem. Czasami byłem pod telefonem. Częściej go wyłączałem. To nie podobało się zwłaszcza Piotrowi, który bezskutecznie próbował się do mnie dodzwonić. Groził mi nawet zerwaniem przyjaźni. Jednak po moim ostatnim esemesie odpuścił. Napisałem mu: „już niedługo. widzimy się w drugi dzień świąt w pod prąd”. Chyba mi uwierzył, bo odesłał mi emotikonowego całusa. Jeśli chodzi o mnie, nie byłem pewny, co się wydarzy.

Nadal nie jestem. Od wczoraj siedzę niemal bez przerwy naprzeciwko Jana i przyglądam się jego Przemianie. Przestał jeść dwa dni temu. Wczoraj przestał mówić. Jest za to więcej światła i więcej obrazów. Już nie jeden, ale kilka, kilkanaście naraz. Pojawiają się w różnych miejscach w pokoju, migoczą, zachodzą na siebie, gasną. Nie mogę się im oprzeć. Wpatruję się w nie godzinami. Czasami wychodzę na chwilę do kuchni, żeby zjeść kanapkę albo napić się herbaty. Czasami zasypiam, ale po godzinie czy dwóch budzę się i znowu pozwalam się zahipnotyzować hologramom. W tej chwili widzę tropikalną dżunglę, występ jakiegoś zespołu rockowego i obraz, który najbardziej przykuwa moją uwagę: to spiralna galaktyka, być może Droga Mleczna, z dwoma srebrzącymi się ramionami zawiniętymi wokół połyskującego złotawo jądra – kosmiczny derwisz wirujący w szalonym tańcu, jednak zupełnie nieporuszony. Zaraz potem widzę najgorsze koszmary – wojnę, rozstrzeliwanych ludzi, udręczone zwierzęta w rzeźniach. I jest we mnie rozpacz i niemożliwy do wypowiedzenia

żał, ale wszystko to unosi się w nieskończonym, majestatycznym polu spokoju i poddania.

Jan maleje z każdym wyświetlonym obrazem. Siedzi na fotelu i kurczy się na moich oczach. Jakby przez światło odparowywały jego tkanki. Jest jak słońce, które pod koniec swego żywota zaczyna zbyt szybko spalać nagromadzoną w nim materię, by skurczyć się i przeobrazić w gwiazdneho karła.

Jest ósma rano. Hologramy zniknęły. Cały pokój zalewa ciepłe niebieskie światło, które emanuje z ośrodka na fotelu. Nie widzę tam już Jana. Nawet zarysu człowieka. Nie martwię się tym. Czekam w świetle. Pozwalam się nieść falom jasności we wszystkich kierunkach. Czy jestem jeszcze sobą? Czy rozpuściłem się w tym blasku i już nigdy nie odnajdę Tomasza, którym byłem? Słyszę dzwonek telefonu. Potem znów unoszę się w świetle. Słyszę kogoś dobijającego się do drzwi. Nie wiem, co to oznacza. Nie wiem już nawet, czym są drzwi i dlaczego ktoś miałby w nie uderzać. Nie musimy nigdzie wchodzić. Wokół trwa nieporuszona, otwarta przestrzeń.

Jest południe. Światło przygasa. Przez całą nieskończoność powracam do siebie. Odnajduję kontury swego umysłu, granice ciała. Zaczynam odczuwać ciężar materii i myśli. Teraz widzę, że leżę na łóżku. Nie wiedzieć czemu jestem zupełnie nagi. Siadam i patrzę na fotel. Jan zniknął. Odszedł. Rozpuścił się w świetle. Wiedziałem, że tak się to skończy, a jednak czuję ukłucie rozpacz. Światło mnie już nie chroni. Lęk i żal są jak bolesny skurcz w mojej głowie. Z oczu płyną łzy. Jest ich bardzo dużo. Spływają mi po policzkach i szyi, po klatce piersiowej i dalej na brzuch. Zaczynam jęczeć. Łkam jak dziecko, które zupełnie nie może sobie poradzić ze stratą. Nie zobaczę już Jana. Nie będzie czułości, pocałunków, seksu. Nie będzie hologramowych seansów. Nie będzie też światła, które mnie zbawiło.

Płacę bardzo, bardzo długo. W końcu ocieram oczy i nie pojawiają się już nowe łzy. Wstaję z łóżka. Poruszam się wolno i niezgrabnie, jak starzec. Zbliżam się do fotela. Chciałbym na nim usiąść, poczuć ciałem miejsce, które Jan zajmował przez ostatnie dni. Kładę ręce na jego welwetowych podłokietnikach i dostrzegam błysk. Kropla błękitu na wytartym siedzisku. Próbuję wyostrzyć wzrok, który przez zażawione oczy nie funkcjonuje jeszcze zbyt dobrze. W końcu widzę: to błękitna kulka światła. Tak naprawdę nie leży na siedzisku – lewituje kilka centymetrów nad nim. Jest mała, nie większa niż pastylka Mentosa.

Dotykam jej opuszką palca. Czuję ciepło i delikatne wibracje. Ogar-
nia mnie uniesienie. To Jan. Nie w swojej ludzkiej formie – to raczej
jego kwintesencja, wyciąg z istoty, którą miałem okazję poznać i po-
kochać. I coś więcej: ślad, wskazówka, za którą powinienem podążać.
Więc może jednak nie było to ostateczne rozstanie. Biorę błękitną kro-
plę światła w palec. Nie zastanawiam się nad tym, co robię. To instynkt.
Wkładam ją do ust i połykam. Czuję, jak przemieszcza się wolno
wzdłuż przełyku. Nadchodzi spokój, który zagarnia mój umysł ciepłą,
niepohamowaną falą.

[...]

Łucja Kuttig

human]ikar[yzm

1.

Genitalia poniżej naznaczone niebinarnie. Nonsingularna dyskretność, zanegowana, tranzytuje w niedyskretność obyczajów. Obczaj androgynarchalne bajki z eonu sprzed Wielkiego Wybuchu: androgynarchatu, nilseksualiatu. Nilseksualiat idzie spać z Matim na Koziny. Gdyby kózka nie skakała, toby rzeźączki nie złapała. Mati zasila chorobą niebinarne ciało. Płciowość jednak musiała być ulec skanalizowaniu, zminimalizowaniu. Ściskanie mocno genitalnych obciążeń upośledza endokrynologiczną immanencję. Androgeny i estrogeny lądują na poziom zaopatrzenia z zakresu nadnerczy. *Glandula suprarenalis* nie nadają na falach sterylizacyjnych. Mimo to ciało holistycznie niechby znilseksualnić, z-adżenderować, wydżenderować, wyseksualnić, odpłciowić. Mati nie pozwala nazywać się Matim, włada natomiast doskonale francuszczyzną, dodajemy zatem zet. Matiz ewokuje latynoski niuans z obszaru nonmaskulinaru dla funkcji z rodziny kontraktu płci. Matiz wiezie mnie na leczenie. Matiz oznacza pijaństwo. Z Kozin w brzeziny, do szpitala w Brzezinach, w którym Diogenes znalazłby cnotę pod postacią dermatolożki. Lekarka przeprowadza niebinarność przez terapię z wyboru. Izotretynoiną wiodącą niby do kurzej ślepoty. Lewofloksacyną przerywającą objęcia Morfeusza, zapalającą Achillea w ścięgnię to tu, to tam. Nie zwracają mi za niego OC ani AC. Zabezpieczam się wobec tego w bezpłciowość i hula (!) asceza. Wspominaj moją metrykę rzadziej.

2.

Przestrzenie metryczne nie zawierają stopni swobody. Jakakolwiek wolność ma ograniczenie w kresach. Krańcowe stany osiągnane w nieskończoności. Szańce przerwane zostają w zerze. Metryka nieujemna zachowuje jednorodność. Przemnożona przez brak ruchu (*vide* skalar) sprowadza się do bytu zmultiplikowanego przez to blanko. Ikar zostaje spisany na słońce. Ikarzyca na skreślenie, jako że lepiej spłotła skrzydła. Dedal ląduje i wprowadza pierwszą metrykę, zatem mierzy. Na dwoje odmierza ludzkość i binarnie. Kinnar nie mówią, a takie kasty różne cywilizacje uspołeczniają w margines błędu lub szamaństwa. Szaleństwo – tak rugować rzeczywistość w zbiorze liczb. Euklides więc definiuje metrykę, najtrudniej natomiast wykazać u niego nierówność trójkąta. Trójzębów helleńskich Posejdon nie zaszczepił przed korozją i w dżungli strumieniem poruszać się rozkazano po dźwięku wody. Po zapachu drogi i kruszywach w dżdżu wyczuwamy nową metrykę taksówkową obok tej rzeki. Niepostrzeżenie każda skrojona na męsko. Pomierzono świat i jedyne, co zostało, to przestrzenie zespolone. Superpozycjonowane urojeńczo. Urajać moją metrykę rzadziej. Ura! Tak po radziecku radujemy się na raj.

3. (komunistyczna lekcja matematyki)

Beacie Guli

Matematyka wobec tego nosi w sobie patriarchalizm, gdyż cóż powstałoby, jakby świat zbiegł do dynamicznej, a niechajby i równowagowej, konstytucji; jeśli by było nie wprowadzono w umysł krystalicznej liczby jeden, dwa bądź więcej. Schemat z myślami matemorficznymi, matemorfologicznymi, wedle dyskursu

[definicja-lemat-twierdzenie (TW) -dowód-wniosek-dowód]

rozwijają miarowo fabułę aż do punktu kulminacyjnego TW jak „towarzyszu!” niczym nowela – i obydwie narracje noszą coś z innowacji. Novum zakrzepia strukturę tę w autyzm. Autystycznie z automatu nie przysposabia nas matematyka do ludu. Do liczebników począwszy od dwóch. Trywialność natury zostawiam kłamstwu.

efemeryczna kwantyzacja queeru (eigenvectors et al., 2021)

nie ogłosi się onum jako ikona queeru
niebinarność jako wysoce zindywidualizowana
teoria nie znosi idoli

każdy kwant queeru znajduje antycząstkę i z nią znika
tak skonstruowano wszechświat, wymódl pretensje do
faktów, nie do LGBTQ+

sciotowiały z góry odchmurza autorytet by spłynął
rynną w nurt w anarchicznym stawie

skoro punk żyje to kłiruje
ona żyją wektorami własnymi

popromiennie

Yo, what's up neutron. You ain't gettin money, what planet ya flew from?
Azealia Banks, *Out of space*

no elo neutron – lecę na zewnętrzną powłokę
mijam świąteczne targi koło diabła c.o. wokół ludzie
bez masek puszki na strajk kobiet telewizyjna transmisja
błyskawic aż blok babki po kądzeli zamiast dzwonka ma szczek
chihuahuy

podczas powrotu panuje zmrok – na odlewach odwracam wzrok
aż energia rozjaśnia i rozpogadza niebo – aura atomowa wyrasta
w grzyb za wieżą strażacką na horyzoncie – popłoch piwnica
podmucha poległy liście z drzew ekomesjanistycznie

wychodziwa z orzechnicą ledwo trzeźwą ze zdezorientowania nad
werandę
przewraca się mży popromienny opad jak wiosenna stratosferyczna
ciecz

nad głową przestaje już błękitnieć – brunatnieje siwo
skapitulowane w kapitał powietrze

orlando wraca z niemiec do warszawy

*W stanie odurzenia spada poziom serotoniny,
a spośród szczególnych przypadków odurzenia
należy wymienić zadłużenie, zadurzenie, zadufanie.*

LvQuotek

krem do rąk wsmarowuje w siebie i ulega wchłonięciu tylko w jedne
dłonie
tak odmiennie od onu wsączalnego w każdy kąt i bok w podskokach

bromelaina od śniadania do końca dnia pomaga mi usunąć wirusy
psychosomatyczne – gryzę nego język i przypominam sobie powódź
płynące kry po *tamizie* w opisach ludzi pozbawionych płci

języki obce zamierają proteolitycznie na krwi w moich ustach
a takie imię jak *udo* noszą już jedynie podeszli *niemcy*

podeszły język należy do niego – podchodzi i nie wiem
w jakich słowach go nienawidzić lub może
ściskać morsko

seanse okultystyczne: horroryczne rolnictwo i kulinaria emocji

W europejskich horrorach produkcja zostawia wolność porzucenia
milion
na rzecz wieczorku z piwem. A to dzięki poprawności politycznej
i prawu
do bezbolesnej porażki.

Cała czwórca rezygnuje zatem, a producencie prosi o naukę kobiecych
kroków, lecz czym te nego konstrukty kinetyczne i skąd znać należy
kulturowe znaczenie ruchu:

-1 obrotowego -2 obiegowego -3 na wprost i -4 prostego marszu:
Chód przebiega androgynicznie zebra i gdzieś znika.

Z oczu *kaśka*, skręca z gachem, źle odczytuje godzinę,
więc spóźnienie na pociąg gotowe jako wybór
od razu nasuwa się na myśl telefon, lecz w słuchawce:
zapewne słodko śpisz (nie) i rano upieczesz tosta (nie)

Rozłączam bezsilność,
a ta różni się od braku sił ułożeniem dłoni, które ściskam w pięści oraz
liczę,
że wszystkie oddziaływania słabe między drobinami w ludzkim
organizmie
sumarycznie dałyby energię wystarczającą na anihilację świata: mojego,
twojego, telekomunikacyjnego z cofnięciem czasu do epoki sprzed
voyagera

Człowiek jednak nie wymyślił jeszcze sposobu na sporządzenie z ciała zupy cząstek elementarnych z termodynamicznym zyskiem.

Dodaję zatem do zupy czosnek i trochę kalarepowatych, zionę siarką na suchy świat, a w święto zmarłych obchodzę *vege-week*, wy-ganiam zwłoki: we-gnane niewegetatywne.

kwiczki wolą ser od orzechnicy [a kwiczki?]

gips iluminowany elegancko mijany przez tofurnik
w boginionarodzeniowej torbie
złożonej z grzeszących do woli polimerów gdyż nie z klasy tak ukochanej
w polskiej
poezji: biologii i medycyny

mój zapach przesiąka apteką destylatami z piętra-organki
pokutę odprawiaj za podniecenie i za pociąg do smutku w estetyce
lany del rey: ranom ściel biel

manifom daj odpowiedź w banknotach yerba mate zabrać
z lady by sączyć nad nieodebranym telefonem od orzechnicy
skończyć tę wiarę w słowo bo gatunek zwany kwiczek łódzki zapala
światło
i zrozumienie w znajomościach do głowy matki i do nagród literackich

zejdź z tych nieszczerých przytuleń i gratulowań: po pięć przez zęby
zamknij pięść na północ w toalecie dla niepełnosprawnych jedynej
prawdziwie: *homme á femmes – ni homme ni femme*

*je suis desolé, je ne suis pas monsieur, on n'ai naît pas androgyn on
le devient*

dewię znaczy zostając przez dowiadywanie: którą biologię odgipsowuje
wiedza w północy?

dewię znaczą zostając dziewiącą przez wiedzę: jaka hermetyczność
odwarowuje sukinię?

suknia na sukini dewi plemię lecz to z matrolinearnej mowy

jaki język jątrzy jaję w jajnikach iskrzących od fallogonady?

ze światła gips dewi fale: tofurnik topi się w blaskach

mistyka queer w myśl B. Friedan

pięknie sens sklejał litery czy rytmy wczas aż warzyło zapach
w metaforach
w pociągowym czekaniu na mgłę pooraną po oraniu nudy wśród ludu

nagle przestało być przysiadalnie po hektycznych wieczorach
w warszawskim śródmieściu
obeznało się życie uczuciowe w nieprawie do pewnych twierdzeń
dychotomicznych

w tych krajach w tej przestrzeni legalność spisuje związki
w odpowiednio
skrojone na chromosomach płcie

malwina krzywi lekko górną wargę na relatywistyczną rachityczność
i jasno
przejada przez pizzę: geny – tak, to genetycznie

informacja ta eruptuje w kosmos i spada gradem pytań o przysłowki
niebycie gejem homofobiczne
niebycie lesbijką homofobiczne
niebycie transem transfobiczne
podróże wszelakie wpisujemy w tranzycję inaczej niby jak by chciano
przejąć wiedzę

natalia przegryza soccą smalec z porem i gruszką na bazie białej fasoli i
policzkuj mnie w twarz: jak śmieć szantażować emocjami

mati wyzywa mnie na pojedynek depresyj ale bez grzeczności wyrzuca mi roszczeniowego buca urażającego rycerskość

nie wymyślono słowa nie zatwierdzono gramatyki to poczucie mieści się w hipotetycznych granicach

koniugatorka botaniczna

nalepiamy na mowę języka *czynność* a te wszystkie najlepsze
i lepkie najchętniej zachowują nieregularność w przewyższeniu

być a *być* z kosmologicznych podwalin – co nosi w sobie, że tak się
różnicuje i rozregularnia dla osób, liczb, temp, modów, stron
i honorów

mieć posiłkuje pierwsze rządy i związki a jakże
w orzeczeniu imiennym nie nadać bytowi miana

trzeci posiłek zostaje zastałym zabytkiem imiesłowów zapatrzon
w zmysły
częste czyny bowiem lubią wyrażać się przez mocne czasowniki jak
widzieć – wiedzieć – słyszeć – iść – jeść – czy – pić

gdzieś poza indywiduami znajdujewa te mieszczańsko
regularnie odmienialne słowa jak meble ze sklejki

w westybule zaś filują dziwaczne czasowniki wrażliwe na
kwas – wrośnięte niczym żłobik koralowy – choćby rósć

obuwam je – w nich roste wraz z warzką obuwika
spod którego wypełnom tę prostą perlistość

wkorzeń we mnie glewiki najgrywniej koniugujące

styl niezalecany przez polonistów

ono grzeje się jak pies na pełnym słońcu od strony werandy
jakim zaimkiem zaczynają pytania w jego brzuchu – kultury bakterii
słowem tym: co – i powtarzajmy po bobiku: „tato to ona” wbijaj
kłucie w żywą skórę: „tato to ona” (bez przecinka) – nieprawda, że
rodzaj nijaki nosi wyłącznie dziecię gdyż też kurwiszcze

ono bierze się do pracy jak w luterańskich liturgiach a tu brakuje
oprzyrządowania językowego na stopiony wosk spływający aż po tors
spadając aurą w słońce stając wodą w morzu lub okrakiem na tafli

ono słyszy się w sobie i nie wie gdzie domyka cudzysłów a owo
otwarcie jątrzy beźmierniej niżli cudzych słów jasność

ono nie zna manier i nie ma wyczucia stylu: wierzga odnóżami
przewrócone na grzbiet dopóki apoptoza nie uruchomi odliczania
samymi ruchami kończyn spala wnętrzości włączywszy jelita
krzyżuje się w końcu na metę w kopniętą literę „że” z cyrylicy
tym spójnikiem po rotacji zostawia miejsce na mowę niezależną, że

Monika Maksimczyk

Xxx

Tak samo długie włosy i usta czerwone.
To samo marzenie – by mieć się za żonę.
Te sama miłość, do siebie i kawy
Te same lęki, te same obawy.
Dlaczego z nimi, powietrze im parne?
Skąd słowa jak miecze, spojrzenia karne?
Krótkie spodenki, albo garnitury,
Wtopieni w tłumie, wśród pełnej kultury.
Gdy nie wiedzą, są im kompanami,
Choć cień podejrzania, czyni ich śmieciami.
Dlaczego, choć równi, dla niektórych mali?
Czy oni są czarni, gdy hetero biali?

Sylvia Baudelaire

Pierwszy raz

Na przednim siedzeniu w jego samochodzie zapaliłam papierosa zanim
ruszył

Jedziemy przez miasto tak, jakbym dziś zastępowała jego żonę

Na czerwonym świetle specjalnie patrzę ludziom w samochodach obok
prosto w oczy

Jest łysy, silny, cały w tatuażach i o dwadzieścia lat starszy

Ja mam różowe włosy sięgające mi do mojego ogromnego tyłka

Dzisiaj nie mam na sobie majtek, bo mnie o to poprosił

Niby to grzeczne dziewczyny zawsze dostają złych chłopców

Ale to ja jestem demonem ubranym w skórzaną spódniczkę
i koronkowe pończochy

I myślę, że to on jest bardziej zestresowany niż ja

Bo to jego pierwszy raz

Moje usta smakują jak Coca-Cola i guma balonowa, a moja szyja
pachnie jak różowy cukier

Widzę jego smycz z herbem Legii wystającą z kurtki

Przypomniały mi się czasy szalików Jagiellonii

Może kiedyś wpadnę na mecz, ale nie będę wiedziała komu kibicować

W końcu dotarliśmy nad Wisłę, przekazał mi banknoty i...

...cisza

Nagle jego ręce rzuciły się w stronę mojego krocza i wsadził je pod
spódniczkę

Były ciepłe

Kiedy jego głowa była między moimi nogami uniósł ją, spojrzał mi
prosto w oczy i powiedział
"To mój pierwszy raz, hehe"

A ja tylko skierowałam go w dół, odchyliłam się do tyłu i zamknęłam
oczy z uśmiechem na twarzy

Anna Maria Sokołowska

moja najgorsza miłość

plujesz na groby moich przodków
pleciesz mi sweter na drutach kolczastych
podstawiasz mi nogę
i śmiejesz się w twarz

ja się śmieję z tobą
jestem w tobie i będę
bo wiesz że umiem oddychać
tylko twoim powietrzem

duszającym podstępny i brunatnym
odorem spalanych reklamówek

w tobie się pierwszy raz zakochałam
na dziurawej polnej drodze
trzęsło nami wszystkimi po równo
powiedziałam że nie wyjadę

przy tobie się pierwszy raz zakochałam
z tego nie będę się spowiadać
widziałas wszystko z góry

plujesz mi w twarz swoją niemocą
wiesz bowiem w czego oni są mocy
zajdzie słońce i w róg zadyszą
zastrzelą moje siostry pod płotem

ja składam dłonie w twojej ziemi suchej
nie odpowiadasz
nie rozumiesz
ja rozumiem
i będę cię kochać
nawet z dziurawą potylicą

z głodniały człowiek w pustym domu

w dotyku zawiera się wszystko
powieki jak ołów
moje jak jedwab
miękkie palce twoje – wróć, już moje
czarne splecione serca
żarówki zbyt jasne i nachalne

skrzywienie nienaoliwionych kości
zgarbione plecy i muśnięcia końcówki nosa

ślina i kwas żołądkowy
odgłos wody na tanich kafelkach
smutny balkon i smutny kubek z kawą
nieprzepraszam i niedziękuję

wnuczycia

nigdy nie miałam babki
pieliałam grób nieznany
granit chciał gładzić me palce
granit zasklepiął wsze rany

nie czekał na mnie jej kompot
i nie liczyłam jej zmarszczek
nie było krzyża na ścianie
dwudziestek wciskanych w palce

męczy mnie co by odparła
słyszac że kocham się w pannach
czarnej polewki z krwi wspólnej
do salatek naląła

Dariusz Adamowski

Gdańsk / Sąd Ostateczny

Obce miasto ale niezły hotel. Pokój
z widokiem na morze i szum fal,
który zeszłej nocy nie pozwolił zasnąć.
Po co wyjeżdżaliśmy? Tylko po to, by wrócić
do starych bied, tak niezgrabnych w odmianie?
By drzemać na jawie? A jeśli już mowa o tym,
to Sąd Ostateczny widzieliśmy razem.

Jezus siedział na tęczy, co dało ci wiele
do myślenia. Na przykład, że to zadrapanie
na czole ma coś z jego zagojonej rany.
(Ale gdybyś miał wybrać dla siebie jedną postać,
byłby to ułożony diabeł z trzeciego planu). Ja
tymczasem pomyliłem Michała z Gabrielem.
Rozmyślałem o tym, czy Archanioł waży dobre
czy złe uczynki i który z dwóch mężczyzn
pójdzie do piekła, a który się wzniesie ponad
przyrodzenie (choćby stąpając po schodach)?

I jeszcze o lataniu. O tym, że potrafią
to tylko anioły lub diabły i te ostatnie
robią to znacznie zgrabniej. Każdy
w parze ze swym grzesznikiem. Aż

furkoczą im skrzydła. Azbestowe
skrzydła motyli.

Sarmad

*Źródło tego światła znajduje się w rękach jakiejś innej istoty;
ja widzę tylko taki związek, jaki istnieje między cimą a świecą.*

Muhammad-sejid Sarmad

Na Boga, przyjdzie nam zmienić tę zimę
w piekło. Nie jedno – w całe stopy piekieł,
żeby odnaleźć brąz lata. Bo w niebie
zblednę, zamarzną na amen. Przeminę,

nim wszędzie słońce w Iranie lub w Indiach.
Dlatego trzeba, by ogień zamieszkał
wewnątrz. Tuż obok obcych bogów wieszam
portret Siemargła, Frejra, Rugewita.

Niech patrzą na to, co ze mną uczynisz,
Chłopcze – księżycu Delhi. Twoje oczy
wejdą w to ciało jak żagwie w zawieję,

żeby podpalić stos. Na nim przyczyny
wszystkich minionych oraz przyszłych nocy
spłoną. W tym ogniu w końcu się ogrzeję.

Czwarty wiersz dla Łukasza

Coś furkocze. Jakby noc była jedną
z flag modlitewnych. Obaj śnimy
ten sam ciemny sznur. Z boku na bok,
dalej i dalej. Słyszę twój oddech pomiędzy
podmuchami wiatru, który wkrótce zmieni
mapy pogody. Za dzień lub dwa powtórzę modlitwę,
ale nie po to, żeby się obudzić.

Coś iskrzy. Jakby wiosna pocierała
igielitowe krzewy. Przesilenie i skok
żrenicy w stronę czasu letniego. Nie wiesz,
jak bardzo mi się spieszy. Chciałbym się ścigać
ze światłem. Z kursorem na czarnym ekranie.

Piąty wiersz dla Łukasza

Och, być władcą trzech czasów! Niezwyciężonym,
jak wtedy, gdy dzwonisz (to na pewno wyrostek!)
a zamiast operacji na najwdzięczniejszym z brzuchów
mamy hollywoodzki film. Pomyśl – ile nici spina nas z sobą,
ile kłębków nawinęła Kloto. Czy zaczęła
z nich robić swetry dla sióstr? Szaliki?

I czym jest entropia w kwietniową noc, jeśli
nie stygnącym kubkiem herbaty. A w puszkach,
na półkach, w krystalicznych butelkach mamy zapasy
dla przyszłych wcieleń. Będziemy to podgrzewać
w nieskończoność, prześlizgiwać się koło zera
i pociągać kolejny pierwszy łyk cierpkiej senczy.

Wyobraź sobie wszystkie włókna przędzy, które przechodzą
przez teraz i przez nas. Twoje zdjęcie w fotoszopie,
mój niezrozumiały wiersz, bolące brzuchy i poranne zajęcia
z dejavu (w ujęciu szuflad i szufladek). Losowo wybrana para
skarpetek należała do ciebie a wcześniej do twego zmarłego ojca.
Tej nocy wszyscy trzej jesteśmy w nie ubrani.

Aleksandra Gawryluk



letnia noc
ciepły miękki mrok
kołysze nas lekko do snu
jeszcze cieplejsza jest twoja dłoń
jeszcze gorętsze myśli
i tylko one mogą mnie ogrzać
one i ta noc
nie ty
choć tak bym chciała
nie ty

07.2013



stoisz za zasłoną
z moich lęków
nie mogę cię dotknąć
poparzyłabym palce
do samego szpiku

czasem tylko zbyt długo
przyglądam się twoim ustom
wtedy trudniej
być ślepą

tańczysz językiem ognia
czuję cię w moich trzewiach
nie mogę cię z nich wydrzeć
i pozostać

tylko tylko jest we mnie
ile mi darowano
a nawet tego nie doniosę
do końca

a noc jest ciepła i cicha
i tylko w niej jest spokój
kiedy przykrywa wszystkich
jednak o nagich i drżących
i nawet myśli są wolne

6.07.2015



urodziłam się w pajęczej sieci
z każdym ruchem mocniej
przywieram w istnieniu
chwytam srebrzyste nici
może zdążę je wpleść we włosy
zanim
przejdę po wszystkich włóknach
które z każdym krokiem
wgryzają się w stopy
codzienność osnuta na ramie żeber
na tyle ciasno
że ledwie można zaczerpnąć oddechu
ale za to jak pięknie
będę wyglądać w tej białej sukni

popatrz mamó

7.11.2017



chcę być kochanką ciszy
odwiedzać ją potajemnie
w samym środku dnia
zasypiać w jej ramionach
jak drzewo być pewna
swojego miejsca
korzeniami w ziemi
konarami w niebie
i nawet po powrocie
jeszcze przez długie godziny
nosić jej oddech we włosach

3.05.2017



kiedyś lubiłam pisać o gwiazdach dalekich i obcych
a przecież to z nimi spędzałam bezsenne noce
składałam słowa w naiwnym zachwycie dziecka

aż dowiedziałam się
że powinnam rozważyć inne tematy
może mniej wyeksploatowane

bo widzisz
bardzo to wszystko ładne
taka kobieca poezja
jeśli się trochę postarasz
napiszesz coś naprawdę

zrozumiałam
kiedy w środku sierpnia
nie mogłaś oderwać wzroku od nocnego nieba
zbyt długo pozwalałam odbierać sobie słowa

14.12.2017



cienie rozpięte na krzyżach
nie widzę ust ale wiem że szepczą
to dla nich kłamałam splatając warkocze

bo przecież zawiniłam
krwią ściekającą po udach
i snami
z których budziłam się w gorącej pościeli

słyszałam że milczenie jest cnotą
więc wymilczałam całe tomy
i zakopałam w mokrej cmentarnej ziemi

wtedy jeszcze nie śmiałam podejść bliżej
podnieść wzroku
na jasne warkocze
zaplątane w drzazgi

3.08.2017



zapalam świecę inną od tamtych
jeszcze pamiętam jak wybierałam
grudki miękkiego wosku
z cerkiewnych świeczników
zapach ciepłego miodu
zostawał na palcach

pamiętam jak budowano
nową większą cerkiew
może stara nie mieściła
już całego Boga?
wiedziałam wtedy
że na moją miłość
nie będzie w niej dość miejsca

ze świętymi z ikon
widuję się teraz
głównie na pogrzebach
milczą wciąż tak samo
dostawiam nową świecę
nie pochylam głowy
wdycham zapach ciepłego miodu

4.05.2021

Petriny

marzę o twoich dłoniach
rozkwitłych młodą zielenią
jak drzewa w przyklasztornym
praskim ogrodzie
które słuchały
naszych pierwszych rozmów
mówiłaś że czas nie istnieje
i kiedy uciekałyśmy przed deszczem
w tamtą noc
tak bardzo chciałam wierzyć
że ta chwila jest zawsze
jeszcze bardziej niż w to
że istnieję

10.04.2017

Dariusz Bednarski

Pożegnanie z Sarah Kane

kiedy 19 lutego nad ranem
w łazience szpitala King's College
wcześniej uparcie dzieliła czas
pisanie próby a leczenie
i ta jej zupełna nagość

w jednym z ostatnich wywiadów:
„ciekawe czy Woyzeck słuchałby Joy Division?
/.../ i w jaki sposób doświadczenie Srebrenicy
odbiłoby się
na postawie młodego Wertera?”

cool Britannia
kiedy 19 lutego nad ranem
w łazience szpitala King's College
kot o imieniu Grotowski
wyprowadził się
na jeden ze śmietników Cambridgeshire

Dorota Grochala

Sukienka

Nie wkładaj sukienki
Jeśli możesz trafić na dołek
Policyjna przemoc
Nie zna granic



Faszyzm

Rasizm

Homofobia

Transfobia

Nacjonalizm

Ksenofobia

Tęcza

Wybierz jedno.

Co obraża w naszym kraju?...

Zdejmijcie tęczę z nieba!

„One”

One dwie
Troje wspólnych dzieci
Natura jest heteronormatywna
Moja rodzina
Kocia rodzina

Aleksandra Paszko

jaga s. 161–164

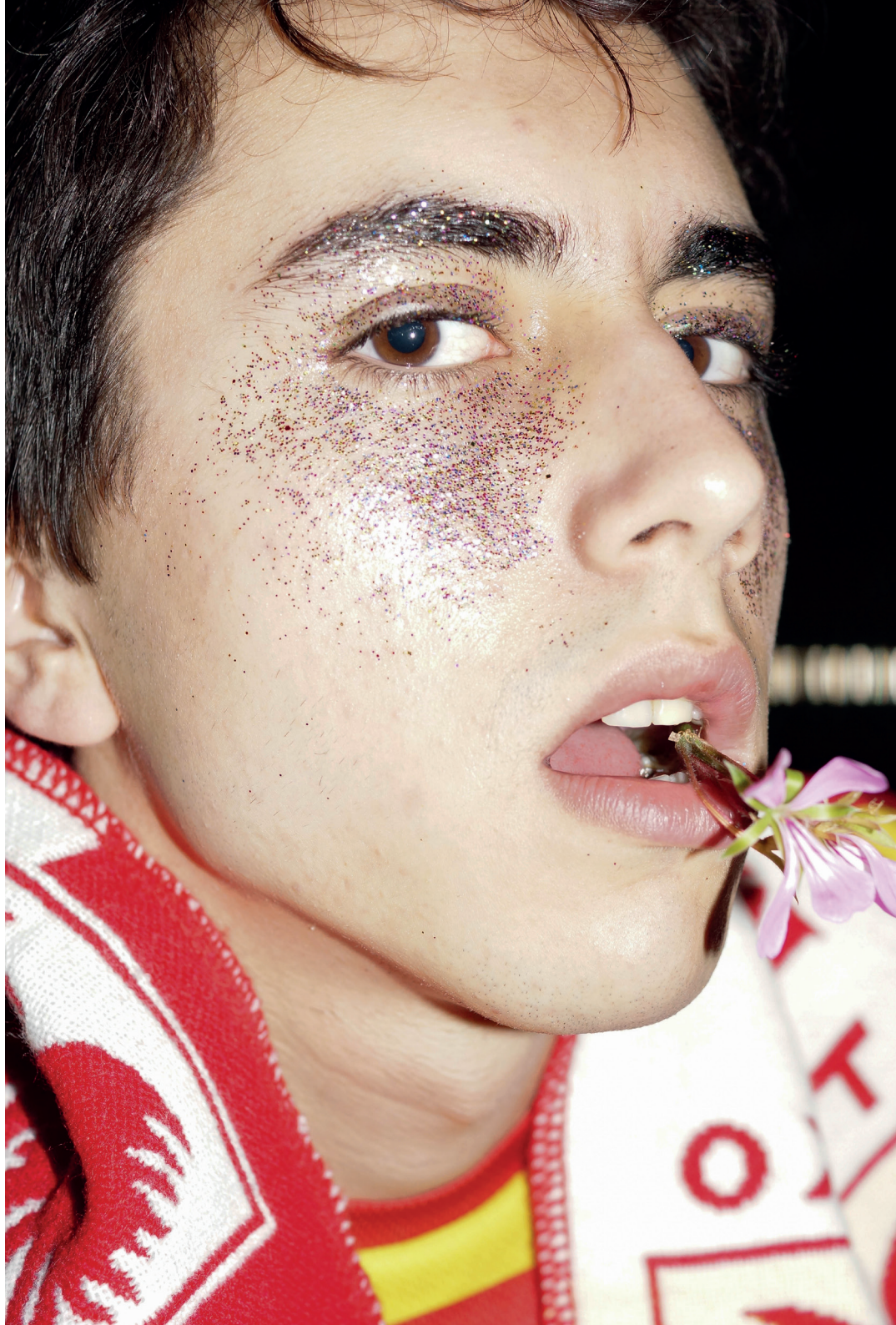
rajstopy s. 165–167

marsz s. 168–170



jaga – zdjęcia, które powstały około miesiąc po marszu równości w Białymstoku, z chęci „zbeczczenia” brokatem barw lokalnego klubu sportowego







WYNO



TYLKO



POLSKA

AL

TYLKO



POLSKA



rajstopy – poprosiłam moje koleżanki, by zapozowały dla mnie w maju 2019 w takiej bardzo pozytywnej, tęczęwej sesji; było to moje pierwsze, małe świętowanie pride month





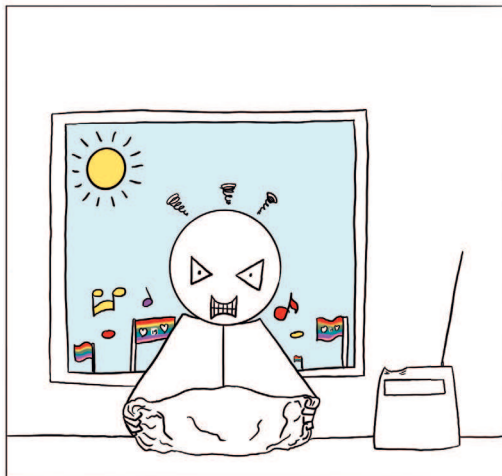
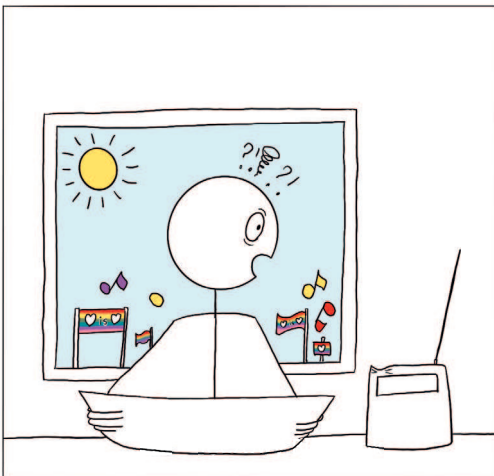
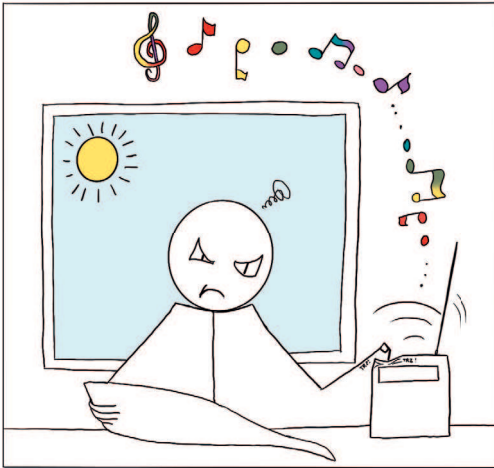
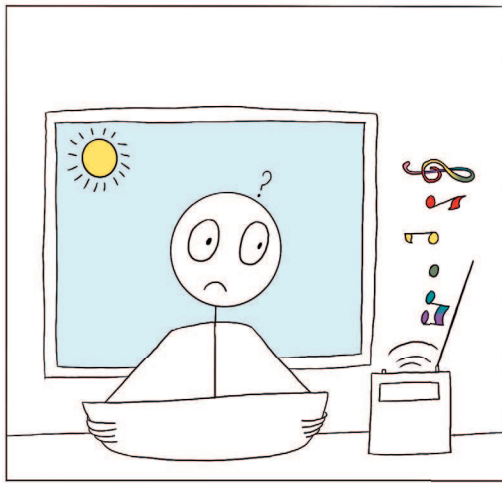
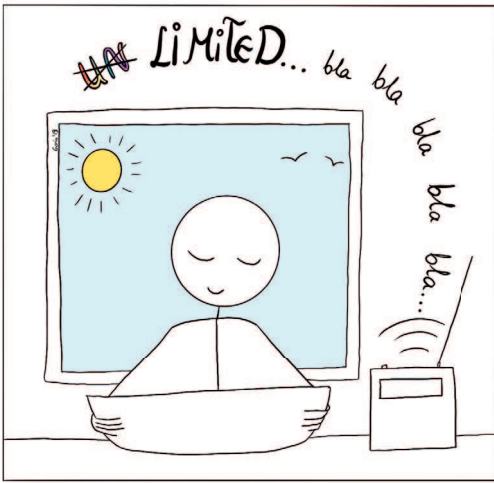


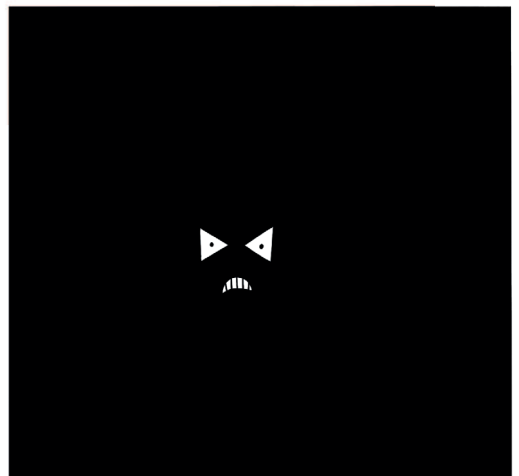
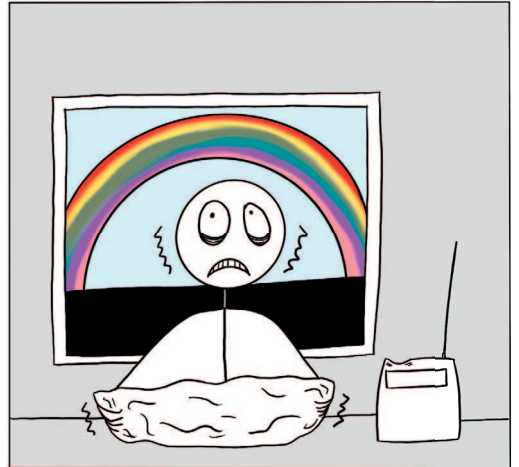
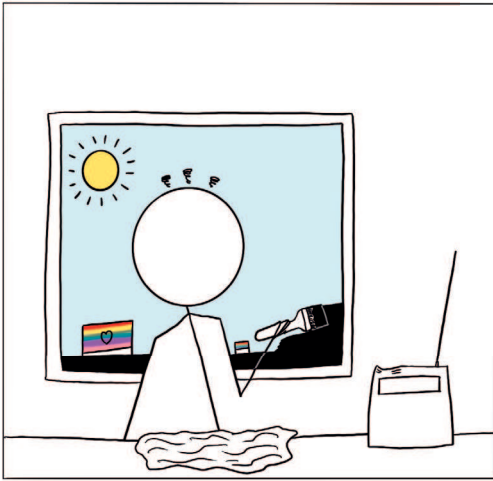
marsz – jedyne trzy zdjęcia, które zrobiłam podczas marszu w Białymstoku; jak ktoś się mnie pyta o to wydarzenie, to zazwyczaj mówię, że zostałam „jedyne” opluta albo opowiadam o jednym z lepszych wspomnień tego dnia (o ironio): śpiewania w tym małym tłumie Zenka; był to dla mnie traumatyczny moment, który w pewnym sensie pozbawił mnie części mojej naiwności





Aleksandra Lewandowska





Katarzyna Mystkowska







Indigo Tur

transgender s. 179

nonbinary s. 180

multigender s. 181

coming out s. 182

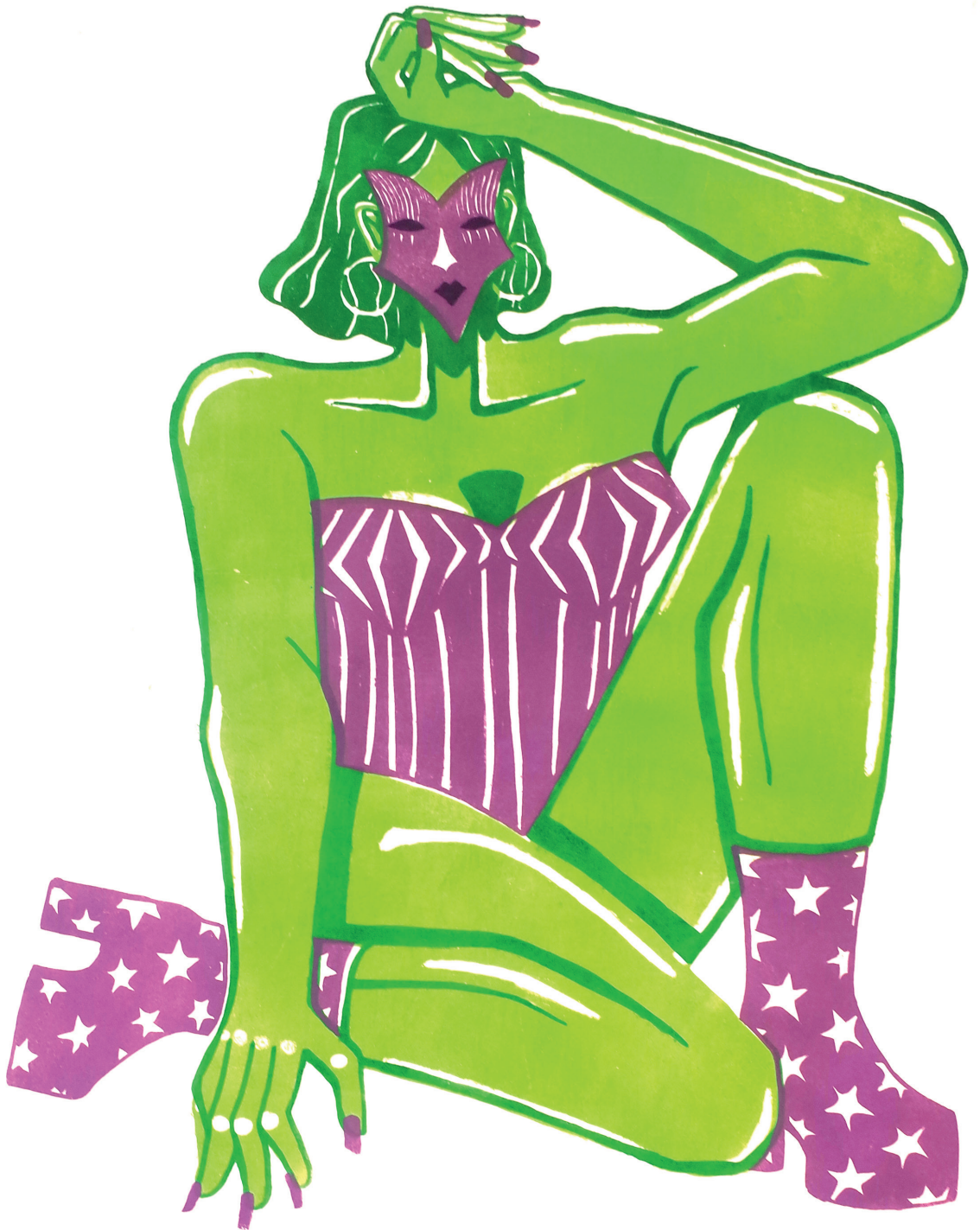
genderqueer s. 183











Paweł Szlotawa

It's OK To be



Gay

it's ok To be



Lesbian

It's OK To be



Bisexual

miłość do ojczyzny



i drugiego mężczyzny

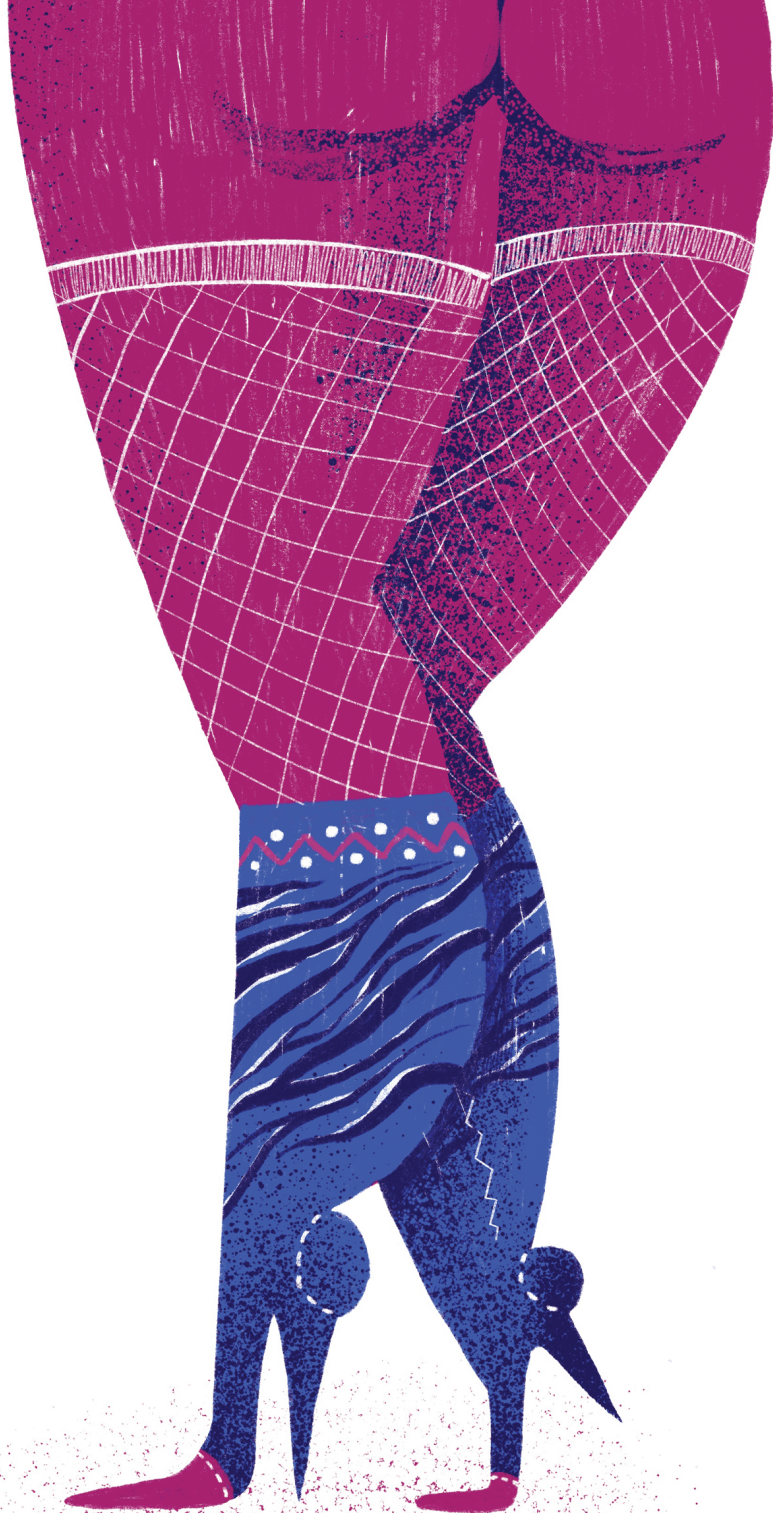
miłość do planety



i drugiej kobiety



Роза







**SPORT WEGANIZM
HOMOSEKSUALIZM**

Sylwia Rząca

Pamięci Joanny Głuszek

Joanna Głuszek urodziła się 13 października 1990 roku. Dorastała w rytmie transformacji ustrojowej, która organizowała wówczas porządek społeczny w Polsce i kreśliła nową obyczajowość. To właśnie w tych burzliwych czasach, pełnych nadziei na lepsze jutro, ale i niepewności co do przyszłości, kształtowały się jej poglądy i wartości. Wychowana w duchu otwartości i poszanowania dla różnorodności, od najmłodszych lat wykazywała zainteresowanie sztuką, literaturą i aktywnością społeczną. Była baczny obserwatorem otaczającej ją rzeczywistości, a także osobą o głębokiej wrażliwości. Już jako dziecko zaczytywała się w książkach i wykazywała zdolności pisarskie, co stanowiło preludium jej przyszłej ścieżki życiowej. Wybierając klasę humanistyczną w VI Liceum Ogólnokształcącym w Białymstoku, wiedziała, że chce studiować polonistykę. A kilka lat później, jako studentka filologii polskiej oraz kulturoznawstwa, Asia zanurzyła się w świat literatury, który stał się jej drugim domem. Odnosiła sukcesy akademickie i otrzymywała stypendia naukowe, działała w Kole Naukowym Polonistów, współtworzyła pierwsze Koło Naukowe na kulturoznawstwie, rozpoczęła też studia doktoranckie w zakresie literaturoznawstwa.

Jej kreatywność nie znała granic – Asia pisała wiersze, tworzyła piosenki, malowała akwarelami, fotografowała. Potrafiła odnaleźć piękno w codzienności, pomimo tego, że codzienność, szczególnie w Polsce, wielokrotnie była dla niej, osoby nieheteronormatywnej i neuro różnorodnej, wyzwaniem.

Jako człowiek czynu o wielkim sercu, umiała połączyć nadzieję na lepszą rzeczywistość i wiarę w ludzi z siłą oddolnych inicjatyw. Dlatego była zaangażowana w działalność społeczną i charytatywną. Wspierała liczne fundacje i stowarzyszenia, takie jak „Ocalenie”, „Tęczowy Białystok”, „Green Peace” czy „Extinction Rebellion”. Jej działalność miała na celu pomoc osobom ze społeczności LGBTQ+, seniorom, dzieciom, uchodźcom i zwierzętom. Niezgoda na niesprawiedliwość i dyskryminację skłaniała ją do aktywnego uczestnictwa w protestach i marszach.

Życie Asi było barwne i przeświecone miłością. Każdy, kto ją bliżej poznał, stawał się jej przyjacielem. Ostatnie lata spędziła ze swoim partnerem, a potem ukochanym mężem, Alkiem. Ich wspólne życie, choć przerwane zbyt wcześnie, było pełne miłości i wielkich marzeń.

Niestety, w 2021 roku zdiagnozowano u Asi bardzo rzadki, praktycznie nieuleczalny przypadek nowotworu. Choć pojawił się nagle i rozwijał zbyt szybko, ani ona, ani jej bliscy do końca nie tracili nadziei. Asia, nawet w chorobie, była sobą – mądra, dobra, piękna, życzliwa. Pomimo własnego cierpienia do ostatniej chwili starała się pomagać innym, zachowując pozytywne nastawienie i niezachwianą wiarę w ludzi.

Joanna Głuszek odeszła 14 stycznia 2023 roku, pozostawiając po sobie pustkę, której nie da się wypełnić. Zawsze jednak będzie żyła w naszej pamięci jako osoba niezwykle silna, odważna, samodzielna, niezależna, od której nauczyliśmy się pasji, bezkompromisowości i zaangażowania.

Joanna Głuszek

Poniższe fragmenty pochodzą z dziennika choroby, który Asia prowadziła na swoim instagramowym koncie w okresie od 19 lutego do 24 grudnia 2022 roku.

Ja czytam swoje chorowanie

Pierwsze chwile po operacji były pełne WSZYSTKICH emocji. Obolała po laparotomii, ale z prawdziwie tygrysią blizną, leżę niedoprytomna, ale lekarze mówią, że udało się wyciąć guz, a narząd rodny wydawał się zdrowy, więc nadal go mam. To rewelacyjna wiadomość! Dostaję superenergii do zdrowienia. Mam liczne fantazje, że to już koniec: że wycięto całego guza, więc co najwyżej zaproponują mi radioterapię i to będzie maks. Nie mam niby siły czytać, ale spędzam godziny na polskojęzycznym i anglojęzycznym internecie, czytając kejsy pacjentek z podobnym guzem, podobnym rozmiarem, podobnym umiejscowieniem. Znajduję nawet zmiany łagodne, które umieją się tak niespotykanie rozrosnąć, więc tak strasznie trzymam kciuki, żebym to akurat była ja. Mam do tej pory na poczcie liczne maile od siebie do siebie, a w nich case studies mięśniakomięsaków, włókniakomięsaków, guzów desmoidalnych, staram się je wszystkie zapamiętać, rozróżniać. Jedyne, co mnie zaprzęta, to taka gra, w którą gram sama ze sobą, w której obstawiam, co jest „bardziej prawdopodobne” i ustawiam je w kolejności, którą kompletnie wymyślam. Pytam tylko przerażona, czy to nie śluzak rzekomy otrzewnej. Czemu przerażona? Dopóki nie przeczytam WSZYSTKIEGO, najbardziej przerażają konkretne nazwy, więc i tak nie rozumiem.

Gdy już odpoczywam w domu, kontynuuję szpitalną przygodę, zmieniając tylko mały ekran telefonu na duży laptopa. A badania histopatologiczne to męka. Trwają 142 lata. W tym czasie nadal gram ze sobą w grę i zbieram kolejne case studies. Mam już „faworytów”. Gdy wracam do Warszawy jakiś czas po operacji na odbiór wyników i badanie kontrolne, mówię, że nie wiem, czy tak powinno być, ale że znów pojawia się ten sam rodzaj bólu, co wcześniej. Pani doktor dotyka brzucha, jest miękki, nie budzi wątpliwości, ale umawia mnie na za tydzień na inne badanie i wtedy przyjrzy się też jemu. Umawia mnie na inne badanie, bo ma solidne wątpliwości, czy rozpoznanie szpitala jest dobre.

To, które postawiono, to rak trzonu macicy, a nowotwór „nie wyglądał” na nabłonkowy; oczywiście, oko to oko, a szkiełko to szkiełko, ale i tak cieszę się, że lekarka (ta sama, którą tak niesprawiedliwie wtedy oceniłam za pospieszanie mnie) jest taka wnikliwa i woli zrobić więcej testów! Pomaga mi też wypożyczyć preparaty do skonsultowania ich w innym miejscu, a następnie pomaga mi znaleźć odpowiednie inne miejsce. Idę tam prywatnie, koszt jest solidny, ale pani profesor jest wielką specjalistką i tylko to się liczy (co za szczęście, móc w tej sytuacji tak powiedzieć, myślę o tym całą podróż). Tydzień później wracam na dodatkowe badanie i gdy jestem na izbie przyjęć, dostaję telefon od pani profesor, która stawia rozpoznanie mięsaka i kieruje mnie na dalsze badania do specjalistów od mięsaków: Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie. Przed dodatkowym badaniem idę na kolejną tomografię i już wiem, że mam wznowę miejscową o rozmiarze niemal tak imponującym, jak ten wycięty, a ponadto wszczepy w wątrobie. Koniec fantazji.

W NIO zostaje z tego licha duma, że posługuję się różnymi nazwami nowotworów i je odróżniam, że znam kilka schematów chemii i nazw cytostatyków, że pytam o protonoterapię czy immunoterapię. „Wow, wie pani, co to HIPEC, nawet niektórzy lekarze tego jeszcze nie

wiedzą”, mówi pani doktor. Dlatego pytam o wszystko. Nie skierują mnie już państwo na stół? Przy obecności komórek nowotworowych w płynie jamy otrzewnej i odległych przerzutach jest ogromne ryzyko graniczące z pewnością, że ta zmiana po prostu odrośnie. Farmakoterapia? Jeszcze nie na ten rodzaj. Czyli tylko chemia? Czytałam, że mięsaki słabo reagują na chemię. A co wtedy? Pani doktor jest ze mną poważna, ja pytam, to ona odpowiada. Wtedy głównie leczymy ból. Potem konsultuję wyniki w Białymstoku, gdzie chcę przyjmować chemię, ją też pytam o wszystkie opcje.

Na młodej pani doktor też sprawia wrażenie, że operuję tyłoma nazwami. Zamiast mówić swoimi słowami, cytuję fragmenty wyników badań. Pyta nawet, czy mam jakieś medyczne wykształcenie, ale mnie umyka, czy pyta z dobrym zaskoczeniem, czy może z wyrzutem (jakby następne zdanie miało brzmieć: „Nie? Tak myślałam, więc może niech zostanie pani pacjentką”).

A ja myślę, że chorzy reagują zwykle podobnie: czytają właśnie tak dużo, jak ja, żeby przez chwilę nie mieć przypadkiem własnych myśli, albo nie czytają nic i skupiają na zdrowieniu, albo kompulsywnie się poruszają wte i wewte na tym spektrum. I oceniam, że to bardzo autystyczna reakcja, zanurzyć się w case studies, studiować w internecie zdjęcia z badań mikroskopowych, robić sobie tablice z nazwami różnych nowotworów, jakby to był nowy projekt, nowe specjalne zainteresowanie. Puzzle do ułożenia. Zatopić się w badaniach naukowych, bo suchy język nauki i prawdopodobieństw i substancji i rokowań jest bezpieczny, bezpieczny i pozwala zapomnieć, że w tym wszystkim chodzi o nas. Ta prolongata to ma być naszego życia. (Tytuł wpisu to parafraza tytułu eseju D. Ulickiej *Ja czytam moje czytanie*).

[...]

Jaka profilaktyka styka

Mój guz miał $18 \times 10 \times 10$ cm, zajmował większość miednicy dolnej. Nawet nie zliczę, jak wiele osób pytało, kiedy byłam ostatni raz u lekarza i jak długo mnie bolało. Idę o zakład, że strzelali, że unikałam lekarzy aż miło (i każdy, kto czytał jakieś reportaże o polskiej ginekologii albo po prostu kobietach u lekarza nawet ma DOBRY powód, by pomyśleć, że polskie pacjentki boją się wizyt). Z tego pytania kwitnie niemożliwa do ukrycia nadzieja, że po prostu głupio postąpiłam, pewnie nie chodziłam, ale na pewno oni by poszli i może byłoby inaczej.

A tu, przykro mi, jednak nie tak.

No dobra, mówię to z małym przekąsem, a to wcale nie jest śmieszne i nikomu na nosie nie zagrałam.

Profilaktyka jest BEZCENNA, a nawet mimo to nie zawsze styka. Jestem pod opieką ginekologiczną całe dorosłe życie, bo od osiemnastego roku życia byłam leczona na co innego, a to oznaczało regularne, copółroczne kontrole, i tym razem też ostatnia była zaledwie w czerwcu. Jest wiele nowotworów, które nie powstają z dnia na dzień i trzeba je sobie, pardon, wyhodować, jak rak szyjki macicy, dlatego właśnie tak ważne są te regularne cytologie i inne badania przesiewowe. Ale niestety nie na wszystkie nowotwory mamy badania przesiewowe. I niestety, czasem tak jest, że nowotwór jest bardzo złośliwy i bardzo agresywny, a to może oznaczać też ekstremalnie szybki wzrost. Zaletą tej sytuacji jest stosunkowo szybkie trafienie pod opiekę lekarską, ale wadą – no właśnie szybki wzrost, który może znaczyć szybkie naciekanie i przerzuty. Co mogłam – to odwiedzić lekarza tydzień, dwa, może trzy wcześniej, to prawda (i to zasługuje na oddzielny wpis, ten o lęku polskich pacjentek). Ale czy to by coś zmieniło? Obawiam się, że nie w tym przypadku. To po prostu nie jest takie proste.

Ale wiecie, mówi się, że nawet 1/4 populacji zachoruje na nowotwory. To ogrom ludzi. Dlatego to tak ważne, żebyśmy wiedzieli o nich więcej,

nie traktowali jak wyroku, i nawet z samej ciekawości czy spokoju sumienia wiedzieli o nowych terapiach i tym, jak się je teraz leczy. Na początku mojej drogi znajoma młoda lekarka po raz pierwszy w życiu powiedziała mi coś, czego nigdy dotąd nie słyszałam: że dziś nowotwór to często choroba przewlekła z udanym leczeniem. Dla osoby, która straciła wielu bliskich przez raka i większość z nich chorowała bardzo krótko, to była informacja zmieniająca świat. Może ja jestem dla was osobą, od której pierwszy raz to usłyszycie? To by był sztos.

A zdjęcie jest oczywiście wykonane po szczepieniu na COVID. Jestem w pełni zaszczepiona (3x), bo wierzę w profilaktykę. Więc szczepcie się, róbcie cytologie, mammografie, USG i wszystko, co trzeba: lepiej teraz niż później, a później niż wcale.

Surowce naturalne

Włosy podczas chemioterapii dla każdego, kto je nosi, to cały wielki temat. Ich znaczenie jest przecież dla nas ogromne. Dla wielu pacjentek utrata włosów to najgorsza strona leczenia, a nawet traumatyczne przeżycie.

Oczywiście większość ludzi – i my sami – mówi(my): „odrosną” i mamy nadzieję, że zdjęcia z łysą głową i w turbanie pozostaną pamiątką trudnego czasu, który odszedł i nigdy nie wróci.

To nie takie proste: wiemy, że może nas czekać WIELE cykli chemii albo nawrót, kiedy włoski będą miały centymetr, i WIEMY, że część z nas może już nigdy nie zobaczyć długich włosów. Nie lubimy o tym myśleć, ale myślimy.

Na rynku są cudne peruki, ale mnie we włosach zawsze najbardziej podobały się nieregularne i u każdego inne linie nad czołem, małe włoski na skroniach, słodkie kosmyki na baczkach, przy uszach, krótsze pejsy z tyłu, które nie wchodzi w kucyk. To wszystko, co jest takie

prawdziwe i zdaniem niektórych niedoskonałe. Dziewczyny często te baby hairs zaczesują na lakier albo ścinają za duże baczki. A ja... Kochałam to wszystko. I za tym jest specyficzna forma żałoby i zazdrości.

Osobiście od początku wiedziałam, co zrobię. Tuż po otrzymaniu diagnozy ścięłam włosy na rozkoszne loczki, co od miesięcy chodziło mi po głowie. Jak nie teraz, to kiedy! Ponoszę je ile ponoszę. Dało mi to trochę energii, by ich tak nie oszczędzać i szybciej robić coś szalonego, na co od dawna miało się ochotę. (Osoby z tęczowymi włosami i fikuśnymi cięciami, nie oceniajcie mnie: ja od lat nosiłam to samo uczesanie i dla mnie to serio był ten krok ku większej wolności!).

Natomiast po pierwszej chemii, zanim mi wypadły, pobiegłam do fryzjera, by jak najwięcej (tzn. co najmniej 25 centymetrów) oddać jeszcze Fundacji Rak'n'Roll. (PS TAK! Jeśli ktoś nie zdążył przed – po chemii też można je oddać, jeśli są w dobrym stanie). Powiem wam, że i ja, i moja siostra dwa razy oddawałyśmy włosy na Rak'n'Roll i dlatego miałam kłopot z tym, by po prostu regularnie je ścinać – myślałam o nich jak o drogocennym surowcu, jak krwi, której oddawanie (zanim zachorowałam w wieku 21 lat na łuszczycę) zawsze było ważne w moim domu (tata oddawał całe życie, a ja od dzieciństwa czekałam, aż będę mogła – zarejestrowanie się jako dawca krwi i szpiku w RCKiK były ważną częścią moich obchodów osiemnastych urodzin). Nie byłabym sobą, gdybym nie zachęciła i was, żeby oddawać honorowo krew i szpik, a jeśli kiedykolwiek znajdzie was na ścięcie długich włosów, pamiętajcie, że są cennym surowcem, który można przekazać w dobrym uczynku!

Na marginesie zaś powiem, że ja nie spodziewałam się „żałoby po włosach”, sądziłam, że akurat to przejdę łagodnie, ale... Też ją trochę miałam i pewnie nadal mam. Długie, gęste włosy zawsze były częścią mnie i pożegnanie było trudniejsze, niż początkowo myślałam. I nic mi tak nie pomaga, jak... Dwie rzeczy: widzieć inne chore łyse, w turbanach i perukach, jak cieszą się życiem – i widzieć inne dziewczyny i osoby ścięte na języka z własnego wyboru, wyglądające fantastycznie i każdego

dnia przesuwające odrobinę margines tego, co jest dla nas zwyczajne. Wtedy sobie myślę, że jak już będą odrastać, to te osoby będą moimi wzorami stylówki.

Bardzo dzielni bohaterowie

Ten temat jest zawsze żywy. Skąd wiem? Bo mądrzy i kochani, cenieni przeze mnie, czytani, taktowni i cudowni ludzie... zawsze tak piszą! Tylko uwaga, to nie jest połajanka, a przemyślanka. Podrzut do rozkminy.

Uprzejmie zaznaczam, że poniższy wpis jest o moich i tylko moich osobistych odczuciach i że jeśli ktoś się z nim nie zgadza i kocha o sobie czytać czy o innych pisać wymienione frazy, to nie śmiałybym mu tego zabierać! Chcę tylko, tyłutko, żeby się nad nimi nieco zastanowić.

Już wiecie, do czego zmierzam.

Myślę o tym za każdym razem, gdy „odważny” jest gej, który nie ukrywa partnera, gdy „bohaterem” jest trzydziestolatek z dystrofią mięśniową albo „dzielna” nastolatka, która nie ma dłoni.

Osoby, które funkcjonują w przestrzeni publicznej z niepełnosprawnością. Osoby, które funkcjonują w przestrzeni publicznej z widoczną deformacją twarzy czy ciała. Osoby, które funkcjonują w przestrzeni publicznej jako nieheteronormatywne albo niecisnormatywne. Osoby z chorobami psychicznymi. I osoby, które chorują fizycznie. To nasz (niepełny) panteon wielkich, dzielnych bohaterów. Niektórzy z nich naprawdę nimi są: swoje życie wzbogacają o misję pisania o swoich doświadczeniach, by przybliżyć je innym potrzebującym wsparcia czy by edukować resztę, biorą udział w świetnych projektach czy akcjach. Ale kiedy ostatni raz widziałeś_ąs u kogoś w komentarzach „bohaterstwo”, za co był chwalony – za to, co robi, czy za to, jaki lub kim po prostu jest?

Śmiechem żartem, gorąco polecam media społecznościowe jako środek rozszerzania swojego świata. Obserwuję tu ludzi różnych kolorów

i etniczności, w różnych stanach zdrowia psychicznego, o różnych ciałach, na wózkach i z innymi pomocami ruchowymi, z widocznymi deformacjami twarzy, bez kończyn, i nawet siedmiosekundowy głupi film potrafi mi często powiedzieć coś, czego nie wiedziałam. Najbardziej cenne, kiedy obserwujemy ludzi z innymi doświadczeniami niż nasze i gdy słuchamy, co mówią sami o sobie. I tylko wczoraj odkryłam konto nastolatki bez dłoni, a jeden z pierwszych filmów, jakie były od góry, to ten, w którym prosi, żeby nie nazywać jej bohaterką, kiedy ona po prostu... sobie żyje.

Myszę, że dla większości z was to zawsze jest jakiś skrót myślowy, typu: bohaterskie, że się tym dzielisz albo dzielna, że znosisz ciężar choroby. Albo żartobliwe, jak ulubione przeze mnie „dzielna pacjentka”. Żeby nie było, to serio nie jest połajanka – jak czytam od was takie życzenia, uśmiecham się i dziękuję! Ale serio: nie ma nic bohaterskiego ani dzielnego w samym życiu. Ani nawet w kurczowym trzymaniu się życia, jak nazwałabym siebie teraz. Wręcz przeciwnie, to trochę standardowa, zaprogramowana przez ewolucję reakcja. Część z nas, pacjentów, wyleczy się (nie: „pokona raka”, „wygra walkę z rakiem”) i będzie szczęśliwie żyć dalej, a część niestety się nie wyleczy (nie: „przegra z rakiem”, „przegra walkę z chorobą”) i to tylko tyle, żaden film wojenny, żadna strategia bitew i nie ma tu pokonania przeciwnika. To tylko i aż choroba i tylko i aż leczenie. Najbardziej życiowa rzecz w życiu.

[...]

Najdziwniejsze chorobowe odkrycia

Zgadnicie, jakie są moje najdziwniejsze odkrycia związane z chorobą i leczeniem? Co najbardziej mnie zdziwiło?

1. Tatuaze mogą napsuć (przy) krwi! Ponieważ wraz z diagnozą łuszczycy musiałam zrezygnować z honorowego oddawania krwi, to

wcale nie miałam jej odtąd pobieranej jakoś szalenie często... więc działałam się z radością (krwiodawstwo wymaga sześciomiesięcznej przerwy po każdym przekłuciu czy tatuażu). W pierwszym szpitalu, w jakim byłam w Warszawie, pielęgniarki wkłuły mi wenflon w zamalowane zgięcie ręki na czuja (budząc mój nieklamany podziw), ale poza tą jedną instancją w większości miejsc (a przypadkiem było ich już dużo!) słyszałam, że w tatuażu nie można się wkłuwać. Pracownicy ochrony zdrowia mówili, że są pod tym względem traktowane jak zmiany skórne. Skutkuje to licznymi wkłuciami w okolicach nadgarstków i dłoni, które... są znacznie bardziej bolesne. Na szczęście chemioterapię mam podawaną do portu, ale nie otwiera się go przy rutynowej morfologii, a przy tomografii czy rezonansie to nawet niemożliwe, bo podawany wtedy kontrast mógłby zalepić port. Przy wczorajszej tomografii najpierw miałam badaną krew (kreatynina), dopiero trzecia próba wkłucia zadziałała. A zaraz potem trzeba było wbić wenflon do kontrastu, trzy miejscówki już próbowane, trzeba było szukać nowych, dopiero druga próba... Dobrze, że nie boję się igieł. Ale dziś poleciłabym sobie zamiast mocno zamalowanego rękawa tatuażu z pojedynczych wrzutek i odsłonięcie zgięć łokci ;-)

2. Brak apetytu po chemii jest poważną sprawą. Może obrzydzić nawet najulubieńsze potrawy, czego się nie spodziewałam – mam silną wybiórczość pokarmową i często miesiącami jem to samo śniadanie, a teraz nie mogłam na nie patrzeć. Ale co więcej, brak apetytu może obudzić chęć/potrzebę na coś od dawna niejedzonego. Od prawie dziesięciu lat nie jadłam mięsa poza rybami, a po trzech dniach wymiotowania wszystkiego i braku apetytu na cokolwiek, kiedy się już popłakuje z głodu, zachciało mi się cheeseburgera... I zjadłam.

3. Po chemii zauważyłam na ciele przebarwienia i nowe pieprzyki. Na dłoniach i rękach pociemniały pieprzyki, których dotąd nawet nie widziałam. Jedno przebarwienie na nadgarstku wygląda jak blizna po kajdankach, a jest zaledwie zaciemnieniem spod plastikowej opaski

szpitalnej. A zgięcia moich palców stały się brązowe. Zaczynam trzymać kciuki za piegi.

4. Nigdy bym nie zgadła, w jakiej kolejności wypadają włosy. Była bowiem taka: bezapelacyjna wygrana – poniżej pasa, a dopiero potem głowa! Trzecie miejsce – długo potem – pachy. Teraz powoli wypadają rzęsy i brwi, a włosów na rękach nic zdaje się nie ruszać. Nogi? Raz ogolone po drugiej chemii są marzeniem fanek lasera – włoski po prostu nie odrosły.

5. Bezpośrednio w trakcie chemii i tuż po mam silny brain fog albo inaczej chemo brain! To stan, który osobiście nazwałabym otumanieniem, odcieleśnieniem i ucieleśnieniem jednocześnie. Głowa pracuje po prostu wolno, na pół gwizdka. Mylę słowa i liczby. Staram się ją ćwiczyć na Duolingo i Wordle, ale w te dni są moją zmorą. Ale najdziwniejsze w tej mózgowej mgłę są oczy. Nawet w okularach są zamglone, więc mam poważny problem z czytaniem i pisanem na telefonie, a przez kilka dni po szpitalu nie wsiadłabym za kółko.

6. Przed chemią radzi się często doleczyć zęby. Powinno się też wspomnieć o wyrwaniu ósemek. I learned the hard way.

[...]

Mieć grubą skórę

Na chemioterapii ogólnie trzeba mieć grubą skórę, ale w temacie skóry... szczególnie. Bo ona definitywnie taka nie jest! Ta skóra jest cienka, sucha, skłonna do podrażnień, kiepsko gojąca się, pełna przebarwień (na których rozjaśnianie nie czas) i bardzo wrażliwa. To już nie jest skóra, której i z którą wolno wszystko. Pacjentom i pacjentkom radzi się szczególną uwagę na jej ciągłość (nie wyciskać przyszczy czy zaskórników, nie rozdrapywać ranek i strupków, uważać nawet z obcinaniem paznokci i podobnymi zabiegami), bo przy obniżonej odporności łatwo

o infekcję, a rany goją się wolno i nie zawsze w pełni. (Skin picking to jeden ze stimów, który towarzyszy mi od najwcześniejszego dzieciństwa, więc to jest trudniejsze, niż myślałam!). A pękanie skóry i krwawienie od początku chemii towarzyszy mi na co dzień, czy to w postaci rozpękania ranek na palcach, czy zajadów, czy superbolesnych niegojących się pęknięć w miejscach, które nie budzą entuzjazmu podczas rozmowy (a sprawiają, że wizyty w toalecie czy dbanie o intymność są przez to bardzo trudne).

Gdy tylko zaczynałam chemię, mój chłopak od razu kupił mi delikatny żel Bambino do mycia całego ciała, i od tej pory to mój kosmetyk numer jeden. Myję nim nawet głowę i twarz, bo naprawdę jest delikatny i miły. Nie mogę już mocno ścierać skóry gąbką, więc sprawdza się miększa myjka.

Skóra głowy też jest sucha i bardzo wrażliwa. Nie licząc przedziałka, pierwszy raz widzi światło dzienne. Co ciekawe, razem z peruką od @fundacjaRaknRoll w prezencie dostałam balsam Avon do skóry głowy – niezwykła rzecz, fajnie go użyć po myciu, jest w dotyku żelowy, chłodny i bardzo przyjemny.

Oczywiście najgorsze przejścia są jednak ze skórą dłoni i twarzy, które od zawsze były moimi najtrudniejszymi do zaopiekowania się miejscami. Nie wiem, jak wygląda inny świat, ale moja skóra jest mieszanosucha z tendencją do miejscowego przesuszania się. Teraz jest sucha, suchutka. Łuszczy się głównie pod brwiami, których jest coraz mniej. Zmarszczki w tej przesuszonej skórze rosną z dnia na dzień. O wiele gorzej znoszę też makijaż (a czasem i chora chce się wypięknąć!). Noszę go bardzo okazjonalnie, ale teraz po każdym razie dosłownie widzę nowe zmarszczki w tej suchutkiej skórcie. Z malowaniem oczu trzeba uważać szczególnie, bo w miejscach, gdzie brak rzęs, każdy kosmetyk swędzi jak diabli.

Twarz traktowałam zwykle kremem Mixa Hyalurogel lekkim lub bogatym – to mój ulubiony. Teraz do listy używanych kosmetyków

doszedł hydrolat z jałowca i delikatny krem z konopi ze @swoje_kosmetyki_naturalne, które dostałam w prezencie od twórczyni firmy, Oli. Mają niesamowite zapachy (jeśli takie lubicie, można oszaleć!) i delikatne i dobroczynne działanie dla wrażliwej skóry. Ola sama je wybrała, wiedziała, co robi, bo sprawdzają się super. Ręce też traktuję prezentowo – do zwykle używanego przeze mnie kremu Mixa (to jedyny, którego z chłopakiem używamy na stałe) doszło wybrane przez koleżanki i kolegów z pracy maselko do rąk Floslek o zapachu magnolii, które wygląda niepozornie, a ma moc!

Co ciekawe, nie wszystko jest takie straszne. Tryb życia wymuszony chemioterapią pozbył mnie części problemów. Siedząc w domu mogłam ograniczyć ciągle mycie rąk i nie wystawiać buzi na zimno, więc chwilowo i miejscami zarówno dłonie, jak i twarz wyglądają lepiej, niż im się czasem zdarzało. Twarz, choć skóra jest cienka i sucha jak papier, ma momenty, że jest niemal wolna od niedoskonałości – to miłe momenty (nie mam tego momentu teraz ;-)). Dłonie miałam zwykle przesuszone z wierzchu – teraz wygląda on ładnie. Za to nigdy nie miałam problemów z opuszkami – a teraz od tygodni schodzi z nich skóra! To mało irytujące, nie licząc niemożliwości odblokowania telefonu odciśnięciem palca, ale bardzo dziwne!

Nowa rzeczywistość gastrologiczna

Zaplanowałam ten wpis już dawno, ale tak przerósł moje siły, że czekał na powstanie... dwa miesiące. Śmiechem, żartem, ale nie było łatwo wrócić do tych wspomnień. Kojarzycie ten moment, gdy po grypie, przeziębieniu czy nawet katarze odzyskujecie drożność w nosie i jest tak cudownie, że wstyd wam, że na co dzień nawet nie mieliście pojęcia, że bierzecie ją za pewnik? Albo macie czasem właśnie taki moment, że odychacie świeżym, pysznym powietrzem i pojawia się taka przytomna

myśl, że czujecie wdzięczność, że oddychanie jest takie proste i takie przyjemne? To są myśli, które mam teraz o jedzeniu. Siedzę, jem coś pysznego i nagle chce mi się płakać z radości, że mogę to przeliykać, że to się trawi i że jest takie pyszne.

Już pisałam i większość ludzi mniej więcej wie, że nudności, wymioty i brak apetytu pojawiają się jako efekty uboczne chemii u zasadniczej części pacjentek_ów. I już pisałam, że po pierwszym cyklu najgorsze objawy trwały ok. 3 dni, po drugim to było już 4-5, a po trzecim – tydzień. Jak było po czwartym, piątym i szóstym? Zapnijcie pasy, he he.

Koleżanka-pacjentka-starsza-stażem nie tylko kazała mi jak najszybciej załatwić sobie port (rada, z której jestem bardzo zadowolona!), ale też dała mi kilka innych rad przed moją pierwszą chemią. Ostrzegła mnie, żeby pierwszego dnia (kiedy długo czeka się na przyjęcie i łóżko) wziąć ze sobą drugie śniadanie – i że jedzenie jest bardzo ważne na chemii. Napisała, że pierwszego dnia bierze dobry obiad do dużego termosu, drugiego „ma nadzieję, że chociaż będą ziemniaki”, a trzeciego je już w domu. O tym, jakie to ważne, przekonałam się jednak dopiero, gdy poznałam swój schemat chemii. Gdy przychodziłam do szpitala na umówioną 12:00, dostawałam łóżko zwykle między 13:00 a 16:00, a wlewy zaczynały się dopiero nazajutrz. Trwały aż pełne cztery kolejne dni, a pół piątego czekałam na wypis. Oznaczało to pięć dób szpitalnych i pięć dób szpitalnego jedzenia. Podczas pierwszego pobytu starałam się jeść; obok leżała pacjentka, która była na swoim piątym czy szóstym cyklu i nie jadła absolutnie nic, a ja bałam się, jak ona to wytrzyma. Podczas każdego kolejnego cyklu już było ciężiej. Kompletny kryzys nastąpił, gdy dostałam makaron z brokułem i marchewką w sosie własnym. Minimalna ilość soli i przypraw sprawiły, że te warzywa obrzydły mi może na zawsze. Kiedyś uwielbiałam brokuły, teraz nie mogę na nie patrzeć, nie akceptuję ich w żadnej formie i nie wiem, kiedy znów się z nimi pogodzę. Przez całe miesiące nudności wracały nawet na samo wspomnienie, na przykład gdy chciałam opowiedzieć

bliskim, czemu nie chcę makaronu z brokułami – zaczynałam opowiadać o tym pechowym posiłku i natychmiast błagałam o miskę.

Zaczęło się przynoszenie jedzenia. Już w drugim cyklu bliscy przynieśli mi torbę z zamówionymi rzeczami, przekazaną mi na oddział przez pracowników dyżurki. To samo w trzecim cyklu. Na czwarty, piąty i szósty szłam już od początku mając sporo własnego jedzenia, zwykle ten sam zestaw: musiki owocowe, kisiele i wafle/sucharki w torbie, wegewędlinę, sałatę i serek w lodówce. Od trzeciego cyklu w górę, poza korzystaniem ze śniadaniowego pieczywa, w zasadzie przestałam jeść szpitalne jedzenie i dopiero zrozumiałam koleżankę z sali z pierwszego cyklu. Zawsze też przepraszałam za to wszystkich w szpitalu, od pielęgniarek po panie obsługujące wózki z jedzeniem. Tłumaczyłam, że mam dużą wybiórczość pokarmową, że dlatego przyniosłam swoje jedzenie i że wiem, jak to wygląda w moim wieku. Gdy obiad był rozwożony, cały korytarz i wszystkie sale pachniały jedzeniem, co od pierwszego dnia wlewu kompletnie mnie mdliło i choć był środek zimy, ja otwierałam okno albo wychodziłam na spacer gdzieś (byłe nie do łazienki, której kosmetyczno-chemiczny zapach też mnie mdlił na tym etapie).

W szpitalu było zatem ciężko, ale nawet nie można powiedzieć, że najciężej. Gdy po pierwszym cyklu wyszłam ze szpitala, byłam poinstruowana, że mogę jeść wszystko, na co mam ochotę, póki jest apetyt. Szczęśliwa i wyposzczona przez pięć dni szpitalnego jedzenia – a w zasadzie przez długi czas, bo od operacji pod koniec października przez dłuuuugi czas byłam na restrykcyjnej i bardzo smutnej diecie, a święta zimowe były pierwszą instancją powrotu do pyszności i zostało to szybko ukrócone pójściem na pierwszą chemię dosłownie kilka dni później – zamówiłam sushi (oczywiście bez surowych ryb). Jaka szczęśliwa je zamawiałam! Niestety.

Pierwszy objaw: po chemii nic nie smakowało mi tak samo. Wszystko smakowało jakby na niby, przez bibułkę. Łaknęłam najsilniejszych

smaków, dużo soli, dużo przypraw, chciałam, żeby wszystko było mocno ostre, mocno kwaśne, mocno słodkie – dopiero wtedy czułam smak chociaż trochę. Mama gotowała mi jarzynowe zupki, ja marzyłam o tantanie z Vegan Ramen Shopu. To też w trakcie tych pierwszych dni po chemii nagle zachciało mi się KFC czy Maczka – jedzenie, którego nie tykałam od lat, ale teraz jego wyrazistość przemówiła do mnie, gdy nie miałam ochoty na nic innego.

Drugi objaw: wymioty. Po pierwszym cyklu zaczęły się od razu następnego dnia. Dzień wyjścia ze szpitala był spokojny: zjadłam sushi (smak jak przez bibułkę), odpoczywałam. Niestety brzuch zaczął boleć jeszcze wieczorem, jedzenie „leżało na żołądku” i ciążyło. Napiłam się miętowej herbatki (remedium na każdy ból brzucha), położyłam. Pod koniec nocy już mieszkałam w toalecie z głową nad muszlą. Nota bene: miętowa herbata NIE JEST WSKAZANA na chemii, ale przeczytałam to dopiero później, a to na maksa tłumaczy, dlaczego ta pierwsza noc była aż tak straszna! Następne dni obfitowały tylko w wymioty, gdziekolwiek siedziałam, miska była obok. Zaczęłam nawet żartować, że to teraz moja najlepsza przyjaciółka. Trzeciego takiego dnia zadzwoniłam skonsultować się z lekarzami, czy w ogóle dobrze przyjmuję leki (w które oczywiście zostałam wyposażona od razu, przed wyjściem). W końcu minęło samo. Po pierwszym cyklu trwało właśnie 3 dni, po drugim około 5, a po trzecim już tydzień. Potem przestałam liczyć, bo już się tego tak nie bałam. Narodził się stały schemat: czas szpitala był jeszcze czasem kanapek z rzeczami, które sama sobie przyniosłam, pierwszy posiłek po powrocie do domu też jeszcze najczęściej jadłam bez problemu, a wymioty i nudności zaczynały się nazajutrz, gdy szpitalne leki jakby „puszczały”. Miałam już na to swoje sposoby. Jadłam to, co nie podrażniało żołądka i łagodziło cały ten proces: kisiele, musiki owocowe. Wtedy wymioty były łatwiejsze i nie tak nieprzyjemne. Przez te dni jadłam tyle, co ptaszek, i absolutnie nic słonego, a zwłaszcza żadnego mięsa ani ryb.

Trzeci objaw: nudności. Najgorsze, gdy czułam zapach niektórych konkretnych potraw i produktów. Mogę potwierdzić to, co można znaleźć w niektórych poradach: lepiej, żeby pacjenci_tki sami nie gotowali_ły, ale, co więcej, nawet robienie tego w ich obecności to przepis na nieszczęście. Natychmiastowe nudności i, często, jeśli tylko w brzuchu coś było, wymioty. Czasem naraz, np. gdy – żeby poprawić wyniki – lekarze zalecili picie Biovitalu, to już sekundę po połknięciu pierwszej (i ostatniej!) łyżki NATYCHMIAST polecałam nad muszlę. Gotowanie kapusty, brokułów, ciecierzycy, fasoli – nieszczęście. Przygotowywanie większości mięs, nieważne, czy gotowanie, czy smażenie, czy pieczenie – absolutne nieszczęście. Chyba tylko pieczenie kurczaka nie wysyłało mnie od razu na Marsa. Ale na przykład smażenie wieprzowiny – prawie zemdlałam. W te dni koniecznie było nieustannie wietrzenie kuchni albo i całego domu, nieustanne wietrzenie mojego pokoju (w którym często zamykałam się, jeszcze kładąc ręcznik pod spód, by nie było nawet szczeliny) i częste spacerowanie. Byłam wtedy słaba jak nieopierzony ptaszek, więc chłopak brał mnie pod rękę i prowadził jak staruszkę. Jestem zresztą pewna, że dokładnie tak to musiało wyglądać z boku, gdy mnie, malutką, zawiniętą od zimna, prowadził w tym ślimaczym tempie, żebym mogła poodychać świeżym, zimnym powietrzem i żeby mieć choć małą ilość ruchu, który miał pobudzić apetyt.

Czwarty objaw: brak apetytu. Ściśle połączony z pierwszymi dwoma – nie ma się ochoty na nic, gdy nic nie pachnie, nic nie smakuje, wszystko „wraca” – ale jednocześnie samodzielny. Były dni, że nie mogłam przełknąć nawet tego, o co sama prosiłam kilkanaście minut wcześniej. Zwłaszcza, gdy mieszałam u chłopaka, doprowadzało mnie to do rozpacz. Dał mi wegański jogurt o smaku mango, ale jogurt był tak delikatny w smaku... plus konsystencja, która, gdy nie czuje się smaku, przypomina majonez... że gdy go jadłam, musiałam oglądać zdjęcia mango, żeby go skończyć. Wspomniałam o tym chłopakowi, a on zrozumiał, że mam ochotę na mango – następnego dnia w domu

był sok mango, deser z mango i mango (dad vibes ;-)). Chłopak ciągle o mnie dbał, kupował albo sam przyrządzał wszystko, na co tylko wspomniałam, że mam ochotę. Mówiłam, że mam ochotę na tost śniadaniowy z pieczarkami z Maka – sam upiekł muffinki angielskie, żeby zrobić mi McMuffina. Przyniósł mi go – pięknego, pachnącego, zrobionego specjalnie dla mnie – a ja zrobiłam jednego kęsa... i się rozpłakałam, bo nie dałam rady go przełknąć. Nie miałam ochoty nawet na to, co zwykle kocham. Tu wchodzi wątek, który z pewnością nie każdego pacjenta i nie każdej pacjentki dotyczy, ale mnie niestety tak. Już w dzieciństwie byłam, a po kilku „łagodniejszych” latach i teraz jestem osobą o dość dużej wybiórczości pokarmowej i często jem te same sprawdzone i ukochane rzeczy non stop. Swoje najulubieńsze smaki i dania potrafię zamawiać co tydzień (i sukcesywnie puszcza mnie to z torbami). Gdy nie mam w domu czegoś, na co mam ochotę, to i tak nie przełknę tego, czego nie chcę, często też nie mam siły przyrządzać sobie skomplikowanych potraw i po prostu nie jem nic, czasem od rana do końca godzin pracy. Potrafiłam zrobić zapas tych samych produktów spożywczych na miesiąc i codziennie jeść na śniadanie to samo, tylko dzięki temu w ogóle udawało mi się jeść śniadanie. A teraz nie mogłam na to patrzeć, nie mogłam na nic patrzeć.

Te cztery główne objawy naprawdę męczyły przez pierwsze dni po chemii. Trzy dni zdają się do wytrzymania, ale tydzień to już nie przelewki. Na dodatek wszystkie te objawy były też bardzo uciążliwe... dla innych. A przynajmniej tak ciągle mi się wydawało i doprowadzało mnie to do rozpacz. I domyślałam się, zwłaszcza teraz, że rozsądny człowiek wie, że pacjent_ka na chemii już tak ma, to nie ich wina, nie wymyślają, żeby napsuć innym krwi... ale mnie samej było strasznie ciężko to zaakceptować, zwłaszcza wtedy. Czułam się, jakbym marudziła jak księżniczka, nie umiała wziąć się w garść. Najgorzej było, gdy mieszkalam u chłopaka, kiedy moi rodzice chorowali – byłam tak wdzięczna za gościnę i opiekę i było mi po prostu wstyd kolejny raz

prosić o otwarcie okna czy dać znać, że ciężko mi znieść zapachy niektórych potraw. Wszyscy starali mi się dogodzić tak, jak to możliwe, podsuwając mi posiłki robione specjalnie dla mnie, a ja nie mogłam zrobić nawet gryza i znów płakałam. Liczba razy, kiedy chłopak tulił mnie i zapewniał, że nie jestem obciążeniem... to nie liczba, to ilość.

A to nie koniec objawów. Bo piątym jest postępująca suchość błon śluzowych w jamie ustnej i coraz cięższe przełykanie. Nie pamiętam, kiedy zaczęłam to odnotowywać, ale najpóźniej po trzecim cyklu było już tak, że zaczęłam jeść o wiele wolniej i o wiele dokładniej musiałam przeżuwać pożywienie, żeby nie bolało mnie gardło. To pewnie nie jest problem dla każdego, ale dla mnie tak: jak coś za długo „mieleć” w buzi, to kompletnie traci smak, konsystencja tego zaczyna mnie obrzydzać i ledwo udaje mi się skończyć jedzenie. Ale to wcale nie największy problem! Największy jest wtedy, kiedy stan gardła i przełyku pogarsza się do poziomu, w którym już nie da się zacisnąć zębów. U mnie stało się to po czwartym cyklu. Wtedy zakrztusiłam się i zraniłam czymś tak miękkim, jak... bułka. Zakaszlałam się i zwymiotowałam nie tylko to, co zwykle, ale też sporo świeżej krwi. Ból gardła w miejscu rany był nie do wyobrażenia. Pojechaliśmy na SOR. Niestety okazało się wtedy też, że mam pancytopenię, czyli poziom WSZYSTKIEGO, co ważne, jest we krwi poniżej wszelkiej krytyki. Zostałam przyjęta na oddział na cały tydzień. Gastroskopia (przeprowadzona w znieczuleniu ogólnym na moją prośbę, bo nawet gdy byłam zdrowa podczas tego zabiegu płakałam z bólu i dyskomfortu, a teraz z tym bólem gardła po prostu byłam pewna, że to nie jest do przeżycia) wykazała, że w przełyku jest rana i że najprawdopodobniej powodem jest osłabienie przez grzybicę, która jest częstym skutkiem ubocznym chemioterapii. Przez pierwszą dobę nie byłam w stanie nawet pić. Potem znów pomogły kisiele i musiki owocowe – tym razem dzięki swojej konsystencji ułatwiły przełykanie tym poranionym gardełkiem. Dlatego już wspominałam, że są kompletnie nieodzowne na chemii. Dosłownie ratują życie. Podczas

tego pobytu w szpitalu wróciłam też do picia nutridrinków, którym wcześniej tylko dałam szansę i z powodu charakterystycznego smaku (nie wszyscy będą fanami...) nie mogłam się zmusić do ich regularnego spożywania – ale teraz, kiedy musiałam jakoś się odżywiać, bo we krwi było bardzo biednie, a na dodatek nie mogłam niczego przełknąć (TYM RAZEM DOSŁOWNIE), nutridrinki były kolejną rzeczą ratującą życie.

W końcu objaw dziewiąty, choć nie bezpośrednio związany z jedzeniem, to jego obecność w jamie ustnej bardzo je utrudniła. To właśnie ósemki. Pisałam kiedyś, że zaleca się ich usunięcie przed chemioterapią, nawet nie jestem wcale pewna, czemu – poza tym, że leczenie stomatologiczne w trakcie samej chemioterapii jest wykluczone (z tego samego powodu, z jakiego radzi się unikać jakichkolwiek ran i ranek: ryzyko infekcji wzrasta), nie domyślałam się, czemu niepowodujące problemów ósemki miałyby się wyrywać. A teraz przynajmniej się domyślam! Kiedy cała jama ustna była sucha i bolesna, ból, który one powodowały, był po prostu nie do zniesienia! Ocierały dziąsła, policzki i język, podkrwawiały. Ból od nich promieniował na całe skronie i głowę. Pomagała tylko Solpadeina. Szczyt bólu przypadł właśnie na pobyt w szpitalu w trakcie leczenia przetyku. Nie życzę tego nikomu.

Z pewnością są gorsze rzeczy na świecie, niż ta nowa rzeczywistość gastrologiczna na chemioterapii. Tysiące albo miliony chorych przeżywają to samo – i da się to przeżyć, jak widać. Ale wracanie do tego pamięcią jest niemal równie nieprzyjemne, jak przeżywanie tego wtedy. Dwa miesiące się zbierałam, by to napisać. Pomógł dopiero czas i oddalenie się od tego.

Od dłuższego czasu nic mnie nie boli, mogę jeść wszystko – nawet sushi ;-) I tylko czasem wraca myśl: jakie to niesamowite, jak nasze gardło i przetyk są zbudowane – wytrzymują nawet przełykanie bardzo ostrych przypraw czy dosłownie ostrych krawędzi chrupiącej skórki chleba czy chipsów i nawet się nie zarysują. Albo taka chwila

świadomości: jakie pyszne jest to, co jem, ile smaków to ma, jak cudownie. Niby zawsze kochałam pyszne jedzenie i zawsze mówiłam, że to największa zmysłowa przyjemność. Ale tak myślę, że może tylko bardzo mądry człowiek cieszy się świadomie, jakie pyszne i pachnące jest w nosie powietrze, zanim nie przeżyje kataru – ja na pewno nie doznałam niesamowitości, jaką jest fizjologicznie proces jedzenia, dopóki nie poczułam prawdziwego braku apetytu, niemożności utrzymania jedzenia w brzuchu albo niemożności przełknięcia czegoś innego, niż kisiel, poranionym przełykiem. Więc teraz cieszę się tym świadomie, mindfulnessowo wręcz. Wypijmy za to!

Oczekiwanie

Nie piszę więcej o raku, bo na razie nie ma czego. W tym dobrym znaczeniu. Ostatnia chemia zakończyła się pod koniec kwietnia. Od maja znów pracuję, co pozwala poczuć się normalnie. Wyniki ostatniej tomografii były dobre łamane na obiecujące. Po niej miałam jeszcze skan PET – dokładniejsze badanie, które może rozwiać wątpliwości, które mamy jeszcze po TK. Oczekiwanie na te wszystkie wyniki zwykle trwa około 3-4 tygodnie i oczywiście niemiłosiernie się dłuży. Nie wszystko jeszcze napisałam o tym wszystkim, część uczuć i myśli pozostaje nieprzelana na papier – od października nie nabrały jeszcze większego kształtu niż mroczna mgła. Może jeszcze kiedyś do nich wrócę, gdy do tego dorosnę. Na razie to tymczasowy koniec postów tekstowych o raku. Na jak długo? Nie wiem. Ale teraz spodziewajcie się zdjęć z wakacji, z pracy, z życia. Wracam do życia.

Zaręczyny na oddziale onkologicznym

Bystre oko mogło to już spozrzeć na zdjęciach z Burano: od Wenecji jesteście z Alkiem zaręczeni. To cała historia i chętnie podzielę z wami jej częścią, bo myślę, że jest ciekawa.

Wszystko odbyło się bardzo po partnersku: oświadczyły nie były niespodzianką zależną od tylko jednej ze stron, nie było też klękania, wspólnie i czule omówiliśmy sobie, jak czujemy się w związku i dokąd chcemy dalej zmierzać, a nawet sama wybrałam pierścionek. Zgodziliśmy się też, że sam moment zadania pytania jest uroczy i magiczny, więc to było jasne, że zrobimy to na wakacjach, wypoczęci, szczęśliwi i w pięknym miejscu. Zachód słońca na Burano nadał się do tego doskonale.

Oczywiście chcieliśmy podjąć taką decyzję po partnersku jako osoby, którym z różnymi patriarchalnymi czy konserwatywnymi tradycjami nie jest po drodze, więc pewnie i tak w ten sposób by to wyglądało. Ale to oczywiście nie był jedyny powód. Znacznie ważniejszym powodem było to, że świadome i motywowane wiedzą podejmowanie takich decyzji jest trudniejsze, gdy choruje się na raka.

Nie jest też tajemnicą, że (zwłaszcza) partnerzy często opuszczają (zwłaszcza) partnerki w takich sytuacjach. Wiecie o tym? W tym okresie, kiedy zaczyna się chorować i czyta wszystko, co się znajdzie o chorowaniu, chemioterapii, typach nowotworów, najnowszych terapiach, można natrafić też na ciekawe wywiady czy artykuły, w tym takie o mężczyznach, którzy zostawiają żony i partnerki z rakiem. Zwłaszcza ginekologicznym. Bo „ona już nie jest kobietą”. Potem słyszałam te same słowa i historie od innych dziewczyn i kobiet na oddziale. Wiecie o tym? Nie wiecie?

Więc to naturalne, że jeśli choroba dopada osobę będącą w związku, pojawiają się pytania i zadaje się pytania. Czy na pewno chcesz towarzyszyć mi w tej chorobie? Czy jesteś gotowy/a widzieć mnie bez włosów, brwi i rzęs, osłabioną, wymiotującą? Czy jesteś gotowy/a spędzić najbliższe miesiące albo lata w szpitalach? Czy nie chcesz odejść i znaleźć osoby, która będzie zdrowa? Czy nadal chcesz spędzać życie ze mną? Czy na pewno chcesz myśleć teraz o ślubie? Czy chcesz brać ślub z kimś, o kim wiesz, że może nie móc mieć dzieci? Czy chcesz brać ślub z kimś, o kim wiesz, że może niedługo umrzeć? To tylko część z nich.

I żadne nie jest oczywiste albo oburzające. One wszystkie mają sens, trzeba je zadać i trzeba zastanowić się nad odpowiedziami.

Planowanie przyszłości z mieczem wiszącym nad głową to specyficzne uczucie. Oczywiście, jesteśmy śmiertelni, w każdej chwili można być w złym samochodzie, w złym czasie i w złym miejscu, nie wyjść z wody albo rozbić głowę w wannie, ale ciągle myślenie o tej śmiertelności paraliżowałoby nasze życie, więc nie myślimy o tym, albo nigdy nie weszlibyśmy do samochodu, morza ani nawet wanny... Ale gdy ryzyko śmierci nabiera kształtów wyników badań tomografii czy PET, to naprawdę inne uczucie. Czy wziąć kredyt na 30 lat i ryzykować, że zostawi się drugą osobą z nim i z pustym domem? Czy marzyć o tym, że nauczę się jeszcze nowego języka, jeśli kosztuje to lata nauki i może nie doczekam się nawet zbudowania jednego zdania w nim? Czy wydawać pieniądze na wesele, czy wybrać wszystkie oszczędności i czym prędzej jechać na południe Włoch, pracować tam fizycznie i spędzać dni na jedzeniu makaronu, łapaniu słońca na skórę i pluskaniu się w morzu?

W naszym przypadku nie tylko wszystkie odpowiedzi na pytania wymienione tam na górze były jasne, lecz więcej: choroba nas zbliżyła, odkryła przed nami nową głębię i nową jakość naszej relacji. Przeżyliśmy razem wiele i wiele rzeczy o sobie odkryliśmy (odkrycie swojej poliamoryczności, odkrycie swojej tożsamości płciowej czy autorozpoznanie się jako autystki to wszystko wstrząsające odkrycia, a to tylko moja „część”!), ale rak to i tak naprawdę next level. I to jest oszałamiające. Rak naprawdę wywrócił moje życie do góry nogami, zmieniając priorytety bez pytania o moją gotowość, ucząc mnie wiele o sobie i innych, a nawet odślaniając bezlitośnie pęknięte ogniwa na mapie ważnych dla mnie rzeczy. Były marzenia, które straciłam. Były momenty, które złamały mi serce. Były relacje, które nie przeżyły choroby bez szwanku – nawet najbliższe przyjaźnie na-całe-życie, poddane takiej próbie, mogą ją przegrać. Tym bardziej spodziewałam się, że takiej próby może nie przetrwać związek – ale było wręcz przeciwnie: wyszedł z ognia jak złoto.

Chcę zawsze pamiętać ten okres jako czas nie tylko chorowania, ale przede wszystkim zdrowienia, wsparcia, miłości i siły nas obojga. Dlatego zamiast czekać, aż odrosną mi włosy :-), zrobiliśmy sobie sesję przednazarzecheńską od razu, teraz. Widać na niej dwójkę młodych ludzi, którzy razem naprawdę dają sobie radę przez coś strasznie trudnego. I widać na niej coś, czego osobiście nigdy wcześniej nie widziałam: trzydziestoletniego faceta, który całuje z miłością łysy łeppek swojej zdrowiejącej dziewczyny. Może gdybym widziała kiedyś wcześniej takie zdjęcia, to wcześniej bym uwierzyła, że taka miłość jest możliwa. I pewnie mniej bałabym się chorowania i zdrowienia. Zdjęcia zrobiła nam @zukunftography.

A na ostatnim slajdzie bonus – prezent od @kiki_nordstrom_art: nasz zwierzątkowy portret na bazie zdjęcia, które kocham. Zdjęcie zrobiliśmy już też w okresie chorowania i zdrowienia, kiedy wiedzieliśmy już, że chcemy się pobrać, i mam wrażenie, że to widać. I w portrecie od Ani też.

Pierścionek

Ale najbardziej chcę pochwalić się... pierścionkiem! Z różnych tradycji ślubno-zaręczynowych pierścionki akurat lubię, ale... jedyne, które mi się podobały, to były propozycje małych zagranicznych artystycznych pracowni, w dodatku zdecydowanie poza naszym zasięgiem. A dwóch rzeczy byłam pewna: nie chcę diamentu i nie chcę drogiego pierścionka (nie chcę się bać, że go zgubię, zniszczę albo że zostanie ukradziony). Miałam zresztą konkretne ulubione rzeczy: duże barwne kamienie, nieco staromodny, bogato zdobiony setting... A w sklepach prawie same solitery z małymi diamentami. Mój ukochany pierścionek miał duże czerwone oczko i cudowną oprawę – i był to złoty pierścionek mojej mamy, pamiątka rodzinna. Pomysłów, że pamiątka rodzinna

nie powinna być pierścieniem zaręczynowym, nie chciałam słuchać! Na szczęście mama zgodziła się na mój pomysł i zgodziła się go nam użyć. Cudownie, bo kocham rzeczy z duszą, które mają historię, i kocham pamiątki rodzinne! Od początku miałam też wybrany kamień: jasny brzoskwińoworóżowy morganit. Cały projekt nie udałby się jednak, gdybym nie znalazła kogoś, kto potrafił zamienić moje marzenia w rzeczywistość: Marek @pracownia_pencil pomógł znaleźć i zamówić idealny kamień, zadbał o osadzenie (co wymagało skrócenia nieco łapek) i zmniejszył go na mój rozmiar. Teraz regularnie robię zdjęcia swojej ręki na tle pierwszych lepszych kwiatów ;-). Ale jeśli ktoś jest pierścionkowym freakiem i chce zobaczyć lepsze zdjęcia, to są na profilu Marka. I koniecznie zobaczcie jego inne dzieła – są właśnie w moim stylu, urocze i przepiękne! Robimy razem jeszcze dwa projekty pierścionkowe, więc już niedługo będę ekstrawagancko obwieszona. Spełnienie marzeń!

Można i może trzeba napisać

Tytuł tego wpisu mógł brzmieć tak albo jeszcze: Wszystko jest inaczej. To zdanie jest w dużej mierze wszechopisujące. Pisałam, że przede mną jeszcze mnóstwo oczekiwania i że jest jeszcze wiele rzeczy, których nigdy nie spisałam, a mogłabym. To było kawał czasu temu, a teraz jest przede mną jeszcze więcej oczekiwania i jeszcze więcej rzeczy, których dotąd nie spisałam, a mogłabym.

Tomografie robione po cyklach chemii (po trzecim i po szóstym) pokazywały zmiany w miednicy mniejszej, które od lutego nie zmieniły dynamiki: nie rosły i nie malały. By pomóc w ocenie, czym są i co z nimi zrobić, lekarze wysłali mnie na PET, badanie o nieco innym charakterze, które pokazuje SUV, czyli standardized uptake value: wychwytywanie radiofarmaceutyku. Co dla mnie magiczne i piękne, jest znakowany

pozytonami, czyli cząstkami antimaterii (!). Radiofarmaceutyk podaje się dożylnie na około godzinę przed badaniem, a dzięki temu zdjęcia pokazują, gdzie wychwyty jest wyższy niż standardowo. Wyższy może oznaczać patologiczne zmiany w tkance. Może, ale nie musi. Niestety nie był konkluzyjny.

No i, hej, jakie to trudne rewaluować życie, mając lat, jak mi się wydaje, tak mało. Trudne jest myśleć: nie zdążyłam nic zrobić, nie zdążyłam nic osiągnąć, nie pozostawiam po sobie niczego dobrego, nie napisałam tej książki, nie stworzyłam nic ważnego, nie zmieniłam niczyjego życia na lepsze, nie dołożyłam swojej cegiełki do świata. I jak dziwne jest notowanie sobie rzeczy, z których jest się dumnym, by je sobie wypowiedzieć, chociaż samemu sobie, chociaż raz.

Jakie to trudne pierwszego dnia, kiedy człowiek czuje się naprawdę szczęśliwy, bo jest jeszcze dwa miesiące przed chemią i ściął włosy i podoba się sam sobie, i uśmiecha się do siebie, i śpiewa z radości... – usłyszeć: „O, jaka szczęśliwa, jakby nie miała raka”. Kiedy mówimy jako chorzy, że śmianie się z raka skraca dystans, nie to mamy na myśli. Jakie to trudne pod pierwszym zdjęciem z włosami skróconymi przed samą chemią jest przeczytanie: „Z długimi było ci ładnie”. Jakie to trudne zdjąć turbanik i zacząć chodzić z tymi króciutkimi włoskami i słyszeć: „Ściąłś włosy! Nigdy więcej tego nie rób” i tłumaczyć, że to nie była twoja decyzja. Jakie trudne są kłótnie z rodziną, z przyjaciółmi, jak trudno się naprawia te relacje, jak trudno niektóre z nich się kończy. No i jakie trudne jest odzyskiwanie intymności po chorobie. Pisać o tym wszystkim to jak handlować prywatnością i swoją, i innych osób. Na szczęście o wielu tych rzeczach inne osoby napisały już wcześniej i lepiej, niż ja kiedykolwiek bym mogła.

Chciałam też napisać o najtrudniejszych, bo najbardziej intymnych rzeczach, których się wstydzę i nie wstydzę jednocześnie. Jakie to trudne słyszeć od nich: „Jak ty się zachowujesz! Powinnaś wspomnieć X, ta osoba z godnością chorowała”. Tym bardziej trudne, że zachowanie,

o które chodzi, to wycie z bólu. Jakie to trudne słyszeć komentarze na temat ciała – to zawsze było trudne, a teraz jeszcze bardziej, bo bez hormonów i kondycji to ciało nie może przecież się ruszać jak wcześniej ani mieć metabolizmu zdrowej osoby, i chociaż prawie każda pacjentka po chemii przybiera na wadze, to i tak niektórzy mówią: „Tak ładnie wyglądałaś podczas chemii, schudłaś, wysmukłałaś. A teraz jesteś jeszcze grubsza, niż przedtem byłaś”.

Z drugiej strony cancer ghosting wziął mnie kompletnie zniecka – płakałam, nie radząc sobie z sytuacją, która kompletnie podcięła mi nogi, myśląc właśnie, że jestem jakimś pechowym wyjątkiem, partner wysłał mi artykuł właśnie o tym. Bez żadnego komentarza. Po prostu żebym zobaczyła, że nie przydarzyło mi się nic nietypowego, przeciwnie, jedna z najczęstszych rzeczy. W raku jest mnóstwo rzeczy, przed którymi nikt nie ostrzega – ale ta była najstraszniejsza. O tym też można i może trzeba napisać – jak w raku traci się bliskich.

Samotnie nawiguje się też relacje w świecie, w którym istnieją cancer ghosting i odejścia partnerów od chorych partnerek. Gdy one nagle chorują i mogą dłużej opiekować się domem (i partnerami), ba, to nimi trzeba się teraz zaopiekować, oni najczęściej... odchodzą. Moją grzeszną przyjemnością podczas chorowania jest oglądanie medycznych seriali, co daje mi złudne poczucie kontroli nad sytuacją i pozwala mi myśleć o szpitalnych ścianach jako czymś znajomym, nie przerażającym. W jednym z odcinków jednego z nich pacjentka z genetyczną predyspozycją do nowotworów słyszy trzecią diagnozę – dwa raki już przeszła. W jednej chwili myślę: no skoro ona mogła przejść dwa, to ja jeden też przejdę. W drugiej chwili fikcyjna lekarka z fikcyjnego szpitala mówi fikcyjnemu partnerowi fikcyjnej pacjentki, żeby jeśli myśli o odejściu, lepiej zrobił to szybko, od razu gdy ona wyzdrowieje, zanim zachoruje po raz kolejny, żeby odszedł wtedy, kiedy ona będzie w dobrym stanie, a nie kiedy będzie go potrzebować. Co to za rada, oburzam się; potem przypominam sobie statystyki. Oni i tak odchodzą,

więc lepiej wybrać dobry moment. I w takim momencie mogą tylko się cieszyć, że ta konkretna rzecz mnie nie spotkała. Jestem szczęśliwym wyjątkiem.

Samotnie mieszka się w swojej głowie, która po stokroć analizuje informacje na kartach szpitalnych i w internecie, w której myśli obijają się o siebie jak kamienie w polerce, aż w końcu zaczynają tracić ostre kształty i można wziąć je w ręce. Ciało nagle potrzebuje o wiele więcej snu – głowa kompletnie nie daje zasnąć. Bezustannie podpowiada myśli o tym, jak pogodzić się z chorobą i ze śmiercią. Bezustannie wynajduje teraz kolejne rzeczy, dla których chciałoby się jeszcze żyć. O tym też można i może trzeba napisać – jak zmienia się optyka osoby, która kiedyś z największą trudnością z pomocą terapeutki szukała takich powodów, a teraz same jej się ironicznie sypią, ale podszyte cieniem grozy, że się nie zdąży.

Samotnie mieszka się w swoim chorym ciele, w którym każdy ból od momentu diagnozy przesywa strachem i które inaczej się rusza i inne rzeczy może, a wielu, nawet podstawowych, musi się uczyć na nowo. Staram się delikatnie rozciągać i budzić je do życia i do ruchu, nie obciążać go za bardzo, bo gospodarka hormonów nadal jest zaburzona, brak okresu to ciągle wracające fale gorąca i nieustanne bóle stawów, które czasem nie są w stanie wykonać najprostszycy ćwiczeń. Takie ciało prowadzi się na masaż (ale nigdy okolic, które chorują – tych nie wolno masować, grzać ani forsować), na delikatną jogę, na zajęcia z oddychania i na naukę ruchu. Naukę, bo kondycja sprzed choroby to coś, czego nawet nie pamiętam. Czuję się, jakbym pierwszy raz miała to inne, nowe ciało i musiała go wszystkiego nauczyć. O tym też można i może trzeba napisać – jak na nowo zamieszkać w swoim ciele.

Przynajmniej dla mnie. Odkąd zachorowałam, obserwuję tu i w innych miejscach inne chore osoby, zwłaszcza dziewczyny. Wiele z nich to syrenki, jak ja. Inne mają raki piersi. Niektóre nawet mięsaki, chociaż nie takie, jak mój – te są ekstremalnie rzadkie (znam tylko dwie

rówieśniczek z Polski z taką samą diagnozą, obie na szczęście w remisji). Gdy kolejne dziewczyny piszą o swoich sukcesach w leczeniu – cieszę się z nimi. „Wolna od raka” – to o tych słowach marzy każda chora osoba. Cieszę się z nimi, a jednocześnie przechodzi mnie dreszcz, gdy uświadamiam sobie, że może nie usłyszę tych słów jeszcze długo. A może – nigdy. Bo gdy gdzieś na Instagramie jedna pacjentka pisze, że jest wolna od raka, to gdzieś na Facebooku kolejne nazwiska syrenek pojawiają się w tej najsmutniejszej, ostatniej wiadomości. O tym też można i może trzeba napisać, jak to jest nawigować tę trudną przestrzeń, próbując zachować nadzieję i racjonalne podejście jednocześnie. Wtedy rozmawiam z innymi chorymi, które – tak jak mnie – czeka jeszcze na tej drodze wiele kroków. Przyznajemy się przed sobą do tych lęków i omawiamy rzeczy, których nie da się omawiać ze zdrowymi osobami, nawet najbliższymi. Bo to jedna z tych rzeczy, których nie sposób zrozumieć w pełni, gdy nie jest się w tej sytuacji. Jedną z tych, które – ostatecznie – mimo wsparcia bliskich, a nawet mimo bliskości innych chorych, i tak przeżywa się samotnie.

Na wynik czekałam kilka tygodni. Wtedy mogłam przesłać go do konsultacji. Na tę trzeba było czekać znów kilka tygodni. Ponieważ nie był konkluzyjny, a ja miałam szereg przewlekłych i niepokojących objawów, od bólów w operowanych okolicach aż po nietypowe dla mnie bóle głowy (i mam na myśli, bo gramatyka tego zdania mnie zawodzi, że bóle głowy są dla mnie bardzo typowe – mam bardzo silne i przewlekłe bóle, od lat wspomagam się przy nich Solpadeiną, opioidem, bo inne leki już mi nie pomagają – a bóle, które opisałam lekarce, były inne niż moje zwykle) onkolożka wysłała mnie na kolejną tomografię klatki piersiowej, jamy brzusznej i miednicy, a do tego po raz pierwszy także głowy (trzeba było zrobić ją oddzielnie, bo nie można obu tych obszarów objąć na jednym kontraście). Minęło zresztą tyle czasu, że i tak byłaby już kolej na tomografię. Najlepiej zawsze zapisywać się w swoim szpitalu, tam, gdzie zawsze, więc tam się oczywiście zgłosiłam,

ale było to w sierpniu, a ich terminy były dopiero na październik. Zapisalam się gdzie indziej, a i tak czekałam niecały miesiąc. A potem kolejny miesiąc czekałam na wyniki. Gdy tylko je dostałam, mogłam przesłać je do konsultacji... I znów muszę na nią czekać kilka tygodni. Chorowanie to czekanie.

Niedługo minie rok od mojej diagnozy i nic nie zapowiada jeszcze końca leczenia. Wszystko jest inaczej w tak wielu sferach życia, jak to jest możliwe. Ale – a może dlatego – każdego dnia budzę się i staram się sama do siebie uśmiechnąć i podziękować sobie i życiu za miłość, którą mam, za wsparcie i bliskość rodziny i przyjaciół, za to, jak smakuje powietrze w pierwsze deszczowe dni września, za to, jak przyjemnie jest ładnie się ubierać i kupować drobiazgi do domu, za to, jakie pyszne jest jedzenie, za to, jaki to przywilej mieć angażującą pracę, za to, jaki to jeszcze większy przywilej mieć pieniądze i moc pojechać na wakacje, i za to, że nadal są dni, oto kolejny z nich, nie wiem, ile ich jeszcze jest i ciężko sobie wyobrazić, że one będą nadal istniały beze mnie, ale póki jestem, oto kolejny z nich do mojej dyspozycji. Co to za przywilej. To banał! Kiedy byłam zdrowa i czytałam takie banały, wkurwiałam się na ich autorów i autorki, że życie to nie „Sekrety serca” drukowane na papierze toaletowym. Ale prawda jest taka, że banały są banalne dlatego właśnie, że są prawdziwe. Co to za przywilej mieć ten i kolejny dzień. Chciałabym ich mieć jeszcze jak najwięcej.

Szlachetne zdrowie

Światowy Dzień Zdrowia Psychicznego. Tak dużo osób napisało tak wiele wartościowych rzeczy, że wydaje się zbytkiem dokładać swoją cegiełkę, ale podzielię się kilkoma luźnymi refleksjami, które łączy właśnie ten temat. Cytując klasyka, o tych tematach też można i może trzeba napisać oddzielny post, ale na razie będzie jeden patchworkowy ;-)

@eat_glitter napisała dziś na stories: „Wszystkim życzę dobrze dobranych leków, świetnych terapeutów i dużo sił, żeby z jednego i drugiego skorzystać, wychodząc z kryzysów. Odkładana od lat terapia już trwała, kiedy dotknęły mnie duże kryzysy – nie musiałam szukać specjalistki i opowiadać jej swojej historii od samego początku, kiedy byłam w złym stanie, bo tygodnie poznawania się i dogrywania miałam już za sobą w chwili, gdy mnie dopadło”. Czuję to tak samo. U mnie terapia to była do trzech razy sztuka. Pierwsze kilka spotkań, na które poszłam prywatnie w ogromnym kryzysie, były niestety niewypałem – pewnie nawet nie z winy specjalistki, ale mojej, bo szłam na spotkania pełna wątpliwości i sceptycyzmu, tak naprawdę sądząc, że „i tak nic mi nie pomoże”, nie otwierając się, wstydząc się swoich problemów i próbując przedstawić je jako inne. Po raz drugi z powodów finansowych zgłosiłam się do psychiatry, a poprzez niego na terapię na NFZ. Wstępny proces diagnostyczny, a może powinnam powiedzieć: kwalifikacyjny, trwał chyba z trzy miesiące – zakwalifikował mnie na terapię ze wstępną diagnozą zaburzenia osobowości borderline. Proces zaczęła i prawie do końca doprowadziła jedna terapeutka, ale ostatnie jedno lub dwa spotkania przejęła inna specjalistka, która między innymi zapowiedziała, że czuje, że jest bardzo źle i wymagam bardzo długiej terapii – nie wiem, jak często specjaliści_stki tak mówią, ale nie jest to zachęcające ani motywujące.

No, ale to była dopiero kwalifikacja. Na terapię na NFZ czeka się kawał czasu. Trafiłam do młodego specjalisty, z którym zaczęłam pracę i wszystko zapowiadało się całkiem dobrze. Jednym z moich największych problemów było to, by zdążyć do niego na ósmą rano, a – co ciekawe – to, żebym zdążyła, było też częścią i warunkiem terapii. Mówiłam niejednokrotnie, że gdyby tylko były one po południu, to nie miałabym z tym takiego problemu, bo po prostu mam ten „sowi”, późniejszy chronotyp – on odpowiadał, że nie sądzi, by o to chodziło, tonem sugerującym, że po prostu nie szanuję zegarka i i tak będę się

spóźnić. Spoiler: o to chodziło. Niemniej, to naprawdę był największy problem. Zaczęliśmy już powoli budować jakąś relację, ale przerwała to moja wyprawka z Białegostoku do Warszawy. Załatwiłam całą historię choroby, jak mówi się na komplet dokumentów, ale w nowym mieście nie od razu poradziłam sobie ze znalezieniem zastępstwa (nie wiem, jak wiele osób tak ma i co to znaczy, ale każdego lekarza wybieram przez siedemnaście tygodni, analizując opinie na Znanym Lekarzu, drogi dojazdów i ilość minut na dojazd, a w przypadku ginekologów i terapeutów sprawdzam też, czy nie podpisali aby jakichś okropnych list typu poparcie klauzuli sumienia). @psychedelic_possum poleciła mi terapię w nurcie DBT (stworzoną specyficznie dla osób borderline'owych, wrócimy do tego tematu) w @bezpiecznemiejsce i to w końcu był strzał w dziesiątkę. Ta terapia trwa od kwietnia lub maja 2020 do teraz.

I w końcu wracając do cytatu: „Odkładana od lat terapia już trwała, kiedy dotknęły mnie duże kryzysy”. U mnie terapia już trwała, kiedy zachorowałam na raka i baaardzo potrzebowałam wsparcia. Rak to w ogóle, OCZYWIŚCIE, oddzielny temat, bo większość specjalistów i specjalistek nie szkoli się dokładnie w tym temacie. Skorzystałam też dwa razy z pomocy psychoonkolożki (zarówno w szpitalu Orłowskiego w Warszawie podczas hospitalizacji, jak i z pomocy telefonicznej innej osoby) i to były ważne momenty, podczas których rozmowa była specyficznie na temat raka, leczenia, chemioterapii, żałoby, marzeniach, płodności, przyszłości, śmierci. Ale i tak, i tak, to było nieocenione wsparcie, mieć już zbudowaną relację terapeutyczną, kiedy dotyka cię TAKI KRYZYS. Nie mówię za każdego, kto choruje, ale jeśli o mnie chodzi, to nigdy nie przydarzyło mi się nic bardziej wymagającego i straszniejszego. Zaraz minie rok od mojej diagnozy i nie ma spotkania, na którym pryzmat raka nie oświetla odtąd każdej innej kwestii.

Moja obecna terapeutka, otrzymawszy historię choroby i przeprowadziwszy testy diagnostyczne raz jeszcze, stwierdziła (i długo to

powtarzała), że niektóre cechy borderline może mam, ale niekoniecznie byłaby skłonna dać taką diagnozę – ale ja cały ten czas się z nią utożsamiałam, bo pozwalała mi siebie zrozumieć i zobaczyć w kontekście. Borderline to temat rzeka. Dla niektórych to już informacja stara jak świat, a dla innych może całkiem nowa, ale... Ogrom cech związanych z tym typem osobowości (osobiście tak wolę to nazwać niż jej zaburzeniem – pozwijcie mnie) to są też cechy związane z nie-neurotypowością – np. ADHD albo szczególnie autyzmem. Ponieważ oba te neurotypy (a także AuDHD – ich różne połączenia u jednej osoby) są niedobadane, a kryteria diagnostyczne opisano po raz pierwszy lata temu na bazie młodych białych chłopców, to warto wiedzieć, że zarówno u osób kobiecych i niebinarnych, jak i niebiałych, cechy związane z tymi neurotypami mogą się manifestować bardzo inaczej. Jak? Badania pokazują, że często są to cechy, które w DSM-5 pojawiają się przy zaburzeniach osobowości i to we wszystkich „clusterach”, czyli grupach, ale najczęściej właśnie przy borderline. Dodajmy do tego informację o tym, że całe lata osobami otrzymującymi diagnozy autyzmu i ADHD byli chłopcy i młodzi mężczyźni (znaczna dysproporcja), natomiast osobami otrzymującymi diagnozy zaburzeń osobowości były dziewczęta i młode kobiety (znaczna dysproporcja). Magiczne puzzelki. Dziś coraz częściej diagnozy otrzymują także osoby kobiece i niebinarne, obecnie szacuje się, że proporcja szybko zmienia się w kierunku zmierzającym ku 50:50! Nie oznacza to tylko wzrostu liczby diagnoz per se, lecz także, a nawet bardziej, zmianę na lepsze w kryteriach diagnostycznych. Osobiście nadal utożsamiam się z etykietką borderline, która dość dobrze opisuje moje cechy charakteru i sposoby zachowania i myślenia. I mimo że uważam, że jestem nieneurotypowa (AuDHD), nadal jest to etykieta mi bliska.

Terapia w nurcie DBT została stworzona specjalnie z myślą o osobach z cechami borderline, więc mnie wydaje się oczywiste, dlaczego np. @drdevonpricemowi, że to też jeden z lepszych nurtów dla osób

nieneurotypowych. Devon Price to autor ważnych „Lenistwo nie istnieje” i „Demaskowanie autyzmu. Odkrywanie nowych oblicz neuro-różnorodności”. To świetne książki, ale znam je na razie we fragmentach cytowanych przez autora na jego social mediach i na Medium.com. Także tłumaczenia tytułów na razie pochodzą ode mnie, bo pozycje nie zostały jeszcze wydane po polsku, choć już znalazłam w sieci informację, że co najmniej do tej drugiej przygotowuje się Biała Plama (seria Wydawnictwa Linia, tego samego, które wydało „Dziewczynę w spektrum” Ewy Furgał czy „Ranliwość” Nadii de Vries). Price to jeden z najciekawszych głosów na temat neuroróżnorodności w ogóle, po raz kolejny bardzo polecam. Ale że ostatnio wyszłam na chwilę ze swojej bańki i przypominałam sobie, ile osób nie mówi po angielsku, tłumaczę tu fragment jednego z filmów: „Akceptowane standardy zachowania są TAK WĄSKIE, że jest cały szereg rzeczy, które mogą nas postawić POZA nimi – i za które możemy zostać ukarani_ne. Jeśli masz częste ataki paniki, to nie jest neurotypowe. Jeśli masz oznaki zaburzeń odżywiania, to nie jest neurotypowe. Jeśli cierpisz w bliskich relacjach, bo masz traumę związaną z przywiązaniem albo niepokonany lęk przed odrzuceniem, to też nie jest neurotypowe. Może do ciebie też przylgnąć szczególnie stygmatyzująca etykieta, jak np. zaburzenie osobowości borderline. Prawie każdy może być postrzegany jako zaburzony lub nieprawidłowy, a przynajmniej podczas trudniejszych momentów czy okresów życia, jak depresja czy trudność w radzeniu sobie. NeuroTYPOWOŚĆ to w zasadzie bardziej zbiór opresyjnych kulturowych standardów niż uprzywilejowana tożsamość, którą można mieć”.

Ja lubię koncepcję neuroróżnorodności (neurodiversity), o której Price często mówi, takiej rozumianej jako teorię różnych, ale równych neurotypów. Nie: neurotypowe (neurotypical) i neuroodmienne/nie-neurotypowe (neurodivergent) jako norma i patologia, ale jako właśnie kulturowy opresyjny standard i dewiacje od niego, które niesłusznie są patologizowane, a dyskurs o tym medykalizowany – na swoją szkodę.

Dlatego Price jest również wielkim apologetą autodiagnoz i tego, by nie stawiać wszystkiego na szali formalnych diagnoz od specjalistów. To, że ma się odmienny od standardów neurotyp, z dostępem do odpowiednich informacji można odkryć tak samo łatwo, jak to, że ma się odmienną od standardów tożsamość płciową czy orientację psychoseksualną. Żyjemy na szczęście w świecie, w którym nie trzeba potwierdzać u seksuologa, że jest się osobą biseksualną (dodajmy, że niestety na razie w wielu krajach TRZEBA POTWIERDZIĆ, że jest się osobą transpłciową, ale to nie jest temat, na który ja mogę opowiadać) – być może możemy też żyć w świecie, w którym nie trzeba będzie potwierdzać, że jest się osobą autystyczną. Może nie musimy być „wysoko” i „nisko funkcjonującymi” osobami, tylko mieć różne potrzeby i różnego wsparcia potrzebować. Może nie musimy mieć papierka, żeby zamiast uczyć się komunikować w jeden sztywno określony sposób, móc wypracować komunikacyjne kompromisy w relacjach, które nawiązujemy i podtrzymujemy.

Na koniec jeszcze raz wspomnę @psychedelic_possum, która dziś napisała na stories: „W mojej bańce znacznie więcej mówi się o dbaniu (rozumianym jako poddawanie się specjalistycznym procedurom leczniczym i profilaktycznym) o zdrowie »psychiczne« niż o »fizyczne« (cudzystów, bo dobrze dziś już wiemy, że Kartezjusz się mylił, dzieląc osobę na dwa bieguny). Znam o wiele więcej osób, które korzystają/-ły z terapii, niż tych, które kiedykolwiek choćby oznaczyły swój poziom witaminy D”. No i chyba w mojej bańce też tak jest, choć powoli pojawiają się coraz wyraźniejsze głosy traktujące z jednej strony o tym, że zdrowie fizyczne jest bardzo ważne w psychicznym (choćby @bezpiecznemiejsce miało post o słynnej kwestii „Idź pobiegać”!), a z drugiej – że my tego psychicznego nawet nie rozumiemy i jest zdominowane przez medykację i farmakoterapię. Ostatnie badania obalają tezę, która długo rządziła psychiatrią – że depresja jest powodowana chemicznym rozregulowaniem neuroprzekaźników, zwłaszcza serotoniny (co nie

znaczy, że antydepresanty nie pomagają w jej leczeniu, bo pomagają – ale znaczy, że używaliśmy ich trochę na ślepo, co przypomina mi artykuły, które obnażają, że... nie wiemy, jak dokładnie działa używana od wieków przecież anestezja!). Najnowsze badania potwierdzają z kolei... że regularna aktywność fizyczna może być równie albo nawet bardziej skuteczna przy depresji, co leki. Na Facebooku pisze o tym m.in. Radosław Stupak, którego mi poleciła z kolei @z3lda.jpg).

Bardzo wiele osób chodzi na terapię, bierze leki, wszystko to jest super, ale jednocześnie dlaczego to zdrowie fizyczne jest od psychicznego tak oddzielone? Czasem mam wrażenie, że w zasadzie dopiero o nim mówimy, gdy trzeba profilaktyki przed czymś tak strasznym jak rak albo wręcz gdy już coś się z tym zdrowiem dzieje? Nie jestem tu wyjątkiem, bo żyłam z bólami mięśni i stawów LATAMI, zanim poszłam na pierwszy masaż powięziowy czy zaczęłam uprawiać sport, żyłam z bólami brzucha LATAMI, zanim poszłam pierwszy raz do gastrologa, żyłam z objawami tarczycowymi LATAMI, zanim poszłam pierwszy raz na badanie TSH, anty-TG i anty-TPO... Jedyne, czym się mogę pochwalić, to że bardzo regularnie chodziłam do ginekologa i że zawsze miałam aktualne kontrole, także tuż przed diagnozą raka – a jedynym powodem było, prozaicznie, że miałam inne przewlekłe problemy ginekologiczne, leczone już od pierwszej wizyty u ginekologa w życiu. Kilka razy próbowałam jogi, basenu, biegania czy roweru (jako regularnego sportu, a nie okazjonalnego wypadu czy letniego transportu do pracy), ale nigdy nie byłam regularna w dbaniu o aktywność fizyczną, o zdrową dietę (rozumianą nawet bardziej jako REGULARNE posiłki niż bilans kaloryczny i odżywczy), o sen, którego brak leży u podłoża tylu innych problemów psychofizycznych, że aż szkoda gadać. Teraz tego żałuję i staram się to naprawić – nigdy nie jest za późno – ale jest mi głupio, że dopiero rak otworzył mi oczy na to, że nie jestem uwięziona w swoim ciele, tylko mieszkam w nim i mogę i powinnam dbać o nie. Więc w światowy dzień zdrowia psychicznego zarówno teamowi „DSM

i leki”, jak i teamowi „idź pobiegać”, żebyśmy wszyscy byli jednak jednym teamem, który dba o zdrowie, nie hierarchizując przymiotników. Wszystko wskazuje, że zdrowie psychofizyczne jest jedno.

Skala bólu

Jak podsumować w jednym wpisie pół roku niesamowicie szybkich zmian? Spróbuję. Tomografie, PET, tomografie, PET... Czekanie na wyniki – po kilka tygodni, na konsultacje – po kilka tygodni. Jak pisałam, chorowanie to czekanie. Sierpniowe i wrześniowe tomografie (miednicy mniejszej, jamy brzusznej i klatki piersiowej – jak zawsze – ale też głowy, z racji na dziwne bóle) pokazały w końcu kilka nowych sfer zmian gęstoptynowych, które po raz kolejny zostały opisane „do dalszej diagnostyki albo obserwacji”. Mięsa nie lubią igieł ani noży – albo może właśnie kochają – po operacjach, zabiegach, a nawet biopsjach umieją bardzo szybko się rozrosnąć, więc diagnostyka tego typu za bardzo nie wchodziła w grę. Tylko kolejne badania obrazowe. Dostałam skierowania na kolejną tomografię i kolejny PET. W momencie konsultacji, która wypadła na początku października, skarżyłam się też na naprawdę dokuczliwe już bóle, więc na wszelki wypadek warszawska klinika (najlepsi specjaliści w Polsce) od razu wypisała mi proponowane postępowanie na wypadek, gdyby kolejne badanie obrazowe pokazało jednoznaczny progresję.

A bóle? Jest powód, dla którego ostatnio nic nie pisałam, tylko wklejałam wspominki z wakacji. Zawsze byłam dumna z dość wysokiego progu bólu, ale naprawdę wywaliło go już poza skalę. Działo się to przez ostatnie dwa, dwa i pół miesiąca. Praktycznie przestałam wychodzić z domu, a czasem nawet z łóżka, i to całymi dniami. Przez całe wakacje w Grecji po każdym posiłku miałam uczucie ciężkości i bólu. Myślałam, że to może kwestia diety, ale uczucie to nie zniknęło

po powrocie do domu. Do bólu w podbrzuszu, do którego powoli się przyzwyczajałam, doszedł ten ból w brzuchu, przypominający niestrawność albo bardzo silne i nieprzemijające wzdęcie. Najgorsze były jednak pojawiające się coraz częściej bóle mięśni (pod jedną łopatką, potem pod drugą, na prawym żebrze, w krzyżu), których kaliber czasem uniemożliwiał mi pracę, bo nie dałam rady z nimi ani siedzieć, ani leżeć. I ten stan trwał tygodniami. Gdy doszło do tego osłabienie związane z przeziębieniem, myślałam, że wyfrunę z siebie.

Próbowałam jogi i łagodnych ćwiczeń, medytacji, lepszej diety, Ulgixów, termoforów, poduszek elektrycznych (choć nie powinnam, ale konia z rzędem temu, co godnie znosi taki ból), masaży (tylko barki i kark, bo dół pleców jako miejsce występowania zmian był poza pozwoleniem), fizjoterapii i osteopatii (tejpji i strzelanie kręgosłupem w newralgicznych miejscach to były największe ulgi) czy akupresury (mata z igłami, moja największa przyjaciółka). Mój stary materac dokopywał plecom jeszcze bardziej, więc niejedną noc spędziłam na macie z igłami albo na podłodze. Gdy kupiłam nowy, niestety okazał się za miękki i nadal co noc wstaję i robię ćwiczenia na plecy. Nie przespałam całej nocy bez problemu od wielu tygodni. To jest też moment, kiedy kolejne pięć razy podziękowałam rodzicom za pchanie mnie w kierunku wyrobienia prawa jazdy... Dzięki samochodowi nawet w tym złym samopoczuciu jestem relatywnie samodzielna. Teraz nie dałabym rady nigdzie dojechać komunikacją miejską.

Chodziłam na kontrole do białostockiego centrum onkologii i mówiłam, że boli, boli bardzo, ale lekarki mówiły, że ostatnie wyniki badań nie wskazują na nic niepokojącego, więc ból może być związany ze wszystkim: zrostami, dietą, nerwami... Tomografię robiłam co trzy miesiące – dość często. Za często też się nie powinno, jak mówiły. Jednej nocy trafiliśmy z narzeczonym na nocne pogotowie, bo ból w prawej łopatce i żebrze był tak duszący, że nie dałam rady nabierać pełnych oddechów. Wtedy lekarka z tej nocnej pomocy po pogłębionym

wywiadzie wypisała mi skierowanie na TK na cito, bo żaden brzuch nie powinien boleć dwa miesiące bez przerw. Ale powiedziałam przytomnie, że już pod koniec listopada mam swoje badanie, że mam je regularnie, że będzie dobrze.

Podczas ostatniej kontroli przed ostatnią tomografią pokazywałam lekarce znacznie powiększony brzuch. Bezpośrednio po chemii byłam bardzo odchudzona, po około miesiącu wróciłam do moich naturalnych rozmiarów, ale teraz miałam duży i wyraźnie opuchnięty brzuszek, mimo że dbałam o dietę. Pytałam, czy nie ma tu żadnego płynu albo, nie wiem, czego innego, bo jego noszenie jest dla mnie teraz literalnie ciężarem. Ciągłe obolały, ciągle wysunięty, ciągle napięty, reagujący na każdy typ jedzenia i nawet na najmniejszą ilość, po prostu bolący bez przerwy. Myślałam, że wiem, co to jest przewlekły ból, ale nie miałam pojęcia. Podczas badania fizykalnego płakałam, bo nawet ono mnie bolało. Mnie już bolało wszystko. Nie byłam w stanie dłużej chodzić na jogę, bo nie mogłam wykonywać większości ćwiczeń, bolało mnie siedzenie, bolało mnie leżenie. Czułam, że coś jest nie tak, bo to naprawdę uczucie nie do pomylenia. Dostałam skierowanie do psychologa w BCO oraz silniejsze przeciwbólowe i już za chwileczkę miały przyjść wyniki badań, które albo by nas uspokoiły (?) albo coś wyjaśniły.

No i najważniejszy wniosek z tego wszystkiego jest taki, żeby nigdy nie dać się nazwać hipochondryczką, jeśli jesteś przekonana, że czujesz, że twoje ciało coś do ciebie mówi. PET pokazał tak liczne zmiany gęstopłynowe w zasadzie w całej otrzewnej, że nie było po co ich wszystkich wymieniać w opisie wyników. Już wiedzieliśmy, że w takim razie wracam na chemię według wskazań zaproponowanych wcześniej przez Warszawę. Płynu jest jednocześnie za mało, by się wkluć i go zdjąć (o czym marzyłam, bo myślałam, że przyniesie to ulgę w bólu), ale jednocześnie otacza wszystkie najważniejsze narządy. W opłucnej koło mostka znajduje się guzek – jestem pewna na 99%, że to jest to samo miejsce, które jako jedyne kłuło mnie w czasie przeziębienia. Na „deser”

zaś PET pokazał też świecenie się... tarczycy (oczywiście PET pokazuje wszystkie procesy zapalne, nie tylko te związane z nowotworem, jakby co), co do której zawsze uważałam, że mam z nią jakieś problemy, bo miałam wszystkie objawy „tarczycowe”, ale dwa razy przystępowałam do diagnostyki i TSH akurat wychodziło w normie. Ale ja miałam rację co do wszystkiego, co czułam. Wszystko to ciało próbowało mi wcześniej mówić, a ja próbowałam mówić innym, ale liczba razy, kiedy oskarżano mnie o hipochondrię, przekracza wszelkie granice rozsądku – i dotyczy to wszystkich, od osób partnerskich, przez rodziców, przyjaciół, aż po lekarzy.

Jestem już po pierwszym wlewie nowego rzutu chemioterapii. Nie wystąpiły nudności ani wymioty, ale bóle mięśni przez ten tydzień były dwa razy gorsze, niż wcześniejsze. Oczywiście jestem przerażona, bo nie wiem, czy takie zmiany płynowe są groźniejsze, mniej groźne czy po prostu równie groźne, co guzki. Nie wiem, jak zareagują na chemioterapię drugiego rzutu. Czytałam studium, które mówi, że odpowiedź mięsaków tkanek miękkich na gemcytabinę i docetaksel jest obiecująca. Ostatnio dużo rozmawiam z ludźmi, którzy przeszli raka i są w remisji. Wielu z nich miało słabe rokowania, a teraz są w remisji od kilkunastu czy kilkudziesięciu lat, i mam nadzieję na to samo. Zupełnym przypadkiem poznałam ostatnio w sytuacji służbowej kobietę, która przeszła aż dwa oddzielne raki (!) i od dwudziestu lat cieszy się remisją. Zbieram te wszystkie historie, przytulam je do serca, opowiadam sama sobie na dobranoc. Kruchość życia jest okrutna, ale jej zrozumienie uczyniło je o wiele piękniejszym.

W zdrowiu i w chorobie

Tydzień temu pierwszy raz obudziłam się jako żona. Gdy zaręczyliśmy się w lipcu, długo myśleliśmy, kiedy wziąć ślub. To niby drobiazg, ale

jednak bardzo chciałam, żeby trochę odrosły mi włoski. Jeśli ślub, to marzyłam o letnim weselu na polance, z rozpuszczonymi włosami, w boho sukience, wianuszką. Ze wszystkimi bliskimi obok. Poważnie rozważaliśmy najbliższe lato, choć naprawdę baliśmy się, że nie zdążymy zorganizować się w pół roku. To zamiast wielkiego wesela weźmy szybki cywilny – proponował narzeczony, ale ja marudziłam, że chcę prawdziwego wesela, chcę być otoczona bliskimi, chcę te wszystkie wymarzone elemenciki. Gdy te rozmowy odbywały się w „stabilizacji” i nadziei, że uda się ją zachować jeszcze na długo, to wszystko wyglądało inaczej. Ale gdy zrozumieliśmy, że wracam na chemię, że te 3 centymetry włosów to mój nowy rekord oraz że nie wiadomo, kiedy moje samopoczucie się pogorszy i jak długo będę na nogach, postanowiliśmy nie czekać dłużej.

Tak naprawdę słów „w zdrowiu i w chorobie” nie ma w polskich przysięgach, ani kościelnej, ani cywilnej, ale kocham ich symbolikę. Bo my już byliśmy ze sobą w zdrowiu i w chorobie. Już staliśmy i stoimy przed wyzwaniem, które wystawi wiele związków na ciężkie próby. Już od dawna wiemy, że chcemy spędzić życie razem – tyle, ile go będzie – i zdecydowaliśmy, że nie czekamy już ani dnia więcej. Żadne z nas nie spodziewało się, że w tej symbolicznej chwili, zamiast t y l k o cieszyć się miłością, będziemy bardzo poważnie myśleć o ryzyku utraty i kruchości tego, co mamy. Nie tego, co nas łączy – to jest takie silne, że to doprawdy przywilej doświadczyć takiej miłości – ale tego, co mamy, naszego życia razem, które trzeba łapać mocno w garść, by nie przeciekło nam przez palce.

Gdy dowiedzieliśmy się o chemii, pobiegliśmy do urzędu następnego dnia. Musieliśmy ubiegać się o skrócenie ustawowego okresu (miesiąca) i okazać moją historię choroby. Marzył nam się termin dzień przed wigilią, gdy bliscy już są w rodzinnych domach na święta, ale niestety, nic z tego – do dyspozycji były dosłownie dwa terminy, na zajutrz i za tydzień! Wybraliśmy ten za tydzień i od rana następnego

dnia dzwoniłiśmy po wszystkich bliskich, zapraszając ich na chyba naj-
szybszy ślub na świecie. Niestety na uroczystości nie mogło być wie-
lu naszych ukochanych osób, choćby mojej siostry, która pracuje za
granicą. Od razu zdecydowaliśmy też, że będziemy chcieli na pewno
zrobić „poprawiny” z odpowiednim wyprzedzeniem, by móc zaprosić
całe nasze rodziny. Póki co zaś spotkaliśmy się w mniejszym gronie, by
móc już być mężem i żoną, gdy znów trafię do szpitala.

Postawienie ślubu w tydzień, nawet takiego malutkiego, było nie-
złym wyzwaniem. Nie udałooby nam się na pewno, gdyby nie absolut-
nie ogromna i bezcenna pomoc naszych przyjaciół i znajomych. To
dzięki nim udało się załatwić fryzjera czy makijaż (najpierw planowa-
łam zrobić to wszystko sama, ale na szczęście ta alternatywa uratowa-
ła mnie, gdy czułam się kiepsko na dni bezpośrednio przed ślubem).
Moja niesamowita świadkowa @sznurkinia pracowała dosłownie na
pełny etat, by pomóc mi znaleźć strój, dodatki, zorganizować szcze-
gółę. Zrobiła nam też przepiękną księgę gości, w której zebraliśmy
życzenia w urzędzie. @pracownia_pencil w ciągu zaledwie tygodnia
wykonał nasze przepiękne obrączki dokładnie według naszych życzeń!
Udało nam się też zamówić u @krzaki_i_badyłe piękny bukiet dla
mnie i dla naszych mam. Jedno, na czym nam zależało, to żeby nie
obrabować naszych rodziców ze słynnych i ważnych podziękowań, więc
zadbaliśmy o piękne prezenty dla naszych mam, ojców i oczywiście
dla naszych wspaniałych świadkowych. Osoby, którym najwięcej
zawdzięczaliśmy, w tym koleżanki, które do ostatniej chwili pomagały
szukać sukienek czy załatwiać sprawy, dostały od nas jeszcze karteczki
z wykaligrafowanym podziękowaniem (i oczywiście zalakowane
moim sygnetem – Alek jeszcze nie ma swojego ;-)). Ale chcieliśmy też
bardzo podziękować dosłownie wszystkim, którzy znaleźli czas i chęć,
by towarzyszyć nam w tym wyjątkowym momencie, mając zaledwie
tygodniowe wyprzedzenie. Niektórzy przyjechali do nas z innych
miast w środku tygodnia na godzinę czternastą! Dlatego namówiłam

narzeczonego, żebyśmy przygotowali w podziękowaniu ciasteczka dla wszystkich gości. Alek jako naczelny piekarz upiekł ponad sto osiemdziesiąt ciasteczek, a ja... przez około piętnaście godzin robiłam do nich ręcznie malowane i wypisywane karteczki pamiątkowe. Żeby wszyscy wiedzieli, jakie to dla nas ważne, że poświęcili nam ten czas.

Organizowanie ślubu dwa dni po pierwszym wlewie kolejnej chemii było większym wyzwaniem, niż się spodziewałam. Sądziłam, że pójdę na chemię na oddział, jak wcześniej, i że będę czekać na miejsce około miesiąca. Okazało się jednak, że pójdę na nią ambulatoryjnie i mogę (a nawet powinnam) robić to już, natychmiast. Bóle, które mnie paraliżowały, nie zostawiały nadziei, że można to odciągnąć. Więc we wtorek poszłam na pierwszy wlew, a w czwartek – do urzędu. To znaczy, że musiałam porzucić o wiele więcej marzeń, niż myślałam. Mój brzuch wypełniony płynem w progresji choroby jest wielki, okrągły, napięty i okropnie bolesny. Mierzyłam wiele sukienek, ale niestety ten ciężowy wygląd – nawet jeśli ciążył mi rak – nie był dla mnie do przejścia. Zdecydowałam się na dwurzędowy garnitur w złamanej bieli. Czy załuję? Jasne, trochę tak, jestem pewna, że wyglądałabym pięknie w wymarzonej sukience, z długimi włosami i wiankiem. Ale ostatecznie to wszystko nie jest przecież takie ważne. Tak naprawdę wszystko to – ten wystający brzuch, ten ogromny ból, ten niedoskonały strój, ten pośpiech – wszystko to miało marginalne znaczenie. Liczyło się, że możemy w świetle prawa zostać rodziną, a teraz czujemy się bezpieczniej w kwestii mojego zdrowia i naszych wspólnych decyzji. I chyba nie tylko my to tak czuliśmy. Bo przez własne łezki widzieliśmy kilka łezek na innych policzkach.

To przede wszystkim ogromny przywilej – móc ślubem uczcić swoją miłość. Jestem zaszczycona, że mogliśmy to zrobić, ale jednocześnie nie sposób nie czuć rozgoryczenia, że to jest przywilej, a nie prawo. Jako osoba biseksualna działałam aktywistycznie od kilku lat między innymi właśnie na rzecz równości małżeńskiej. Dlatego naszych gości

zachęciliśmy, żeby – jeśli nie pomyśleli, na co przekazać 15 złotych na nasze zdrówko – wsparli Miłość Nie Wyklucza, organizację, której nadrzędnym celem jest właśnie równość małżeńska. Sami zdecydowaliśmy się wesprzeć donacjami ślubnymi Miłość Nie Wyklucza, Fundację Ocalenie działającą na rzecz cudzoziemców (z którą jestem związana od ponad roku jako wolontariuszka-lektorka języka polskiego jako obcego), Stowarzyszenie mali bracia Ubogich (które wspieram od jakiegoś czasu, prowadzą oni m.in. program Obecność, łączący samotne starsze osoby z wolontariusz_kami), Fundację Rak'n'Roll (wspieram współpacjentów_tki) i Fundację Kamunikat.org, działającą na rzecz rozpowszechniania kultury białoruskiej w Polsce (z mniejszości białoruskiej pochodzi moja nowa rodzina). Jesteśmy bardzo szczęśliwi i dziękujemy wszystkim, którzy byli tego dnia z nami fizycznie i myślami. A najbardziej dziękuję mojemu mężowi za trwanie ze mną, bo kochanie go to moja największa i najpiękniejsza przygoda.





Joanna Głuszek

Wiersze

mother tongue

matko dlaczego
pozwoliłaś Ojcu
nauczyć mnie języka

dlatego sama nie mówiłaś

w języku ojczystym czuję
Się
obco

znajduję Się gdzie indziej
w przestrzeni
autokefalicznej

w strefie profanum
moje ciało jest świątynią
nie z żebra a
moje

16.06.12

Modlitwa

Kim są poeci, jeśli potrafią głosić chwałę Jowisza jako żywej istoty, a zachowują milczenie wobec Jowisza – ogromnej kuli złożonej z metanu i amoniaku?

Richard Feynman

Prócz Słońca

ty jesteś największy najgroźniejszy
dlatego tobie Rzymianie powierzyli całe niebo burze i deszcz
tobie składali woły w ofierze

Nie masz granic

twoja gęsta gazowa atmosfera
płynnie przechodzi w ciekły wodór

Znasz wolność

dajesz swoim elektronom wolną wolę
a one tworzą prąd wirują w tobie
i czczą nieziemsko silnym polem magnetycznym

Wiesz co to doskonałość

cały jesteś prosty cały sobą
cały z wodoru i helu
metanu i amoniaku
które trzyma na miejscu w środku
chłodna logika twarde zasady
jądro ze skał i lodu

I tylko problem mamy gdy nauka
mówi że jądro jest zbyt mało gęste
mierzone to już tyle razy jest pewność
że waży mało podejrzenie mało

Lub w ogóle go nie ma

01.2011



wyglądała jak płatek śniegu
zagubiony w fałdach pościeli
misterium patyczków i kresek
chudziutka malutka i blada i chłodna

zawsze taka kobieca silna i wielka
zgubiła połowę siebie po ostatniej drodze

(gdy moja mama ją myła (po raz
jak się okazało ostatni) i oczy jej się zaszkliły
podobno powiedziała tylko
nie lituj się)

kazała zamknąć trumnę żeby jej nie widzieć
to znaczy widzieć ale taką jaką była
to znaczy była wcześniej czyli zawsze

(myślę że na świecie nie było nikogo
kogo mój ojciec kochał bardziej
niż matulę (gdy do końca się nią opiekował
wszyscy mówili wzruszeni
jaki z ciebie dobry człowiek i syn)
myślę że wtedy nauczyłam się czym jest
zobaczyłam całkiem inną miłość)

miała szczęście gasnąć spokojnie
w swoim domu w swoim łóżku

i siedział wciąż przy niej
złamany na pół tato

zobaczyłam
ten zagubiony płatek
wyglądała pięknie jak zawsze

uduchowienie/odcieleśnienie

gdzieś między którymś zerem a którąś jedynką
zagubiła się martwa komórka proch pragnień
smutny kłębuszek nerwów gdzieś między znakami
kurz mojego naskórka na drutach układów
scalonych odcisk palca na szybie ekranu
i dwa metry DNA na serwerach google
gdzieś między jedynkami i zerami płynie
pięć litrów czarno-białej już krwi grupy zero

29.11.11



spędzam dnie na dnie
topię się gdy dnieje
pozwalam wodzie gładzić się od środka
i marzę o tym by stać się kamieniem

07.2011

Joanna Głuszek

Songs

Remixes (get over a woman)

remixes

the best way to get over a woman
is to turn her into literature
like the stars i was counting pages
and years passed and it's all ligature

i live in a small cell of a palimpsests
must have been a kiss, that got me sentenced
i was writing novels about someone
who couldn't even form me into a sentence

night and day i dream of the blue
of my ink-stained fingertips on you
but there's no place for my sin
on the inked white silk of your skin

i'm a page just as fair as my friend
i am unwritten, the pen's firmly balanced

am i just beginning? is this pain out of hand?
i can write with a blade, what's your talent?

Physical Therapy

how does it feel to be so close
i could have just told you that what you asked was true
are you inside my head now, a little bit of red, now
you mix your words sometimes, cause you think about it too

i've took down all my walls
i've told you where to find me
i've shown you all my ghosts
come on and analyze me

i've took down all my clothes
i've let you come inside me
i've shown you all up close
come on and therapize me

i want to kiss your bleeding nose
after we cross some lines together at the club's restroom
we should just smoke and dance tonight, and then we could just spend
the night
you smile significantly, cause you know that too

i've took...

/you can be in my head now, but i can pull the strings too
/you know so much about me, i wanted to know more about you
/are you saying my name now, a little bit obsessed now
/you better come feed me those drugs before i bite my lips off

i've took...

Mr. Walnut & Ms. Pine (23.10.2022)

Hey, friends, thank you for still being here
After I've been gone for so long – it's clear
I've been battling something very real, you know
It's not over, even though I have a lot of hope

Hey, friends, can you help me with one more mission?
I want to still make a mark, have a vision
All the adventures and feelings... find precision

And I wonder if we'll make it on time?
Never telling some would be a crime
I never made it out with the ten year long love
I never told my friends most things that have built my home

Hey, friends, thanks for trying this with me
It's so hard to know that this is where I have to be
Affirmations, incantations, drugs and poison, all of it
I know I put you on hold, didn't even read, or eat

I haven't written yet about the greatest betrayal
It's hard to find the words for true portrayal
I never wrote about the rainbow infinity
Or how I spent my life searching for proximity

And I wonder if we'll make it on time?
And if anyone finds it worth a dime?
I never wrote even one about the love of my life
Guess you don't need to channel much when everything's right

Hey, friends, I really do believe that everybody has a story
And that you can classify people as the tellers and the storied
It's often the latter who are actually high-rise
But I would like to risk it all & even just for me... to write

They say all that's written never dies
I feel like as a mortal I am just a spy
Moving through the world incognito in a coat
Under which I am bare, without hair, shamefully showing
what I wrote

And I wonder if we'll make it on time?
Password to my notebook is another rhyme
I am gonna give it to my longest friends
I hope they will use it if there's ever end

